

FELIKS TRUSIEWICZ

MEDALIONIK



FELIKS TRUSIEWICZ

MEDALIONIK

*Inspiratorce i Promotorce moich publikacji
– Krystynie Korneluk-Elias –
poświęcam*

INSTYTUT BADAŃ KOŚCIELNYCH W ŁUCKU

ІНСТИТУТ ЦЕРКОВНИХ ДОСЛІДЖЕНЬ У ЛУЦЬКУ

BIBLIOTEKA „WOŁANIA Z WOŁYNIA”
T. 133

FELIKS TRUSIEWICZ

MEDALIONIK



„WOŁANIE Z WOŁYNIA”
BIAŁY DUNAJEC – OSTRÓG 2019

© Copyright by Feliks Trusiewicz, Wrocław 2014
© Copyright by Ośrodek „Wołanie z Wołynia”,
Biały Dunajec 2019

Wydanie I – 2014

Redaktor serii
ks. Witold-Yosif Kovaliv

Opracowanie typograficzne
Małgorzata Wieczorek

ISBN 978-83-88863-10-3

**Ośrodek „Wołanie z Wołynia”
skrytka pocztowa 9
34-520 Poronin, Polska**

~~~~~  
**“Воляннi з Волині”  
вул. Кардашевича, 1  
35800 м. Остріг, Рівненська обл.  
Україна**

Druk i oprawa:  
«Platan», Kryspinów 256, 32-060 Liszki

## Słowo wstępne

Wołyń – województwo drugiej RP, graniczące od wschodu z ZSRR, od zachodu z województwem lubelskim, od północy z województwem poleskim i od południa z województwem tarnopolskim i lwowskim. Siedzibą wojewody wołyńskiego było leżące nad Styrem miasto Łuck. Geograficznie Wołyń dzielił się na dwie części: południowo-zachodnią i północno-wschodnią. Podział ten w przybliżeniu przebiegał na linii Włodzimierz – Łuck – Równe – Korzec (wg W. i E. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia*. Tom 1–2, Wydawnictwo Von Borowiecki, 2008). Część południowo-zachodnia, bezleśna, o ziemi żyznej, była spichlerzem płodów rolnych. Druga zaś słynęła bogactwem dzikiej natury: ogromne lasy pełne zwierzyny, dwie duże rzeki Styr i Horyń z gęstą siecią dopływów, moczary i bagna pełne dzikiego ptactwa wodnego... Było to zagłębie drewna budowlanego, zwierzyny łownej, ryb, grzybów jagód i orzechów, podobnie jak Polesie. Z tego względu ta północno-wschodnia część zwana była Polesiem Wołyńskim.

Historycznie Wołyń to strefa buforowa, strzegąca wschodnich rubieży polskich przed najazdami nieprzyjaciół, to kraj niespokojny i burzliwy, najeżony zamkami obronnymi, które jak orle gniazda groziły napastnikom i stawiały im czoła. Sporo tam kurhanów po dawnych bitwach, tych ukrytych w lasach i tych na odkrytym terenie. Niezliczona liczba mogił z okresu ostatniej wojny – po rzezi Polaków i po zagładzie Żydów. Dziś trudno już znaleźć ślady po licznych tam kiedyś osiedlach i świątyniach polskich. Zniszczono też pomniki, cmentarze, a nawet wycięto sady w miejscach byłych osiedli polskich, aby zatrzeć wszelkie ślady po Polakach, którzy żyli tu od wieków i byli solą tej ziemi.

W imię obłędnej ideologii nacjonalistycznej Ukraińcy w okrutny sposób zmiotli z Wołynia najbardziej kreatywną grupę etniczną, jaką reprezentowali sobą Polacy. To Polakom, również Żydom, winni zawdzięczać postęp cywilizacyjny i ożywienie gospodarcze tych terenów. Faktem jest, i historia to potwier-

dza, iż dzięki parasolowi militarnemu Rzeczypospolitej na terenie dzisiejszej Ukrainy widzimy wieże cerkiewne, a nie minarety. Ponadto dzięki stosunkowo liberalnym warunkom politycznym w międzywojennej Polsce Ukraińcy mieli swobodę formowania swojej tożsamości narodowej. Reprezentowały ich dwie legalne partie polityczne, a w parlamencie mieli swoich posłów i senatorów. Dla porównania: w tym samym czasie za wschodnią granicą Polski pod rządami ZSRR znajdowała się większość narodu ukraińskiego. Tam nie było mowy o jakiegokolwiek wolności politycznej Ukraińców, panował terror, w którego wyniku miliony Ukraińców poniosły śmierć lub trafiły do łagrów. Wcześniej władze carskie także nie uznawały praw Ukraińców do suwerenności narodowej. Nie dbały o gospodarczy rozwój ziem zamieszkałych przez Ukraińców. Świadczył o tym niezwykle niski poziom oświaty – nie wprowadzono obowiązku nauki, co skutkowało tym, że na wsiach ukraińskich analfabetyzm był powszechny. Brakowało też dróg, mostów i środków komunikacji, panowało ogólne ubóstwo i zacofanie cywilizacyjne, szczególnie ludności wiejskiej. W takim stanie władze polskie przejęły Wołyń po pierwszej wojnie światowej.

Przede wszystkim należało poprawić stan dróg, mających duże znaczenie dla gospodarki. Północny Wołyń dysponował linią kolejową łączącą Kowel, przez Kiwerce (z boczną na Łuck), z Równem. Z Równego kolej biegła do Dubna, Kostopola i Sarn, skąd przez Maniewiczze do Kowla. Ta linia kolejowa okrężała ogromne tereny pozbawione odpowiednich dróg i mostów. Komunikacja między poszczególnymi miejscowościami na tym obszarze była bardzo utrudniona z powodu licznych brodów, błot i piasków. Przez taki teren mogły się z wolna poruszać tylko wozy, najczęściej ciągnięte przez parę wołów.

Pośpiesznie budowano więc nowe drogi, na razie nasypowe i wymoszczone faszyną. Na licznych tutejszych rzeczkach – dopływach Styru i Horynia, gdzie dotychczas przejeżdżano w bród i gdzie używano promów, budowano mosty. Stopniowo likwidowano też archaiczny sposób transportu materiałów rzeką Styr, polegający na tym, że flisacy ciągnęli w górę rzeki załadowaną materiałem drzewnym barkę (zwaną tu *bajdakiem*). Aby przemieszczać barkę o ogromnej masie przeciw prądowi rzeki, trzeba było dwunastu flisaków, po sześciu po obu stronach rzeki i jednego sternika stojącego na rufie barki. Trud takiego transportu powiększały liczne zakręty rzeki.

W drugiej połowie lat dwudziestych na Styrze pojawiły się parostatki, których użyto do ciągnięcia barek. Parostatki przewoziły też pasażerów i świadczyły usługi transportowania różnych towarów, z czego korzystali Żydzi – właściciele sklepów.

Drugim priorytetem polskich władz było upowszechnienie oświaty. Pośpiesznie budowano budynki szkolne i wprowadzono obligatoryjny tryb nauki. Rodzice byli zobowiązani do posyłania dzieci do szkoły aż do ukończenia przez nie minimum czterech klas szkoły powszechnej. W szkołach, w których uczniowie w większości pochodzili z rodzin ukraińskich, nauczano w ich rodzimym języku.

Koniecznością było też przeprowadzenie reform rolnych. W roku 1863 po zniesieniu pańszczyzny każdej rodzinie chłopskiej nadano ziemię. Z czasem ziemia ta uległa pokoleniowemu podziałowi, w wyniku czego chłopci mieli swoje grunta w kilku miejscach, często oddalonych od siebie. Wymagało to komasacji, czyli scalenia gruntów należących do jednego właściciela. Przy tej okazji powiększono gospodarstwa karłowate, przydzielając im ziemię z funduszu skarbu państwa. Komasacja ułatwiała chłopom uprawę posiadanej ziemi dzięki zmniejszeniu trasy dojazdów i transportu płodów rolnych, a jednocześnie likwidowała sporą ilość jałowych miedz. We wsiach leżących na podmokłym terenie przeprowadzano meliorację. Koszty tych wszystkich reform ponosił skarb państwa polskiego.

Inwestycje państwowe dotyczyły tylko popańszczyźnianych wsi ukraińskich. Polacy mieszkający na Wołyniu to potomkowie szlachty polskiej. Struktura zabudowy ich osiedli (kolonii) wyraźnie różniła się od wsi ukraińskich. Polacy mieszkali na swoich gruntach, często niewielkich, i komasacji nie potrzebowali. Wielu z nich trudniło się rzemiosłem, handlem lub pracowało w przemyśle leśnym.



Początek opowieści sięga okresu tuż po pierwszej wojnie światowej. Na Wołyniu w powiecie kostopolskim, w sąsiedztwie wielkiego lasu, leżała wieś ukraińska, którą nazwijmy Czeremno. Jej chaty i zabudowania gospodarskie kryte słomą ciągnęły się długim rzędem po obu stronach szerokiej ulicy, w której perspektywie widać było kilka żurawi studziennych i długie koryta do pojenia bydła. Na końcu wsi z zieleni drzew wyłaniała się złocista kopuła niedużej cerkiewki.

Wieś leżała w dolinie nad niedużą rzeczką. Na zachód za rzeczką ciągnął się zielony wygon, bielący się od gęsi i kaczek, które pływały też po płytkich wodach owej rzeczki. W środku wygonu stał namiot i wóz cygański, widoczny był dym unoszący się z ogniska, pasące się konie i cygańskie dzieci biegające wokół namiotu. W dalszej perspektywie widać było łąki, pasące się na nich krowy, konie i owce, a także żerujące bociany, których liczne gniazda znajdowały na słomianych dachach wsi.

Na wschód od wsi łagodnie wznoszący się teren w okresie letnim jak barwny dywan mienił się kolorami różnych zbóż. Były to pola należące do ukraińskich chłopów z tej wsi, a ciągnęły się szeroko i daleko – aż do lasu. Na południe od nich leżały grunty należące do dwóch rodzin polskich i jednej czeskiej. Polskie gospodarstwa, po dziesięć dziesięcin każde, leżały obok siebie. Właścicielem pierwszego, leżącego od strony lasu, był Jan, a drugi, graniczący z tym pierwszym, należał do Mariana. Obaj gospodarze posiadali solidne domy drewniane, ale podmurowane. Czeskie gospodarstwo, położone na południe od tych polskich, było duże, jego areał przekraczał 20 dziesięcin. Właściciel, potrzebując pomocy do obsługi tak dużego gospodarstwa, zatrudniał ubogą rodzinę polską, która mieszkała w oficynie jego obszernego domu. Te gospodarstwa ukraińskie, polskie i czeskie w podziale administracyjnym powiatu stanowiły jedno sołectwo, którego sołtysem był ukraiński chłop Stepan. Sołtys reprezentował więc kilkadziesiąt ukraińskich chłopskich rodzin, trzy polskie i jedną czeską. Żyła tam też jedna rodzina żydowska. Ojciec tej rodziny, Szmul, posiadał we wsi sklep i karczmę. Cyganie, jako lud wędrowny, gościnnie tylko rezydowali pod swoimi namiotami na wygo-

nie (ziemi niczyjej) i chociaż nie należeli do gromady, mieli tu też swoją rolę. Mężczyźni świadczyli ludziom usługi kowalskie, toteż często słyszało się dźwięk kutej stali na lemieszach do pługów lub podkowy dla koni. Cygańskie kobiety zaś, często z dziećmi, szły do wsi, aby żebrac, wróżyć, a jak się udało – kraść. To były drobne kradzieże: jaja, owoce, warzywa, czasami kura czy kaczka. Z tego powodu dochodziło czasami do waśni, ale mimo to ogólnie ich akceptowano. Cyganie wzbogacali folklorystyczny obraz tego regionu. Ich tabory pełne pierzyn i dzieci, ich oryginalna uroda, a zwłaszcza talent wokalny i muzyczny, szczególnie te wygrywane na skrzypcach czardasze... To wszystko, przesyczone egzotyką i wdziękiem budziło ogólne zaciekawienie i sympatię.

Jedyna żyjąca tu rodzina żydowska też stanowiła pewien kontrast w odniesieniu do reszty wiejskiej społeczności. Jej członkowie między sobą mówili językiem niesłowiańskim, niezrozumiałym dla innych grup etnicznych, nie byli wyznawcami religii chrześcijańskiej, nie integrowali się z resztą społeczeństwa, a jednak byli potrzebni. U Szmula można było kupić sól, naftę, tytoń, zapalki, śledzie, cukier czy cukierki, a także smar do wozów, pastę do butów, no i wódkę, będącą utrapieniem kobiet we wsi, których *czołowiki* (mężowie) za często po nią sięgali. Szmul kupował od mieszkańców wsi kury, jaja i nabiał, skóry z cieląt i dzikich zwierząt, można było mu sprzedać upolowanego zająca lub sarnę. Tym, których lepiej znał i ufał, sprzedawał towar na tak zwany *burg*, czyli na kredyt. Uprawiał nawet lichwę – pożyczał pieniądze na procent. Szmul nie miał żadnego wykształcenia, potrafił jednak biegle liczyć. Intuicyjnie rozpoznawał też osobowości swoich klientów – wiedział, z kim należy się liczyć, a kogo można lekceważyć. Swoich stałych klientów znał dobrze i miał dla nich ustalone ceny na swoje towary. Natomiast gdy trafił się ktoś nieznajomy, błyskawicznie go lustrował i oceniał, ile można na nim zarobić. Nad drzwiami sklepu Szmula zawieszony był dzwonek. Otwierane drzwi potraçały dzwonek, który sygnalizował, że ktoś wchodzi. Szmul doskonale znał naturę ukraińskiego chłopaka. Wiedział, że ma on zwyczaj targowania się, nawet z wielką pasją. Świadom tego, przy większych transakcjach pozwalał nieraz na ostrą wymianę zdań. Dla przykładu, gdy chłop pytał: „Ile ty liczysz za ten towar?”, Szmul odpowiadał:

„Nuu, jak dla ciebie, tyle a tyle”. Wówczas chłop obniżał cenę i zaczynało się zawzięte targowanie. Dochodziło czasami do obelg w rodzaju: „Ty parszywy Żyd” i „Ty durny murzyk”. Ale nie obrażali się, kilka razy podawali sobie ręce, to znów odchodzili od siebie rozgniewani. W końcu dochodzili jednak do porozumienia i finalizowali transakcję. Chłop odchodził z przekonaniem, że wytargował dobrą cenę, natomiast Żyd, chociaż dobrze zarobił, biadolił wobec chłopca, jak dużo na tym stracił.

Zanim bliżej poznamy rodziny polskie, przyjrzyjmy się jeszcze głównej grupie etnicznej wsi, czyli ukraińskiemu chłopstwu.

Jak już wspomniano, ich chaty stały rzędem po obu stronach ulicy, odgródzone sztachetami, na które nasadzone były *ładyszeki* – gliniane naczynia na nabiał. Za chatami znajdowały się zabudowania gospodarcze: stodoły, obory i stajnie dla koni lub wołów. Przed domami rosły georginie i malwy, a po dziedzińcu biegały świny, prosięta i ptactwo domowe. Chaty w większości były dwuizbowe: pokój i obszerna kuchnia z dużym piecem do pieczenia chleba. Życie rodzinne ogniskowało się głównie w kuchni. Tu jedzono posiłki, tu spędzano długie jesienne i zimowe wieczory przy przędzeniu nici lnianych na płótno lub z wełny owczej na tkaniny wełniane. Wiele rodzin posiadało urządzenia tkackie, tak zwane krosna, na których dziewczyny wiejskie tkwały materiały, z których sztyto bieliznę osobistą i pościelową, a z wełnianych odzież zimową.

Ówczesny chłop ukraiński żył prymitywnie, ale był samowystarczalny. Kupował tylko sól, naftę, zapalki, machorkę, igły, nici do szycia i ewentualnie buty. Latem chodził boso, a zimą ubierał *postole* (łapcie) lub buty. Analfabetyzm wśród chłopstwa stanowił około 90 procent. Ten prymitywizm życia był spuścizną lat zaborów. Władze carskie nie dbały o powszechną edukację, nie było obowiązku posyłania dzieci do szkół. W dużych wsiach były szkoły, ale tylko część rodziców posyłała do nich swoje dzieci i to przeważnie w okresie zimowym, gdyż wiosną i latem dzieci potrzebne były do pomocy przy pracach gospodarskich. Toteż gdy pytano kogoś, jakie ma wykształcenie, odpowiadał, że chodził do szkoły dwie lub trzy zimy.

W czasie zaborów na Wołyniu szkolnictwo polskie było surowo zakazane. Polacy nie posyłali swoich dzieci do szkół, w których obowiązy-

wał język rosyjski, z obawy przed ich wynarodowieniem. Kto mógł, uczył dzieci w domu, chociaż i to było zakazane. Dużą rolę edukacyjną odegrały polskie dwory, w których potajemnie uczono polskie dzieci. Także parafialne kościoły katolickie, gdzie księża wygłaszali kazania i spowiadali w języku polskim i gdzie modlono się w rodzimym języku, integrowały Polaków i pomogły zachować tożsamość narodową.

Dopiero po pierwszej wojnie światowej władze młodej Polski wprowadziły obowiązek powszechnej edukacji. Budowano szkoły i rodzice zobligowani byli, aby ich dzieci ukończyły minimum cztery klasy szkoły powszechnej. Obowiązywała przy tym ustawa, która pozwalała Ukraińcom (w miejscowościach, w których stanowili większość) nauczanie w języku ukraińskim.

Rozpoczęto też komasację chłopskich gospodarstw i meliorację podmokłych terenów. Wieś Czeremne takiej komasacji potrzebowała. Większość chłopów miała swoją ziemię w dwóch, a nawet kilku miejscach. Komasacja polegała na tym, że chłop otrzymywał w całości nowy grunt powierzchniowo równy sumie działek, które posiadał w rozproszaniu. Jeżeli scalona ziemia stanowiła zbyt mały areał, powiększano ją według ustalonych normatywów. Na zasadzie tak zwanych serwitutów przeznaczano na powiększenie karłowatych gospodarstw pewne obszary lasu lub folwarków.

Taka zreformowana wieś zmieniła swój charakter. Chłopi przenieśli swoje chaty na scalone gospodarstwa, a przy tej okazji modernizowali je. Znikły więc słomiane strzechy, dachy kryto gontem lub blachą. Rozproszona po chutorach wieś utraciła swój walor folklorystyczny, ale miała szanse rozwojowe. Powstała możliwość bardziej efektywnego gospodarowania. Zamożność chłopstwa wzrosła, co było celem polityki gospodarczej państwa polskiego. W budżecie narodowym państwa przewidziano środki finansowe na modernizację rolnictwa. Z tego źródła finansowano meliorację, komasację i świadczone pomoc modernizowanym gospodarstwom wiejskim.

Dwa gospodarstwa polskie i jedno czeskie, graniczące z polami chłopskimi w Czeremnem, nie potrzebowały reform. Były scalone, obszarowo

duże i wzorowo zagospodarowane. Zanim poznamy rodzinę Jana, której historię tu opisano, zatrzymajmy się na krótko przy rodzinach Mariana, Czecha i zamieszkałej przy nim rodzinie polskiej.

Marian i jego żona Helena posiadali dwoje dzieci – dorosłego syna Franciszka i kilka lat młodszą córkę Kazię. Ich dzieci ukończyły szkołę powszechną w pobliskim miasteczku i pracowały w gospodarstwie swoich rodziców.

Rodziny Jana i Mariana przyjaźniły się ze sobą i współpracowały w czasie żniw i wykopków. Pożyczali sobie nawzajem sprzęt rolniczy, wspólnie wykonywali niektóre prace polowe i wynajmowali pastucha, który wyprowadzał na okoliczne pastwiska i pilnował bydło z obu gospodarstw. Wspólnie też organizowali wyjazdy do kościoła w niedzielę, a w czasie świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy odwiedzali się wzajemnie.

Rodzina polska mieszkająca u Czecha składała się z sześciu osób: ojca Waleriana, matki Ludwiki i czwórki dzieci, w tym nastoletniej córki Bronisławy i starszego od niej Henryka, który odbył już służbę wojskową.

Czech o imieniu Wacław miał żonę i kilkoro dzieci. W domu członkowie jego rodziny mówili po czesku, ale znali też polski i ukraiński. Wacław był przyjaźnie ustosunkowany do Polaków. Jego gospodarstwo było wzorowe i zamożne. Posiadał dwie pary koni, a każda z tych par była na tyle silna, że można było wykonywać nią orkę dwuskbowym pługiem. Miał też kilka konnych żniwiarek, a także młocarnię, początkowo napędzaną za pomocą konnego kieratu, później Wacław wyposażył ją w silnik spalinowy. Był to wówczas drogi sprzęt, na który mógł się zdobyć tylko bogaty gospodarz. Dla porównania: Jan i Marian posiadali tylko jedną, wspólną żniwiarkę i pługi jednoskbowe. Młócenie zboża odpłatnie wykonywał im Czech. Natomiast ukraińscy chłopcy zboże młócili cepem, a do orki używali wołów. Zboża zaś kosili kosami na tak zwaną „ścianę”. Ścięte kosą zboża opierały się o jego nieskoszoną ścianę. Za kosiarzem szła kobieta, *podbieraczka*, która zbierała skoszony pokos zboża ze ściany, układając je równą warstwą na ściernisku, aby schło. W miejscach, w których na skutek burzy zboże było wyłożone lub zwichrzone, zbierano je za pomocą sierpa.

Czeremne było typową wioską północnego Wołynia, bardzo piękną, zwłaszcza wiosną, gdy zakwitały sady, bzy i jaśminy, a pola mieniły się kolorami różnych zbóż, gdy dniem rozśpiewały się skowronki jak dzwoneczki na wysokich wieżach, a wieczorami kłaskały słowiki, a wokół domów pachniała maciejka. Często, zwłaszcza wieczorami, słyszało się harmonijne śpiewy ukraińskich chłopów wracających z pól do swych chat, porykiwanie bydła pędzonego z paszy i tłoczącego się przy korytach z wodą, skrzyp żurawi studziennych, nawoływania pastuchów, turkot wozów wracających na noc do wsi i gwar ludzkich głosów... Trwało to krótko, z nastaniem nocy wieś szybko pogrążała się we śnie, by odpocząć przed jutrzejszym trudem. Czasami tylko zaszczekał jakiś pies, zakwilił puszczyk.

O świcie, gdy zapały koguty, wieś budziła się szybko. Kobiety doity krowy, świnie głośnym pokwikiwaniem upominały się o żer, gwarzyło rozbudzone ptactwo domowe... Po chwili wszystko cichło: bydło pognano na pastwiska, ludzie wyszli w pole, czasami tylko zagdakała jakaś kura, zapał kogut, zaklekotał bocian...

Ludzie z tych różnorodnych grup etnicznych współżyli ze sobą w zgodzie, nie było wrogości, nie zauważało się wzajemnych uprzedzeń. Polacy w rozmowach z Ukraińcami używali języka ukraińskiego. Podobnie postępował sąsiad Czech. Ukraińcy z gospodarstw małopolskich chętnie angażowali się do odpłatnej pracy u Polaków i u Czech.

W takich warunkach i otoczeniu żyła w Czeremnem rodzina Jana, która jak już wspomniano, odegra główną rolę w tej opowieści.

\* \* \*

Jeszcze na kilka lat przed wybuchem pierwszej wojny światowej Jan Lipiński (bo takie nosił nazwisko) już jako dorosły mężczyzna poznał dziewczynę o imieniu Stanisława. Młodzi pokochali się i zawarli związek małżeński. W ich małżeństwie przyszło na świat troje dzieci, z których dwoje w czasie wojny zmarło na dyfteryt. Pozostała Walentyna, pierwszodrodna córka.

Koniec wojny przyniósł Polakom upragnioną niepodległość. Tereny, na których leżało Czeremne, znalazły się w granicach drugiej

Rzeczypospolitej. Jan pochodził z rodziny o tradycjach patriotycznych (jego dziadek Witold uczestniczył w powstaniu listopadowym), toteż z entuzjazmem przyjął nową polityczną rzeczywistość.

Walentyna skończyła w Czeremnem cztery klasy ukraińskojęzycznej szkoły powszechnej, W szkole odbywały się też lekcje języka polskiego, ale wszystkie pozostałe przedmioty prowadzono po ukraińsku. Także naukę rozpoczynano i kończono modlitwą w tym języku. W szkole zatrudnionych było dwoje nauczycieli: starszy już wiekiem pedagog, Ukrainiec Mikołaj i młoda nauczycielka, Irena, Polka, która uczyła języka polskiego, ale też innych przedmiotów w języku ukraińskim.

Walentyna czuła się dobrze w szkole, w ławie siedziała obok koleżanki Paraski i kolegi Hrycia. Oprócz niej do tej szkoły uczęszczało dwoje dzieci polskich: starszy od niej o rok Franio, syn sąsiada Mariana, i Bronka, córka Waleriana, oraz syn Szmula, Lejbuś. Po ukończeniu szkoły w Czeremnem dalszą naukę kontynuowała w pobliskim miasteczku, gdzie ukończyła siedmioklasową szkołę powszechną. Uczyła się bardzo dobrze, szczególnie zaś wyróżniała się zdolnościami w pracach ręcznych i plastycznych. Jej rysunki i akwarelki zdobiły ściany korytarzy szkolnych i pracowni plastycznej. Ulepiła z gliny i pięknie artystycznie wystylizowała popiersie Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Rzeźba ta wiernie odtwarzała rysy twarzy Marszałka, toteż po odpowiednim wysuszeniu znalazła godne miejsce w szkolnej świetlicy. Rodzice Walentynki bardzo chcieli, aby pomagała im ona w gospodarstwie i tu widzieli jej przyszłość. Przewidywali, że przyjdzie czas, kiedy ich jedyna córka wyjdzie za mąż i razem z mężem przejmie po nich gospodarstwo. Jednak Walentyna, chociaż lubiła pracę w rolnictwie, pragnęła dalszego kształcenia. Rodzice to rozumieli i nie lekceważyli, wspólnie z córką rozważając ten problem. Z uwagi na predyspozycje należałoby dalszą edukację dziewczyny kontynuować w szkole artystycznej, ale takich na Wołyniu nie było, podjęto więc decyzję dalszej nauki w gimnazjum ogólnokształcącym. Niech skończy tę szkołę i po maturze wróci do domu na gospodarstwo, postanowili. Takie gimnazjum było w Równem, ale też w Łucku. Do Równego było bliżej, do Łucka znacznie dalej. Jechało się tam koleją z Kostopola

przez Równe, Klewań, Ołykę do Kiwerc. Tu trzeba się było przesiąść na pociąg jadący do Łucka. Mimo tych niedogodności dojazdowych wybrano Łuck, gdyż mieszkała tam ciocia Walentyny – siostra jej mamy – u której dziewczyna mogła zamieszkać.

W roku 1926 Walentyna zdała egzamin wstępny i rozpoczęła naukę w gimnazjum. Od początku wykazywała duże zaangażowanie i pilność w nauce. Tu, w gimnazjum, również wyróżniała się zdolnościami plastycznymi, przodowała w pracach przy dekoracji i wystroju sal z okazji świąt narodowych. Tu też w salach i na korytarzach eksponowano jej akwarelki, które przedstawiały różne polne kwiaty i krajobrazy jej stron rodzinnych. Walentynka bowiem tęskniła do swojego środowiska, do Czeremnego, do łąk kwiecistych i pól wyłożonych zbożem, do tych świegocących skowronków, do bławatków i kąkoli, z których wiała wianki do przystrojenia przydrożnego krzyża. Tęskniła do rodziców i swego domu, do koleżanek i kolegów lat dziecięcych, nie tylko tych polskich, ale i do Paraski i Hrycia. Czeremne było jej ukochanym światem, pełnym harmonii i naturalnego wiejskiego spokoju. Dlatego bardzo oczekiwała wakacji. Wiedziała, że będzie to okres ciężkiej fizycznej pracy przy gospodarstwie, ale i pragnęła tego. Bo jakże wspaniałe są sianokosy: brzęk ostrzonych kos, suszenie i grabienie pachnącego siana, ładowanie go na wozy lub układanie w stogi... Ile uroku ma praca żniwiarzy, kiedy w skwarze słonecznego dnia zbierają Boże dary, gdy wiązane w snopki zboże ciąży ku ziemi dorodnym kłosem i jak malowniczo wyglądają rzędy kopek ustawione na złocistym ściernisku... Albo mechaniczne młócenie zboża, ten finalny zabieg żniwny, kiedy w pocie czoła, w pyle i szumie maszyny mężczyźni i kobiety uwijają się obsługując młocarnię... Wszystko to ją pociągało, bo miała wrodzone cechy rolnika, człowieka, który żyje w symbiozie z naturą, a jej romantyczna, artystyczna dusza dostrzegała urok tego środowiska.

Wakacyjne niedziele też były wielką atrakcją. Dorośli wyjeżdżali końmi do kościoła, młodzież i starsze dzieci z Czeremnego wołały iść pieszo ścieżkami poprzez malownicze pola i łąki.

W środowisku młodzieży Walentyna uchodziła za pewną znakomitość. „Dziewczyna miastowa”, mówiono. Nawet jej dawniejszy kolega

szkolny, Franio od Marianów, patrzył z respektem i zachwytem na nią i zwracał się do niej: „Panno Walentyńko”. Nie uszło to uwadze Bronki od Walerianów, która podkochiwała się we Franiu. Walentyna rzeczywiście była piękną dziewczyną: wysoka, smukłej budowy blondynka, o dużych chabrowych oczach w oprawie ładnie zarysowanych ciemnych brwi i długich, również ciemnych rzęs. Na wysokie jasne czoło z wdziękiem spadały pukle wijących się włosów, a owalną dziewczęcą twarz zdobiły pięknie wykrojone usta, które przy uśmiechu tworzyły na lewym policzku urokliwy dołek. Gdy unosiła głowę, ukazując długą łabędią szyję, przypominała piękny polny kwiat. W ubiorze i zachowaniu skromna, a w stosunkach z ludźmi przyjazna i uczynna. Przyjaźniła się z nią Irenka, nauczycielka z Czeremnego, która czasami prosiła Walentynę o pomoc w wystroju sali szkolnej z okazji świąt narodowych. Obie też żywo uczestniczyły w towarzyskim życiu tamtejszej młodzieży, którą integrował kościół. Zwykle po mszy przed kościołem gromadziła się młodzież. Umawiano się na zabawy taneczne lub inne imprezy.

Wakacje szybko przeminęły i Walentyna wracała do Łucka. Mimo że z żalem opuszczała Czeremne, to jednak pragnienie dalszej nauki i kontynuacji planów życiowych przeważały.

Gdy była już w połowie nauki programu gimnazjalnego – w klasie czwartej, jej rodzinę nagle dotknęło nieszczęście – na atak serca zmarła żona Jana, Stanisława. Po stracie ukochanej mamy Walentyna doznała szoku. Przybyła do domu, by połączyć się w bólu z kompletnie załamanym ojcem. To tragiczne wydarzenie było wielkim wstrząsem i zdestabilizowało ich życie. Pozostali we dwoje, bez żony i matki, która była duszą rodziny. Upadły też życiowe plany Walentyńki, teraz musi przerwać naukę i być przy ojcu. Po pogrzebie pojechała do Łucka, ale tylko po to, aby ukończyć czwartą klasę i po uzyskaniu tak zwanej „małej matury” wracać do domu.

Stała się więc Walentyna gospodynią, podejmując brzemię współodpowiedzialności za dom i gospodarkę. Łączyło się to z ogromem pracy od rana do wieczora. Jak już wcześniej wspomniano, dziewczyna nie unikała pracy w gospodarce, więc i teraz z całą odpowiedzialnością i energią

podjęła to trudne wyzwanie. Mijały miesiące, sytuacja w domu i gospodarstwie powoli osiągała równowagę. Walentyna radziła sobie i nabierała doświadczenia.

Minął już rok od śmierci Stanisławy. Była niedziela. Jan i córka wrócili z kościoła i spożyli obiad. Walentyna krzątała się koło kuchni, ojciec siedział zamyślony i pykał fajkę. W pewnym momencie zwrócił się do córki:

– *A nu dociu, usiądź koło mnie, ja chce tobie coś powiedzieć.*

Walentyna usiadła naprzeciw ojca i z uwagą patrzyła na jego twarz, która wydawała się jej jakaś zmieniona.

– Co ci jest, tato, czy nie jesteś chory?

– *Nie, nie dziecko, ja nie chory, ja ono chciał tobie powiedzieć, że muszę ożenić się.*

Walentyna patrzyła na ojca szeroko otwartymi oczami, z wyrazem najwyższego zdumienia.

– Co ty mówisz tato!? – pytająco zawołała.

– *Ot, ja powiedział tobie, że taki ożenie się.*

W tym ostatnim zdaniu ojca dziewczyna wyczuła jego zdecydowanie. Wstała i bardzo poruszona chodziła po izbie. Myśli jak błyskawice przebiegały przez jej umysł. Były to myśli niedowierzania, w to co usłyszała, ale też lęku przed czymś nowym, czego się bała. Ojciec siedział cicho ze spuszczoną głową, tylko częściej zaciągał się dymem z fajki. Wreszcie uniósł głowę i poprosił córkę, aby znów usiadła przy nim. Gdy to uczyniła, powiedział:

– *Walentynoczka moja, posłuchaj ty mnie, jaż miarkował na różne sposoby, nijak nie może być inaczej, ono w naszej gospodarce potrzebna jeszcze jedna gospodynia, bo ty wszystkiego ni zdążasz zrobić. Koło samy chudoby jest dużo roboty, a ileż w polu?...*

Dziewczyna rozgarnęła włosy na rozpalonym czole i spytała:

– Tato, a ty już zapomniałeś o naszej mamie?

– *Oj, ni zapomniiał ja, ni zapomniiał, aliż wiesz dociu, tak musi być.*

Serce Walentyny wezbrało wielkim żalem, zerwała się z krzesła i wybiegła do drugiej izby. Tu dopiero opanował ją spazmatyczny, ale tłu-

miony płacz. Nie wyobrażała sobie swojego ukochanego ojca z inną niż jej mama kobietą. Gdy tak chodziła zapłakana po izbie, wzrok jej zatrzymał się na obrazie Matki Bożej Ostrobramskiej. „Mam przecież Matkę” – pomyślała. Podeszła do obrazu, uklękła i pogrążyła się w modlitwie. Ta modlitwa początkowo była skargą na los, jaki gotuje jej życie. Straciła matkę, a teraz straci ojca, który zwiąże się z obcą kobietą, i ona, jego córka, będzie poza nawiasem jego życia. W miarę modlitwy uspokajała się. Przyszły nowe myśli, które mówiły: „Przecież tata nie odchodzi i cię kocha. Żeni się, bo ma do tego prawo, to jego życie, jest jeszcze mężczyzną w sile wieku. A ty, ty też kiedyś wyjdiesz za mąż...”. Gdy tak klęczała pogrążona w myślach i modlitwie, poczuła, że ktoś klęka przy niej i obejmuje ją ramieniem. Był to ojciec. Klęczeli tak długo, przytuleni do siebie. Gdy wstali z kolan i wrócili do kuchni, rozmowa między nimi potoczyła się już spokojnie i rzeczowo.

– Tato, powiedz mi kto jest tą kobietą?

– *To Karolina, co mieszka przy drodze do kościoła, ona wdowa* – odpowiedział ojciec.

Walentyna ją знаła. Wiedziała, że owdowiała kilka lat temu, że ma dorosłego już syna, przy którym mieszka. Sprawy potoczyły się dość szybko. Wkrótce Jan miał w domu żonę, a Walentyna macochę. Ślub w kościele odbył się cicho, przyjęcie w domu było skromne i ograniczone, z udziałem tylko rodziny najbliższego sąsiada, Mariana.

Dom Jana był dość obszerny. Walentyna miała swój oddzielny pokój. Z Karoliną łączyła ją wspólna praca od rana do wieczora. Zaczynały od porannego dojenia krów i obsługi dobytku. Później wychodziły do pracy w polu. Jan wykonywał zajęcia, które należały do mężczyzn, a więc pielęgnowanie koni i korzystanie z nich przy pracach polowych. Obsługa tak dużego gospodarstwa wymagała odpowiedniej organizacji. Dotychczas było tak, że Walentyna wykonywała prace należące do jej obowiązków, łącznie z przygotowaniem posiłków. Natomiast Jan część swoich obowiązków wykonywał osobiście, a do innych angażował robotników najemnych i kierował ich pracą. Od czasu, gdy Karolina pojawiła się w ich domu, doszła dodatkowa para rąk w gospodarstwie, zachodziła więc potrzeba

odpowiedniego podziału obowiązków. Codziennie wspólnie ustalano, które prace są najpilniejsze, i rozdzielano między siebie zajęcia. Karolina nie unikała żadnej pracy, nawet najcięższej. Była kobietą przedsiębiorczą i doświadczoną w rolnictwie, a przy tym osobą o silnym charakterze. Stopniowo więc przejmowała w swoje ręce inicjatywę gospodarowania. Dość szybko jej rady zaczęły brzmieć jak polecenia, z którymi z natury spokojny i uległy Jan się liczył. Walentyna, widząc, że są racjonalne, też ich nie ignorowała, ale apodyktyczny ton Karoliny raził ją. „Ta kobieta zaczyna rządzić naszym domem”, myślała. I jak to bywa w stosunkach między macochą i pasierbicą, podejrzewała, że Karolina jej nie lubi, że wołałaby prowadzić to gospodarstwo bez jej udziału. W takich momentach zastanawiała się, czy nie wrócić do Łucka, by kontynuować naukę w gimnazjum. Były to jednak chwile psychicznego dyskomfortu, po których przychodziły uspokajające refleksje. „Przecież nie mam podstaw do tego, by sądzić, że ona mnie nie lubi czy nie chce współpracy ze mną”, myślała. Postanowiła uzbroić się w cierpliwą pokorę i pracować dalej. Nie może opuścić ojca, który ją kocha, bo gdyby odeszła, poczułby się źle. Mogłoby to wpłynąć na jego stosunek do żony i zdestabilizować ich życie, czego im nie życzyła. A więc starała się Walentyna w swoich myślach unikać uprzedzeń i podejrzeń, a koncentrować swoją uwagę na pracy.

Nadeszła wiosna. W gospodarstwie Jana posiano sporo warzyw. W podziale pracy kultywacja zagonów warzywnych przypadła Walentynie. Długie rzędy marchewki, buraków, kapusty, obok nich duże pole kartofli graniczyły z łąką należącą do gospodarstwa sąsiada, Mariana. Walentyna, pracując przy plewieniu warzyw, często słyszała brzęk ostrzonej kosy i widziała Frania koszącego trawę. Widywała go często. W niedzielę, gdy całą gromadą wracali z kościoła, zawsze był Franio. Spotykała go na zabawach tanecznych, a nawet pewnego razu, mimo że był wobec niej nieśmiały, poprosił ją do tańca. Był zawsze w stosunku do niej bardzo grzeczny i pełen respektu. Franciszek, przez wszystkich nazywany Franiem, był młodzieńcem przystojnym, pracowitym i ogólnie lubianym. Ukończył szkołę powszechną, ale mówił, jak wielu tamtejszych Polaków, gwarą polskiego ludu kresowego.

Pewnego dnia, gdy Walentyna plewiła marchewkę w pobliżu łąki, Franio odłożył kosę i podszedł do niej.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – pozdrowił ją i dodał – dopomóż Boże w robocie!

Dziewczyna ruchem ręki odrzuciła spadające na czoło włosy i z uśmiechem odpowiedziała na pozdrowienie.

– *Ładne mamy dzisiaj pogode* – zaczął Franio. – *Jak widno i marchiewka ładnie obrodziła, będzie co zbierać w te jesień.*

– Dużo przy niej pracy, widzi Franio, ile jest chwastów do wyplewienia? – odrzekła dziewczyna.

– *Dyszcz poszedł, to rośnie marchiewka i zielsko* – dodał chłopak.

Franio niespokojnie gniótł w rękach trzymaną czapkę i przebierał nogami, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale brakowało mu odwagi. W końcu zaczął:

– *Bo to widzi panna Walentyna, tato mówi, że na tej połowie naszej ziemi co koło waszej leży, ja bede kiedyś gospodarzył, a te drugie połowe da dla mojej siostry Kazi. Aż prosi się, żep ta moja ziemia co łączy się z ziemią panny Walentynki połączyła nas oboje, żep panna Walentyna zechciała wyjść za mnie* – jednym tchem i z wielkim przejęciem powiedział chłopak.

Chabrowe oczy dziewczyny patrzyły na chłopca z wyrazem wielkiego zdziwienia.

– Co Franio mówi, niech nie myśli o tym! Ja na razie nie wybieram się za mąż, a poza tym, co powie Franio dziewczyna, Bronka?

– *Ja z Bronko ono koleguje się, a lubie pannie Walentynkie.*

Kłopotliwą dla dziewczyny rozmowę przerwała nadchodząca Karolina, która prosiła ją na obiad.

Głęboko poruszony Franio wrócił do koszenia, ale zanim zaczął, chwilę stał i medytował: „Czyżby taki dała mnie harbuza? (kosza) – zastanawiał się chłopak. – *Nie, to nie możebne żep ona nie rozebrała, że najporęcznij jij wyjść za mnie, toż sama nasza ziemia prosi sie za to. Widno, że ja za prędko jij oświadczył sie. Dziewczyna musi to rozebrać sama, w swojej głowie, ona je mądra, robotna i lubi gospodarkie, to niemożebne żep nie chciała takiego dobra, jakie może być... A może ja powinien pogadać na*

*te konto z jij tatem, może un jij wytołkuje, że taki najlepiej będzie, jak za mnie wyjdzie?”*

Poostrzył kosę i żywo zabrał się do roboty. Bujna, utkana polnym kwieciem trawa szerokim pokosem padała pod ostrzem kosy. Franio chcąc zapomnieć o doznanej porażce, kosił z coraz większym rozmachem. Przyniosło mu to ulgę. Gdy zmęczony wbił drewniane kosisko w ziemię, wsparł się na nim i ciężko oddychał, patrząc w dal na nieskończoną jeszcze łąkę, na kroczące po niej bociany, a dalej falujące w wietrze łany jego zbóż... Ten obraz przywrócił mu spokój i optymizm. „*Pan Bóg dał dobre pogodę, w te lato dyszczu ni brakowało, to wszystko ładnie rośnie*”, myślał. Po czym otarł rękawem pot z czoła, znów zabrzęczała ostrzona kosa i chłopak z zapalem kontynuował pracę.

\* \* \*

Do gospodarstwa Jana od strony północnej należały łąki, które sięgały rzeczki. Za rzeczką były pastwiska, ciągnące się aż do lasu. Na skraju lasu stał ładny budynek w rodzaju dworku. Była to rezydencja leśniczego. Mimo sporej odległości od domu Jana, dworek ten dobrze był widzialny. Pewnego wiosennego dnia przybył tam i zamieszkał młody mężczyzna. Mówiono o nim, że jest geometrą, który ma sporządzić plan komasacji gruntów dla Czeremnego. Jakoż na popołudniowe godziny najbliższej niedzieli zwołano zebranie chłopów z Czeremnego, które odbyło się w budynku szkolnym. Otworzył je sołtys w obecności przedstawiciela gminy, popa miejscowej cerkwi, nauczyciela Mikołaja i owego młodego przybysza. Do zebranych w języku ukraińskim przemówił przedstawiciel gminy. Poinformował on, że Czeremne, wedle planów powiatu, przewidziane jest do komasacji, czyli scalenia i unowocześnienia gospodarstw chłopskich. W ramach tej akcji przewidziana jest dla poszczególnych gospodarstw pomoc państwowa. W celu powiększenia karłowatych gospodarstw zaplanowano włączenie ziemi należącej do skarbu państwa. Kończąc powiedział:

– Jak to technicznie będzie wykonane, powie wam specjalista, inżynier geometra, który tu przybył – i oddał głos gościowi.

Ten wstał i przedstawił się:

– Nazywam się Waldemar Wysocki. Przybyłem tu, aby rozpocząć i prowadzić te prace, o których mówił mój przedmówca. Najpierw zaczniemy od pomiarów, proszę was o cierpliwość i współpracę. Przed nami stoi trudne zadanie, ale owocem tego będzie poprawa waszej egzystencji. W trakcie tych prac będę z wami w stałym kontakcie, gotowy na wasze uwagi, wyjaśnienia, wątpliwości i pytania. Mam nadzieję, że nasza współpraca będzie dobra.

Inżynier nie znał ukraińskiego i mówił w języku polskim. Wielu zrozumiało go, ale byli tacy, którzy potrzebowali tłumacza. Zrobił to powszechnie szanowany nauczyciel Mikołaj, który po przetłumaczeniu słów inżyniera, z własnej inicjatywy wyjaśnił zalety tej reformy.

Chłop ukraiński jest z natury swej nieufny i konserwatywny, boi się zmian i woli trwać w swoim zacofaniu. Toteż dały się słyszeć szmery niezadowolenia, ale wygasił je pop swoim zdecydowanym poparciem dla komasacji, a także bardziej światli chłopci, którzy w poparciu reformy wskazali na pozytywne jej wyniki w sąsiedniej wsi. W rezultacie plan reformy Czeremnego został zaakceptowany przez zdecydowaną większość zebranych.

\* \* \*

Mimo dużego zaangażowania Walentynki w prace wiosenne, nieraz wyczerpujące fizycznie, nie wygasł w sercu dziewczyny jej bogaty świat duchowy. Przeciwnie, bezpośredni kontakt z przyrodą wzbogacał go. Bywało, że wyczerpana fizycznie rzucała się na wznak na miękką bujną trawę i wpatrzona w błękit nieba śledziła wolno płynące obłoki. Gdy tak leżąc czuła zapach polnych kwiatów, słyszała kojące brzęczenie pszczołek, patrzyła na ważki i motyle, na śmigające jaskółki, odczuwała rozkosz i piękno życia. Ta kontemplacja budziła w jej sercu wdzięczność dla Stwórcy, kreatora tego cudownego świata, do którego i ona należy. Był to odzew głęboko zakorzenionej wiary, zasianej w jej sercu przez śp. mamę... W chwilach wolnych chwytiała dziewczyna za pędzel i od czasu do czasu tworzyła ulubione akwarelki lub szkice.

Karolina okazała się jednak dobrą macochą. Nie miała własnej córki, toteż Walentyna ujęła ją swoim spokojem, pracowitością, pojednawczą postawą w obliczu różnych problemów, które niesie życie. Ceniła ją za jej mądrość i wrodzony talent artystyczny i chyba pokochała jak córkę. Widząc, że Walentyna jest dziewczyną delikatnej budowy, chroniła ją od ciężkiej pracy, którą brała na siebie lub angażowała do niej wiejskie dziewczyny.

Pewnej niedzieli po powrocie z kościoła i obiedzie Walentynka wyszła na przechadzkę. Idąc, mijała najpierw łąny zboża i łąki należące do ich gospodarstwa, aż doszła do rzeczki. Tu zatrzymała się, patrząc za rzeczkę, pastwiska, pasące się tam krowy, na biegających pastuchów, a dalej widziała las i na jego tle dworek. Było ciepło i słonecznie. Dziewczyna zapragnęła przejść przez rzeczkę i zbliżyć się do lasu. Wiedziała, że tam zawsze było dużo pięknych polnych kwiatów. „Uzbieram kwiatków do przydrożnego krzyża i do mojego pokoju”, myślała. Zdjęła pantofelki i przeszła płytki strumień. Przyjemny orzeźwiający chłód płynącej czystej wody sprawił jej przyjemność. Założyła pantofelki i szła w kierunku lasu. Na jego skraju biegła polna droga, prowadząca od leśniczówki do wsi. Właśnie przy tej drodze rosły jej ulubione kwiaty. Zastała ich wielką obfitość i różnorodność. Zrywała coraz piękniejsze okazy i po chwili miała ich już całe naręcze. Pochłonięta zrywaniem kwiatów i zachwycona ich pięknem i zapachem, nie usłyszała kroków idącego drogą wędrowcy. Do jej uszu dotarło dopiero wypowiedziane dźwięcznym męskim głosem pozdrowienie:

– Dzień dobry pani!

Drgnęła przestraszona, odwróciła się i ujrzała stojącego przed nią młodego przystojnego mężczyznę ze strzelbą przewieszoną na ramieniu, który w pozdrowieniu uchylił swój myśliwski kapelusz. Nieznajomy uśmiechał się do niej i wydał się dziewczynie jakiś niezwykły. To niespodziewane i nagłe zjawisko tak poruszyło Walentynkę, że trzymane przez nią kwiaty wysunęły się z jej rąk i spadły na trawę, ona zaś stała z opuszczonymi rękami jak urzeczona. Dopiero po chwili odpowiedziała cicho:

– Dzień dobry.

– Bardzo przepraszam panią, że ją przestraszyłem – mówił nieznajomy, szybko zbierając rozsypane kwiaty.

– Dziękuję, zrobię to sama – odrzekła, ale nim zdążyła się po nie pochylić, sprawca wydarzenia ją uprzedził i podał jej cały naręcz. Następnie znów uchylił kapelusza i rzekł:

– Pozwoli pani, że jej się przedstawię. Nazywam się Waldemar Wysocki. Przybyłem tu przed kilkoma dniami do pracy, mieszkam w tym domu – wskazał na dom leśniczego.

Speszona dziewczyna z wypiekami na twarzy dygnęła i prawie szepem powiedziała:

– Jestem Walentyna, mieszkam w tamtym oto domu.

I wskazała widoczny w oddali dach z dymiącym kominem.

– Aaa, to jesteśmy sąsiadami – ucieszył się pan Waldemar.

– Muszę już wracać do domu odparła dziewczyna.

– Rozumiem, tylko jak pani przejdzie przez rzeczkę? Mam tu nieduży pojeźdźnik konny. Pozwoli pani, że ją przez rzeczkę przewiozę.

– Oo, dziękuję, ja zdejmuję pantofle i przechodzę.

– Podziwiam panią i życzę nieskaleczenia nóg.

– Dziękuję i żegnam pana!

– Do zobaczenia!

Po tej odpowiedzi Walentyna szybko ruszyła w kierunku domu. Waldemar stał i patrzył na nią. Przeszła już rzeczkę, a on ciągle jeszcze patrzył. Walentyna nie wiedząc, że jest obserwowana, obejrzała się. Wówczas on zdjął kapelusz i unosząc go wysoko machał na pożegnanie. Ona zmuszona była odpowiedzieć na ten gest. Odwróciła się i kilkakrotnie machnęła ręką.

Po przyjsciu do domu weszła do swego pokoju, położyła kwiaty na stole, usiadła i myślała o tym wydarzeniu. Czuła się dziwnie. „Co się ze mną dzieje?“, pytała sama siebie, dziwiąc się, że ten człowiek zrobił na niej tak duże wrażenie. „To mi przejdzie, to tylko jakaś chwilowa fascynacja“, myślała. Starając się zapomnieć o tym wydarzeniu, zajęła się kwiatami. Jeden bukiet postawiła przy obrazie Matki Bożej Ostrobramskiej w swoim pokoju, drugi zaniósła do krzyża.

Przy kolacji Karolina uważnie patrzyła na nią. Jej kobieca intuicja mówiła, że z Walentyną coś się dzieje.

– *Co tobie jest, Walentynka, masz jakieś kłopoty czy ty może słaba?* – przyłożyła rękę do czoła dziewczyny.

– Nic mi nie jest, mamó (bo tak się do niej zwracała). Jestem tylko trochę zmęczona po spacerze i zbieraniu kwiatów.

To jednak nie przekonało Karoliny.

– *Musi ty wczora za mocno narobiła sie koło tyj kartofli. Jutro tudy pójde ja, a ty posiedz w domu i jak będziesz mogła, ugotuj coś na obiad.*

– Co ty, mamó? Ja chcę pracować, to mi dobrze zrobi.

– *Jutro wy obydwie zostancie w domu. Ty Karolinka dopilnuj Walentynkie, żep była zdrowa, a ja wezme Hordija żonkie i te kartofle zrobimy* – zdecydował Jan.

Tak dyskutowali, ale tylko Walentyna wiedziała, co jej jest, to jednak było jej tajemnicą. Tej nocy długo nie mogła usnąć. Chwilami czuła żal do tego człowieka za zakłócenie jej spokoju.

Minął tydzień od tego zdarzenia. Walentyna jakby ochłonęła i starała się o tym nie myśleć, ale przyszła właśnie następna niedziela. Jak zwykle, wybrała się w gronie młodzieży pieszo do kościoła. W grupie tej był także Franio, który po pamiętnym dla niego wyznaniu stał się wobec Walentyny jeszcze bardziej nieśmiały i tylko zerkał ukradkiem w jej kierunku, myśląc jak o gwiazdce na niebie, po którą nie może sięgnąć...

Gdy Walentyna weszła do kościoła, przyklęła i skierowała się do swojej ławki. Nagle zatrzymała się. Na sąsiedniej ławce zobaczyła Waldemara, ale nie samego. Obok niego siedziała jej przyjaciółka, Irenka, nauczycielka z Czeremnego. Walentyna niezauważona przez nich, ogromnie poruszona, cofnęła się do ostatnich ławek. W czasie mszy świętej dziewczyna nie potrafiła się skupić. Myśli jak burza nurtowały jej umysł. „Dlaczego siedzi z Irenką? To przypadek, czy może ona jest jego dziewczyną?”. W tym momencie przekonała się, że wzajemne relacje tych dwojga nie są dla niej obojętne. „A zatem Waldemar pograżył moje serce i to jest moją klęską”, myślała. Rozterki i jakieś poczucie gorzkiego zawodu zdominowały jej myśli do końca mszy. Wychodziła z kościoła z poczuciem żalu,

ale też skruchy, że nie potrafiła zapanować nad sobą i z uwagą wysłuchać mszy świętej. Gdy zamyślona szła za swoją grupą młodzieży, nadjechał konny pojazd, z którego wyskoczyli Irenka i Waldemar.

– Walentyńko – zwróciła się do niej Irenka – nie będę ci przedstawiała Waldemara, bo już się znacie, ale zapraszamy do jazdy z nami. Zawieziemy cię do domu i w drodze porozmawiamy sobie.

– Zapraszamy – z ukłonem dodał Waldemar.

Zaskoczona dziewczyna początkowo nie wiedziała, co powiedzieć i jak się zachować, ale wkrótce nabrała animuszu. Dumnie uniosła głowę i odrzekła:

– Dziękuję, przyszedłem tu ze swoim towarzystwem i z nim wrócę. Jedźcie państwo z Bogiem.

I odeszła. A oni ze zdziwieniem spojrzeli po sobie, wzruszyli ramionami i odjechali.

Gdy Walentyna wróciła do domu, zamknęła się w swoim pokoju i mimo prośb nie chciała obiadu. Wielki żal jej nie opuszczał, do tego trapiło ją to, że nieodpowiednio zachowała się wobec tej pary. „Nie potrafiłam okazać obojętności”, myślała.

Tymczasem jeszcze tego samego dnia niespodziewanie odwiedziła ją Irenka, którą zaniepokoiło dziwne zachowanie Walentyny. Witając ją w swoim pokoju, Walentyna zaczęła od przeprosin.

– Wybacz Irenko, miałam dziś ciężki dzień.

– Ja się nie obraziłam, tylko martwiłam się o ciebie. Bo widzisz Walentyńko, mój kuzyn bardzo pragnął spotkania z tobą.

– Jaki kuzyn? – spytała Walentyna.

– Waldemar – odpowiedziała Irenka.

– On jest twoim kuzynem?

– Tak, bardzo bliskim, jest synem siostry mojego ojca, czyli mojej cioci – wyjaśniła Irenka

Nagle jakby cudowne fanfary anielskie zagrały w duszy Walentynki. Nie potrafiła się opanować, chwyciła w ramiona Irenkę, a łzy wielkie jak groch popłynęły z jej oczu. Ta zorientowała się już, co jest istotą takiego zachowania i reakcji dziewczyny. Uszczęśliwiona, odpowiedziała jej jesz-

cze silniejszym uściskiem. Gdy obie ochłonęły i usiadły na kanapie obok siebie, Irenka, patrząc w oczy Walentyńce, z kobiecą ciekawością spytała:

– Powiedz mi, podoba ci się Waldek? No powiedz, proszę...

– Och, Irenko!... Od pierwszego spojrzenia, od pierwszego spotkania – i omdlewająco położyła głowę na ramieniu przyjaciółki...

– Dobrze, Walentyńko. Niech to wszystko zostanie naszą tajemnicą. Waldek nie może o tym wiedzieć. Niech walczy o ciebie.

– Och, nie, nie może wiedzieć, Irenko, nie może... Mam wątpliwości, czy w ogóle zależy mu na mnie.

– Zapewniam cię, że mu zależy. Przekonasz się o tym wkrótce.

Irenka odeszła, a Walentyńka długo jeszcze siedziała pogrążona w swoich myślach, chwilami nie wierząc w realność tego, czego doznaje. „Czy to nie sen o pięknym królewiczu?“, z lękiem pytała sama siebie. Jednak jej samopoczucie krańcowo się zmieniło. Wyszła z pokoju w błogim nastroju, optymistycznie uskrzydłona, a w duchu radosna. Można to było wyczytać z jej twarzy. Czujna jak żuraw Karolina, z ulgą w sercu zauważyła tę zmianę nastroju pasierbicy, o którą już się martwiła.

– *Nu tu może tera zżyż obiad nareszcie.*

I poprosiła ją do stołu. Karolinę bardzo interesowało, co jest powodem tych zmian w nastroju dziewczyny.

\*\*\*

Tymczasem rozpoczęły się zapowiedziane pomiary gruntów chłopskich w Czeremnem. Na polach zjawiał się Waldemar z aparatem geodezyjnym na trójnogu. Towarzyszyło mu kilku pomocników, młodych wiejskich chłopaków. Jedni nosili aparaturę, inni trzymali w rękach długie białe-czerwone tyki, zwane żelonami. Odczytane w aparacie pomiary Waldemar zapisywał na dużym kartonie, który miał przy sobie.

Pracująca na swoim polu Walentyńka widziała go z daleka. Pewnego dnia wykonywał pomiary przy polu Jana w czasie, gdy obie z Karoliną okopywały buraki. Dziewczyna pracując, zerknęła w jego kierunku. W pewnym momencie zauważyła, że Waldemar przerwał pracę i ruszył w jej kierunku. Początkowo nie przypuszczała, że idzie do niej, ale gdy

wkroczył na pole buraków, serce dziewczyny gwałtownie zabiło. Widząc to, Karolina dyskretnie wycofała się do domu, bowiem zorientowała się już, jakie są powody rozterek dziewczyny. Tymczasem Waldemar rzeczywiście szedł na spotkanie z Walentyną. Gdy już był w pobliżu, zawołał:

– Witam panią i przepraszam, że przeszkadzam w pracy. Przychodzę z prośbą o pozwolenie mi dokonania pomiaru. Zachodzi potrzeba ustawienia aparatu na waszym terenie, by wykonać pomiar sąsiedniej działki.

– Nie mamy nic przeciwko temu – odpowiedziała.

Ale Waldemar miał jeszcze coś ważnego do powiedzenia, bo bezpośrednio zbliżył się do dziewczyny i ciepłym, znizonym głosem przemówił:

– Panno Walentyno, chciałem jeszcze powiedzieć, że doznałem szczęścia i zaszczytu poznania interesującej i utalentowanej osoby... – zamilkł patrząc z wielką atencją na dziewczynę.

Walentyna stała zmieszana, w rękach trzymała haczkę do okopywania warzyw i nie wiedziała, co ma powiedzieć. Wreszcie odważyła się zapytać:

– Kto jest tą osobą, proszę pana?

– Pani! – brzmiała odpowiedź.

Tego już było za wiele na odporność psychiczną dziewczyny. Stała drżąca i słaba, a gdyby nie ta haczka, na której się wspierała, chyba by upadła.

– Ja?... – drżącym, wyciszonym głosem spytała.

– Pani, i to od pierwszego naszego spotkania. Nie wiedziałem, jak nawiązać z panią kontakt, ale obiecała mi pomóc w tym moja kuzynka. Pokazała mi też piękne artystyczne prace wykonane przez panią, którymi ozdobione są ściany szkoły.

– Och, te moje prace to nic takiego, po prostu takie szkolne malowidła.

– Dla mnie są piękne, jak ich autorka, przed którą chylę czoła i proszę o przyjęcie moich sąsiedzkich i towarzyskich usług. Jeśli to jest możliwe – dodał.

Skonfundowana dziewczyna nie wiedziała, jak ma się zachować i co odpowiedzieć.

– Ależ proszę pana, ja jestem prosta wiejska dziewczyna od ciężkiej pracy, a pan przecież... – nie skończyła, bo on jej przerwał.

– Panno Walentyo – odrzekł – ja też jestem dzieckiem wsi. W powiecie rówieńskim moi rodzice mają gospodarkę podobną do waszej. Pracowałem tam od dziecka, a później wszystkie moje wakacje to znojna praca przy sianokosach i żniwach. Umiem kosić, orać i opiekować się dobytkiem, szczególnie końmi, które lubię... Jednego z nich pani widziała, gdy jechaliśmy z kościoła. Ten konik i dwukołowy waszązek to prezent od mojego dziadziusia.

Dziewczyna z zachwytem patrzyła na niego i słuchała, jak mówił to z temperamentem i młodzieńczą ekspresją.

– Panie Waldemarze – ośmieliła się powiedzieć – ja też cieszę się, że pana poznałam.

– Zaszczyt to dla mnie i nadzieja – odrzekł, całując rękę dziewczyny.

– A zatem do zobaczenia, pani Walentyo!

I odszedł do swoich zajęć.

Następnego dnia wieczorem, gdy Walentya po skończonej pracy odpoczywała na ławeczce w sadzie i myślała o przeżyciach wczorajszego spotkania z Waldemarem, niespodziewanie odwiedziła ją Irenka. Była podniecona.

– Wiesz, Walentyanko? Mikołaj odszedł na emeryturę i na jego miejsce do naszej szkoły przydzielono nowego nauczyciela. Jest młody, przystojny i sympatyczny, bardzo mi się podoba, a przy tym nieżonaty!...

– Ho, ho, już widzę, że kroi się nowa sielanka!... – z uśmiechem odrzekła Walentya.

– Powiedziałaś: „nowa sielanka”? To znaczy, że wasza już istnieje i może mieć wspaniały finał.

– Oj, Irenko, tak mi się tylko powiedziało – tłumaczyła się zażenowana Walentya.

– W moim przypadku Walentyanko, gdyby nawet... to, jak to się mówi: „z tej mąki chleba nie będzie”, bo on jest Ukraińcem.

– No i co? Przecież miłość nie uznaje granic etnicznych.

– Miłość nie uznaje, ale są jeszcze zwyczaje i zasady, których ja nie lekceważę, a być może, on również. No, ale mówienie o tym to jak pisa-

nie patykiem po wodzie. My jeszcze przecież wcale się z sobą nie znamy. Przyszłam do ciebie Walentyńko, by cię zaprosić na herbatkę. Będzie Waldemar i być może ten nowy nauczyciel. To spotkanie chciałabym zaaranżować w najbliższą niedzielę w godzinach popołudniowych. Czy przyjdiesz? – pytająco spojrzała na Walentynekę.

– Zaskoczyłaś mnie tym, Irenko. Ty wiesz, że udział w takim spotkaniu, gdzie będzie on, twój kuzyn, to dla mnie duże przeżycie. Nie wiem, jak się zachować, jak się ubrać... Boję się, ale przyjdę i jestem ci wdzięczna za zaproszenie.

– Tak naprawdę, to myśl tę podsunął mi Waldemar. On bardzo pragnie spotkania z tobą. Walentyńko, on cię kocha!

Słyszając to, dziewczyna spłonęła na twarzy jak róża... Irenka odeszła mówiąc:

– Czekamy na ciebie!

Walentyńka siedziała jeszcze długo na ławeczce, a w uszach brzmiały jej słowa Irenki: „On cię kocha”. Już zapadł ciepły czerwcowy wieczór, w pobliżu kłaskały słowiki, pachniała maciejka, a w jej duszy grała najpiękniejsza miłosna symfonia...

Gdy nadszedł ten oczekiwany przez Walentynekę dzień wizyty u Irenki, napełniła koszyk dorodnymi, pachnącymi truskawkami z przydomowego ogrodu, a idąc poprzez łąki uzbierała bukiet niezapominajek. W szkole, gdzie Irenka miała swoją kwaterę, zjawiała się nieco wcześniej. Po chwili przybył Waldemar z dwoma bukietami kwiatów. Witając się z Walentyną i wręczając jej bukiet, powiedział:

– To kwiaty, które pani lubi, a uzbierałem je w miejscu naszego pierwszego spotkania...

Wzruszona dziewczyna dziękowała, a kwiaty całowała i tuliła do piersi.

– Wysuszę je i przechowam jako cenną pamiątkę – mówiła.

Zajęta nakryciem stołu i przygotowaniem herbaty gospodyni zwróciła się nagle do swoich gości z propozycją:

– A wy przestańcie z takim dystansem odnosić się do siebie, czas już czynić to w konwencji koleżeńskiej: po imieniu i na „ty”.

Ci dwoje, zaskoczeni, milczeli chwilę. Po czym Waldemar wstał na całą swoją wysokość, kłaniając się spojrzał na siedzącą dziewczynę i rzekł:

– Jeśli panna Walentynka pozwoli, bardzo tego pragnę.

Zmieszana i przejęta niespodziewaną sytuacją dziewczyna uniosła głowę i bez słów patrzyła w górę na twarz Waldemara. Jej duże, chabrowe oczy wyrażały wszystko: i ufność, i miłość, i bezwarunkowe oddanie, a także aprobatę. Na potwierdzenie tego wyciągnęła do młodzieńca rękę, którą on z czcią ucałował, a następnie całując dziewczynę w policzek, powiedział:

– Dziękuję ci, Walentynko.

Widząc to Irenka z satysfakcją pomyślała, że pomogła im przekroczyć pierwszą barierę.

Gdy ochłonęli po tym, co tak nagle i niespodziewanie między nimi zaszło, bardziej już rozluźnieni i swobodni zasiedli przy stole, na którym już stała dymiąca herbata. Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wpadł młody mężczyzna. Widząc towarzystwo przy stole, uklonił się i rzekł:

– Przepraszam państwa, nie znam jeszcze rozkładu budynku i myślałem, że wchodzę na korytarz lub do sali szkolnej, a trafiłem wprost do gospodyni – i skłonił się w kierunku Irenki.

– Nie szkodzi – odpowiedziała – prosimy dołączyć się do towarzystwa.

Młodzieniec szybkim krokiem zbliżył się do gospodyni mieszkania, szarmancko uklonił się i ucałował jej rękę. Następnie uklonił się nieznanej mu parze.

– Oto jest ten pan, o którym już wam mówiłam – poinformowała Irenka.

A do niego:

– To jest moja przyjaciółka Walentyna i mój kuzyn Waldemar.

– Moje imię Wołodia, po polsku Włodzimierz, czyli Włodek – mówił, po czym ucałował rękę podaną mu przez Walentynę oraz energicznie potrząsnął dłoń Waldemara.

Wołodia był mężczyzną wysokim, smukłym o bardzo żywych ruchach ciała w czasie rozmów i dyskusji. W zachowaniu prezentował się

jako młodzieniec niezwykle impulsywny i spontaniczny. Miał ciemny zarost i takąż bujną czuprynę spadająca mu na czoło, którą energicznym ruchem głowy odrzucał na bok. Towarzysko układny i grzeczny, robił wrażenie sympatycznego, ale przez niektórych uważany był za ekscentryka, a przez innych za typ kozackiego mołojca.

W czasie tego spotkania u Irenki dominował w rozmowie i raczej więcej mówił niż słuchał.

– Pochodzę z Galicji – zaczął – gdzie w porównaniu z Wołyniem mało jest lasów i rzek. Tu fascynują mnie wspaniałe lasy, leniwe rzeki i rozległe moczary pełne dzikiego ptactwa. Piękne są tu (choć ubogie) ukraińskie wsie o słomianych dachach, pełne bocianich gniazd i żurawi studziennych. No i ten ukraiński lud wiejski, spokojny, gościnny i rozśpiewany... Cieszę się, że będę mógł mu służyć. Poznałem już tutejszego duchownego przy prawosławnej cerkwi. To bardzo życzliwy człowiek. Zgodził się na wynajęcie mi kwatery w jego domu, gdzie mieszka ze swoją rodziną. Ja jestem wyznania greckokatolickiego, jak ogromna większość Ukraińców w naszej Galicji, ale te dwa kościoły – nasz i prawosławny – są sobie bardzo bliskie.

– Bo są chrześcijańskie, podobnie jak nasz, katolicki – wtrąciła Walentyna.

– Z tą małą różnicą, szanowna pani, że w naszych kościołach mamy ten sam język – zauważył Wołodia.

– Pozwolę sobie powiedzieć szanownemu koledze, że nazywanie regionu, z którego pochodzi, Galicją jest niewłaściwe. To nazwa nadana przez zaborcę austriackiego. Właściwa, geograficzna nazwa brzmi inaczej. Jest to Małopolska – ripostował Waldemar.

– Ja wiem o tym, tylko nie rozumiem, dlaczego Małopolska? Może dlatego, że mało tam Polaków?...

– Polaków tam nie jest mało i, co ważniejsze, ich rola w tym regionie jest dominująca.

– Oczywiście, bo Polacy tam rządzą – wtrącił Wołodia.

– Pan mi przerwał, ja nie skończyłem jeszcze wyłożenia swojej myśli. Otóż nie tylko rządzą, ale przede wszystkim kreują gospodarczą cywilizację i bronią tej ziemi.

– Bronią!?... – ze zdziwieniem zapytał Wołodia.

– Tak, bronią, bo gdyby tego nie robili, nie byłoby tam wież cerkiewnych i kościelnych, tylko minarety. Zna pan przecież historię i wie, że to Rzeczpospolita obojga narodów na przestrzeni wieków powstrzymywała inwazję muzułmańską na Europę. Wie pan też, że gdyby nie zwycięstwo Polaków pod Warszawą w roku 1920, pańska ojczysta ziemia znalazłaby się w bolszewickim „raju”.

– Mówi pan, że Polacy „kreują gospodarczą cywilizację”. Ja bym dodał do tego, że jest to cywilizacja nierówności społecznej, bo nawet tu, w Czeremnem, obok bogatych gospodarstw polskich i czeskich widzimy ubóstwo ukraińskich chłopów – z naciskiem twierdził Wołodia.

– Szanowny pan niech zauważy, że niepodległa Polska dopiero zaczyna odbudowę kraju po wyniszczającej wojnie i rozbiorowym rozbiciu. Czeremne pod względem egzystencjalnym nie jest typową wsią Wołynia. Pochodzę z powiatu rówieńskiego. Tam ziemia jest żyzniejsza i gospodarstwa są bogate. Obok gospodarstw polskich i czeskich są równie im bogate gospodarstwa ukraińskie, które stanowią tam większość. Wracając do ubóstwa i prymitywizmu wsi ukraińskich takich jak Czeremne, proszę zauważyć, że jest to spuścizna zaborczych władz rosyjskich. Car nie dbał o oświatę i modernizację wsi. Szkolnictwo nie było obowiązkowe, brakowało budynków szkolnych. Ówczesne władze nie krzewiły kultury rolnej. Nie dbały też o infrastrukturę wsi i miast. Brakowało mostów i dróg. Niech pan zobaczy, ile teraz buduje się dróg i szkół. Wprowadzono obowiązek posyłania dzieci do szkoły i ukończenia przez nich minimum czterech klas szkoły powszechnej. W Polsce realizowany jest szeroki program reformy rolnej, ze szczególnym uwzględnieniem ukraińskich wsi. Prowadzi się komasację gruntów i meliorację terenów podmokłych. Tym programem objęto tutejszą wieś – Czeremne i w tym celu ja tu przybyłem – zakończył Waldemar.

Wołodia nie miał już innych argumentów, potrząsał tylko czupryną i z wyrazem niechęci błyskał oczami w kierunku swojego adwersarza. Widać było, że chciałby już zmienić temat. Pomogła mu w tym Irenka, mówiąc:

– Przestańcie już panowie mówić o takich poważnych sprawach i częstujcie się pysznymi truskawkami, które przyniosła Walentyna.

Ta zaś w czasie tej dyskusji z wyrazem zachwytu i podziwu patrzyła na Waldemara, w całości dzielając jego poglądy.

Po skosztowaniu truskawek Wołodia powiedział, że pachną wiosną i Wołyniem, po czym wstał, uklonił się układowo i oświadczył, że musi już iść. Dziękując gospodyni, przypominał o jutrzejszym spotkaniu w sprawie programu kończącego się roku szkolnego, gdyż on już zaczyna pracę. Po tych słowach wyszedł tak szybko, jak wchodził.

Po jego wyjściu w pokoju zapanowała cisza i milczenie. Przerwała ją Irenka, mówiąc:

– Podejrzewam, że współpraca z nim nie będzie łatwa.

– Współczuję ci, Irenko, to dziwak, a w dodatku nieufny, a może nawet nieprzyjaźnie nastawiony do Polaków – konstatował Waldemar.

Był już późny wieczór. Wszyscy troje potrzebowali odpoczynku przed jutrzejszą pracą. Walentyna pierwsza powiedziała, że czas uwolnić gospodynię i iść do domu. Na te słowa Waldemar zareagował gotowością jej odprowadzenia. Dziewczyna spuściła oczy i zarumieniona odpowiedziała:

– Będę panu... to znaczy, będę ci wdzięczna, bo nie zwykłam sama chodzić po nocy...

Wieczór był cichy, księżycowy. Oddalając się od budynku szkolnego wyszli na ścieżkę wiodącą przez łąkę. Przez pewien czas szli w milczeniu obok siebie. On prowadził ją pod rękę. Ona trzymała przy piersi kwiaty подарowane przez niego. Serca im biły gwałtownie, jakby oczekiwały na jakieś wielkie w ich życiu wydarzenie. I wydarzyło się.

Waldemar nagle poprosił dziewczynę, aby się zatrzymali, bo on chce jej coś wyznać. Gdy to uczyniła, stanął naprzeciw niej prosząc, aby popatrzyła mu w oczy. Dziewczyna z ufnością i oddaniem spełniła jego życzenie, z drżeniem serca oczekując na to, co usłyszy. On wziął w swoje dłonie jej rękę i z przejęciem, patrząc jej w oczy, przemówił:

– Walentyno, w swoim dojrzałym młodzieńczym życiu nie spotkałem dziewczyny, która by poruszyła moje serce, nie doznałem uczucia miłości aż do czasu, gdy ty stanęłaś na drodze mojego życia...

W tym momencie Walentyna zadrżała na całym ciele, przykryła oczy powiekami i z lękiem, ale też z wielką nadzieją oczekiwała dalszych słów młodzieńca. A on kontynuował:

– Walentyno, kocham cię całym moim sercem i duszą, nie wyobrażam sobie życia bez ciebie i proszę cię, abyś została moją żoną...

To wyznanie było spełnieniem wielkiego oczekiwania dziewczyny. Upojona szczęściem, oparła głowę o jego pierś i cicho, z przejęciem odrzekła:

– Waldemarze, ja cię też kocham od pierwszego naszego spotkania... Tak, pragnę zostać twoją żoną...

Silne męskie ramiona objęły dziewczynę i ich usta zwały się w gorącym długim pocałunku. Działo się to w obecności wielkiego księżyca, roziskrzonych gwiazd, przy akompaniamencie klaskających słowików i aromacie polnych kwiatów...

Pijani ze szczęścia rozstali się przy drzwiach domu Walentyny.

Ładunek emocji w sercu dziewczyny był tak duży, że wpadła do izby i zawołała:

– Mamo, tato, wychodzę za mąż!

– *Co ty powiedziała?* – pytał zdumiony Jan.

Zamiast odpowiedzi dziewczyna objęła ojca i tuląc się do niego mówiła.

– Tato, on mnie kocha, ty wiesz? On mnie kocha!!!

– *Chto?* – pytał Jan.

– Waldemar – odpowiedziała.

– *Aa... ten geometra. Nu, a ty też jego lubisz?*

– Oj, tato! Kocham go, nad życie...

– *Chciałby ja z nim pogadać i rozebrać co un za jeden, żep ja mók oddać jemu moje córkie.*

Karolina była świadkiem tej sceny między ojcem i córką, ale ona już wcześniej przewidywała to, co się teraz działo. Powiedziała więc:

– *Ja już dawno rozebrała chto un jest. To rozumny i dobry kawaler. Popatrz, Janku, nichto' unas nima tyle szkoły co un, chiba może nasz ksiądz albo Mikołaj. Un wart jest naszym Walentynki.*

Dziewczyna w odruchu wdzięczności rzuciła się na szyję swojej matki i ucałowała ją w oba policzki.

Następnej niedzieli przed dom Jana przyjechał swoim pojazdem Waldemar z ogromnym naręczem kwiatów. Odbyły się oficjalne oświadczenia. Młodzi życzyli sobie, aby ich ślub odbył się jak najszybciej, jeszcze przed żniwami. Dlatego Waldemar z narzeczoną niezwłocznie udali się do księdza i, jak to się wówczas mówiło, dali na zapowiedzi. Polegało to na tym, że ksiądz przez kolejne trzy niedziele ogłaszał: „Kawaler Waldemar Wysocki z miejscowości Czeremne z panną Walentyną Lipińską z miejscowości Czeremne zamierzają zawrzeć związek małżeński. Kto by wiedział o przeszkodach między tymi osobami, powinien powiadomić mnie jako proboszcza. Zapowiedź pierwsza”. Po załatwieniu formalności w parafii Waldemar z narzeczoną udali się do jego rodziców, zamieszkałych w sąsiednim powiecie rówieńskim.

Rozpoczęto przygotowania do ślubu i wesela, które ustalono na sobotę i niedzielę pierwszych dni lipca. Miało to być wesele huczne, z dużą liczbą gości, bo jak mówił Jan: *„Jedno mam córkie i nie będę nic dla niej szokował”*. Pod nóż poszedł duży upasiony wieprz, cielę, indyki, kaczki i kurczęta. Liczono na dobrą pogodę i ucztę weselną zaplanowano na trawniku w sadzie obok domu Panny Młodej. Oprócz najbliższych sąsiadów, młodzi zaprosili księdza, który udzieli im ślubu, a także popa, nauczycieli i sołtysa z młodzieżą wsi Czeremne. Zaproszony był też leśniczy z małżonką, którzy byli najbliższymi sąsiadami Waldemara, bo mieszkali w drugiej połowie dworku. W przeddzień uroczystości weselnej dwoma wozami przybyła rodzina Waldemara. Przywiozła mnóstwo wiktuałów na wesele i prezentów dla Młodej Pary.

Zgodnie przewidywaniem, w dniu ślubu – w sobotę – była piękna słoneczna pogoda. Przed wyjazdem do kościoła odbyły się zwyczajowe obrzędy. Na krzesłach siedzieli rodzice: matka Waldemara i ojciec Walentyny. Przed sobą w rękach trzymali zdjęte ze ściany święte obrazy. Młodzi uklękli przed nimi, a oni błogosławili ich. Przed domem czekały wozy zaprzężone w pięknie przystrojone wstążeczkami konie z janczarami na karkach. Na pierwszy z tych wozów siadła Młoda Para i ich

świadkowie – Irenka i Henryk, syn Waleriana, na pozostałych druhny, druźbowie, rodzice młodych i goście.

Walentyna stała przed ołtarzem w pięknej białej sukni i spadającym od głowy do stóp welonem, obok niej Waldemar w ciemnym garniturze. Za nimi towarzyszące im pary druźbowe, na czele z Bronką i Franiem. W ławkach rodzice i pozostali liczni goście. Uroczyście powiedziane, płynące z głębi ich serc słowo „tak” oraz moment splecionych dłoni przykrytych kapłańską stułą, a także wzajemne wkładanie sobie obrączek było dla nich obojga przejmującym misterium... Gdy po tym uroczystym akcie zawartym wobec Boga i ludzi młodzi małżonkowie odchodzili od ołtarza – przy potężnie grzmiących organach i pieśni *Veni Creator Spiritus*, którą śpiewał organista – byli głęboko wzruszeni i szczęśliwi, stawiając swe pierwsze kroki ich wędrówki przez całe życie...

Po wyjściu z kościoła, zgodnie ze zwyczajem, zostali obsypani ziarnami zboża, co miało im przynieść materialny dostatek. Droga przez pola i łąki z radosnym brzękiem janczarów u końskich karków mknął ten orszak do weselnego domu. Tu czekali starosta i starościna weselni, którzy przywitali Młodą Parę chlebem i solą. Wśród zgromadzonych przed domem było dużo ukraińskich dziewcząt i chłopców, którym przewodził znany już nam nauczyciel Wołodia. Wszyscy, łącznie z Wołodią, ubrani byli w ukraińskie stroje ludowe: dziewczyny w białe koszule z szerokimi rękawami suto ozdobionymi czerwono-czarnym krzyżkowym haftem i w ciemne szerokie spódnice, u dołu ozdobione rzędami barwnych tasiemek. Spódnice przykrywał bogato zdobiony haftem biały fartuch. Na szyjach wisiały sznury barwnych koralików, a głowy okryte były barwnymi, kwiecistymi chustami. Chłopcy ubrani byli w długie, białe, płócienne koszule ze stojącymi, ciasno zapiętymi na szyi kołnierzami, w całości pokrytymi haftem. Gorsy tych koszul też były haftowane. Spod koszul, przepasanych haftowanym pasem, wychodziły białe płócienne spodnie, a na nogach mieli buty. Głowy odkryte, czupryny bujne. Młodzież ta witała Młodą Parę ukraińskimi przyśpiewkami i wieńcami z polnych kwiatów, które w powitaniu zawieszali nowożeńcom na szyje.

W sadzie przy domu weselnym ustawiono długie rzędy stołów nakrytych białym lnianym płótnem, a na nich ogromny wybór różnego jedła i napojów. Przy stołach stały ławy i krzesła.

Starostowie zapraszali wszystkich do stołów. Centralne miejsce zajęła Młoda Para, a obok nich rodzice i duchowni – ksiądz i pop z Czeremnego. Biesiadnikom przygrywała kapela. Ukraińskie kobiety przyniosły w darze Młodej Parze tradycyjny ukraiński „kurowaj” – specjalne ciasto w formie ogromnego bochna chleba. One to w czasie biesiady, po wypiciu odrobiny wódki, serwowały różne przyspiewki w rodzaju:

*Hej wypyla, wychyyla,  
Sama sebe pochwyla,  
A ja z dobroho rodu,  
Pju horylku jak wodu*

Niektóre z tych przyspiewek były dość frywolne, nienadające się do zacytowania, ale było to zgodne z obyczajowością ludu ukraińskiego.

Ale oto zagrała kapela, rozpoczynając od popularnej polki. Tańczono też walce, fokstroty, oberki i tanga. W tańcach tych młodzież polska łączyła się z ukraińską, a wśród nich z dostojną gracją tańczyła Młoda Para. Waldemar lekko unosił w tańcu swoją ukochaną partnerkę, a ona z rozkoszą ulegała jego wiodącej tanecznej roli, wyczuwając każdy jego ruch, każdy krok, a gdy w momentach tanecznych obrotów zawisała w jego silnych ramionach, doznawała błogiego uczucia, że są to ramiona, którym oddała się na całe życie.

Gdy wreszcie kapela zagrała ognistego *drypaka*, do tańca ruszyła cała młodzież: w pierwszej parze Wołodia, który ze swoją partnerką w szalonych rytmicznych podskokach okrążał murawę, a za nimi wiele par. Powstało barwne wirujące koło tancerzy. Mieniły się w słońcu czerwono-czarne hafty na białych koszulach. Tańcom towarzyszył śpiew, raz solowy, raz zbiorowy oraz okrzyki: „Uha, uha!”. W pewnym momencie kapela przeszła na kozaczka. Momentalnie młodzież podjęła ten taniec. Koło tancerzy zmieniło kierunek obrotu, a poszczególne pary zaczęły wirować. Wołodia dał folgę swojej naturze. Podjął tak szalony taneczny

wir, że jego partnerka, podobnie jak jego bujna czupryna, fruwała w powietrzu, ledwie końcami stóp dotykając ziemi. W końcu puścił partnerkę i sam poszedł w tak zwane *prysiudy*. W szalonym uniesieniu wpadł do środka tanecznego koła i w przysiadzie, z rękami na biodrach, zgodnie z rosnącym tempem muzyki, wyrzucał do przodu na zmianę to jedną, to drugą nogę. Wirujące pary zatrzymały się w miejscu i w takt kapeli klaskaly, dopinując solowemu pokazowi Wołodii.

Zgodnie ze zwyczajem, wesele trwało dwa dni. W niedzielę, po powrocie z kościoła, znów zagrała kapela, w której dominował bęben. Na jego miarowy odgłos schodzili się ludzie ze wsi, przeważnie ci, których w sobotę nie było. Przybył nawet Szmul z kwiatami i życzeniami dla Młodej Pary, tłumacząc się, że wczoraj nie mógł przyjść, bo był to *szabas*. Biesiada weselna trwała do późnego wieczoru.

Młodzi małżonkowie zamieszkali w dworcu pod lasem, gdzie Waldemar miał całkiem wygodne mieszkanie i stajnię dla koni. Miał teraz dwa konie, gdyż drugi otrzymał jako prezent ślubny.

Wkrótce po weselu młodzi w ramach podróży poślubnej wyjechali do Gdyni. Walentyna pierwszy raz w życiu zobaczyła morze. Z podziwem patrzyli na dynamicznie rosnące miasto i port gdyński. Widzieli wielkie statki zawijające do portu. W upalne dni lipca rozkoszowali się kąpielą w chłodnej wodzie Bałtyku. Wieczorami, trzymając się za ręce, spacerowali boso po piasku wybrzeża, a fale wodne oblewały ich stopy.

Ten pełen szczęścia pierwszy tydzień ich „miodowego miesiąca” szybko minął. Musieli wracać do domu – Waldemar do kontynuacji prac geodezyjnych, a Walentyna do obowiązków „pani” ich wspólnego domu. Poza tym jej instynkt i zamiłowanie rolnicze nie pozwalały na bierność wobec powszechnej atmosfery pracy. Rozpoczęły się żniwa, pragnęła jak dotychczas aktywnie włączyć się w tę akcję. Waldemar, który też wychowany był w tradycjach rolniczych i nie były mu obce te prace, zgadzał się na to. Sam też lubił pracować w polu, toteż po zakończeniu codziennych zawodowych obowiązków w godzinach popołudniowych pracował obok swojej żony w gospodarstwie swojego teścia.

Gdy minęły żniwa, Walentyna więcej czasu poświęcała domowi, a w wolnych chwilach biegła na chłopskie pola, gdzie znajdowała pracującego Waldemara. Towarzyszyła mu, a starając się być użyteczną, wykonywała nawet niektóre pomocnicze prace.

Waldemar, mając dwa konie przysposobione pod siodło, postarał się o strój jeździecki dla swojej żony i w niedzielę po powrocie z kościoła i po obiedzie dosiadali rumaków i buszowali po okolicznych lasach. A były tam lasy piękne, bogate w runo leśne i dziką zwierzynę. Waldemar miał strzelbę i mógł polować, ale w obecności swojej żony rezygnował z tego, widząc z jaką radością i zainteresowaniem obserwuje przebiegające albo obserwujące ich sarenki, wyskakujące spod krzaków, płoszone ich obecnością zające czy pływające po bagnach dzikie kaczki. Szczęśliwi, że są razem, z podziwem patrzyli na te dzikie cuda natury. Oto przejeżdżali przez piękny sosnowy bór, w którym dorodne smukłe sosny prześcigały się wzajemnie w sięganiu ku słońcu. Z podziwem patrzyli na gęstą głębię ich pni, szarych u stóp, a wyżej stopniowo przechodzących w kolor złocisty i dopiero wysoko na tle nieba zieleniły się ich iglaste korony. U stóp tych drzew ścieliły się runa jagodnika, dywany mchu lub gęsty las paproci. Były tam też wspaniałe dąbrowy i tajemne gaje grabowe, które swoimi gęstymi koronami przykrywały niebo tak gęsto, że w lesie panował półmrok. W upalne lato szukały tu chłodniejszego schronienia sarny i jelenie. Był tam też polany leśne, gdzie płoszyli wygrzewające się w słońcu jadowite żmije i padalce. Gdy zapuszczali się dalej w kierunku Janowej Doliny i Horynia, napotykali mgliste moczary, będące siedliskiem ptactwa wodnego, żab i wylęgarnią komarów. W upalne dni szukały tu ochłody dziki, które zażywały kąpieli w licznych błotach. Nie był to najlepszy teren do jazdy końmi, bo często grzęzły one w przepastnych trzęsawiskach.

Taka konna eskapada trwała czasami do wieczora. Gdy wracali do domu, zapadał już zmierzch. Konie były pojone i dostawały obrok. Oni, zmęczeni długą jazdą, szli do domu, spożywali kolację, siadali na kanapie i długo jeszcze gwarzyli. Stanowili bardzo udane małżeństwo. Waldemar uwielbiał swoją żonę, gotów był dla niej zrobić wszystko, czego by tylko

sobie życzyła, a jej największym pragnieniem było zawsze być przy nim i spełniać jego życzenia.

Waldemarowie przyjaźnili się ze swoimi najbliższymi sąsiadami, którzy mieszkali w drugiej połowie tego budynku – leśniczym i jego żoną. Było to małżeństwo bezdzietne, trochę starsze od nich. On miał na imię Stefan, a jego żona Adela.

Częstym gościem w ich domu była Irenka. W niedzielę, jadąc do kościoła, zawsze zabierali ją ze sobą, a po powrocie do domu pozostawała u nich na obiedzie. Pewnego razu Irenka zwierzyła się, że atmosfera pracy w szkole pogorszyła się.

– Poprzedni nauczyciel, Mikołaj, miał w szkole wiodącą rolę, ale nigdy mnie nie lekceważył, zawsze uzgadniał ze mną wszelkie plany i programy nauczania. Natomiast Wołodia wcale się ze mną nie liczy i zachowuje się tak, jakby szkoła była jego prywatną własnością. On sam wybrał sobie przedmioty, których chce uczyć, postarał się o zatwierdzenie tego u władz oświatowych i postawił mnie przed faktem dokonanym. Na przykład historia, której zawsze ja uczyłam, teraz będzie należała do jego obowiązków. Wyznam wam – mówiła – iż jedynie z uwagi na przywiązanie do dzieci, które uczę, a także na bliskie sąsiedztwo z wami pozostanę w Czeremnem. Miałam już myśli, aby zwrócić się do władz oświatowych o przeniesienie do innej szkoły.

– Och, Irenko – odparła Walentyna – nie wyobrażam sobie, abyś mieszkała gdzieś daleko od nas. Nie myśl o tym, a jeśli będzie ci smutno lub poczujesz się osamotniona, to wiesz przecież, że masz nas. Kochamy cię i zawsze będziemy z tobą.

– Jedyny raz spotkałem go wtedy, u ciebie, Irenko i w czasie tego spotkania zorientowałem się, że jest człowiekiem, któremu nie należy ufać – dodał Waldemar i chcąc zmienić temat zagadnął:

– Już ustaliliśmy z Walentynką, że chcemy zaprosić cię na niedzielną wycieczkę do lasu i jego pięknych uroczysk. Chcą z nami jechać nasi sąsiedzi, leśniczowie. Moja dwukołówka może zabrać cztery osoby, czyli byłoby miejsce dla was i leśniczowej, a także dla jej męża, który by powoził, a ja harcowałbym koło was na moim drugim koniku. Czy przyjmiesz nasze zaproszenie?

– Ależ oczywiście, z wielką chęcią! z radością odpowiedziała Irenka.  
– To będzie dobra odskocznia od twoich zmartwień. – dodał Waldemar.

– Słuchajcie! – wtrąciła Walentyna. – Przecież zaczęła się jesień. Będziemy chodzić na grzyby!

– Och, jak ja to lubię!.. Czy też mnie zabierzecie?

– Oczywiście, Irenko. Z tobą będzie nam weselej – odpowiedzieli oboje.

– A ja mam jeszcze lepszą propozycję – ciągnął Waldemar. – Pojedźmy do Janowej Doliny, gdzie są wspaniałe kamieniołomy bazaltu. Można tam dojechać pociągiem, ale znacznie przyjemniej będzie jechać końmi, polnymi i leśnymi drogami, to około osiemnastu kilometrów. Można tego dokonać w ciągu jednego dnia, tylko musi to być dzień powszedni, bo w niedzielę kopalnię można zobaczyć, ale znacznie ciekawiej wygląda, gdy pracują w niej robotnicy.

– Widzisz, Irenko, jak bogaty mamy program i jak dużo przed nami przyjemnych wrażeń i uciech – dodała Walentyna.

\* \* \*



Janowa Dolina to nazwa odkrywkowej kopalni bazaltu i osiedla pracowników tej kopalni. Sama kopalnia to unikalne zjawisko geologiczne nie tylko z uwagi na bogactwo złóż, ale też ze względu na piękno oryginalnej natury. Kopalnia zatrudniała ponad tysiąc pracowników. Dla nich i ich rodzin w latach dwudziestych ubiegłego wieku wybudowano piękne, nowoczesne, jak na owe czasy, osiedle. Były to wielorodzinne, wybudowane w pięknym stylu domy drewniane, ale podmurowane, a wiele z nich podpiwniczonych. Osiedle było zelektryfikowane, posiadało sieć wodociągową, szkołę, boisko sportowe, muszlę widowiskową i kaplicę. Przed wybuchem drugiej wojny światowej populacja osiedla wynosiła ponad trzy tysiące osób, w dziewięćdziesięciu siedmiu procentach narodowości polskiej. Zgodnie z polską tradycją kresową, mieszkańców osiedla cechował patriotyzm. Była tam prężna organizacja strzelecka i harcerstwo.

Kopalnia i osiedle wkomponowane były w piękne krajobrazy ziemi wołyńskiej, a od wschodu, w bezpośrednim sąsiedztwie płynęła najpiękniejsza rzeka Wołynia – Horyń, której fantastyczne zakręty były ozdobą łąk i bujnej zieleni. Szczególnie latem w słoneczne dni, gdy patrzyło się na wijącą się rzekę ze wzniesienia osiedlowego, widziało się lśniące jej lustro i błękit odbijającego się w nim nieba.

\* \* \*

Bociany już odleciały, sady czerwieniły się dojrzałymi jabłkami i rozpoczęły się wykopki kartofli. Wiezorami na polach snuł się dym ze spalanych kartoflanych tak zwanych *łent*, napawających powietrze charakterystyczną wonią zwiastującą jesień. Było jeszcze ciepło, a nocami padały deszcze. W dzień słońce przedzierało się przez chmury, ale wkrótce przyszły dni pięknej pogody. W powietrzu fluidalnie unosiły się delikatne włókna „babiego lata” – welonów polskiej „Pani Jesieni”.

Waldemar kończył prace pomiarowe gruntów chłopskich w Czeremnem. Zgromadzony materiał starannie segregował i dokumentację każdej działki gruntu przechowywał w oddzielnych teczkach. Będzie ona służyła do sporządzenia generalnego planu dla całej wsi. Planem, obli-

zeniami i opisem technicznym zajmie się w ciągu zimy. Później nastąpi weryfikacja tych prac przez specjalistów w powiecie i po zatwierdzeniu – realizacja projektu pod jego autorskim nadzorem.

Walentyna w czasie wykopków często pomagała rodzicom. Później, gdy prace polowe już zakończono, miała więcej wolnego czasu. Zachęcona przez męża, wróciła do malowania akwarelek. Prowokowała ją też do tego piękna jesienna kolorystyka lasu, na którego skraju stał ich dom. Ale budziło się w jej duszy jeszcze inne artystyczne zainteresowanie. Niedawno w ich kościele był odpust. Po mszy świętej, gdy przechadzali się oboje wśród licznych straganów kiermaszu, spotkali człowieka, który rzeźbił drewniane świątki. Robił to na miejscu. Walentynę zainteresowała zręczność i szybkość, z jaką wykonuje on zamówione figurki. Jedną taką figurkę kupiła, wypytując przy tym z jakiego drewna została zrobiona. Rzeźbiarz odpowiedział, że najlepsza jest lipa, ale może też być topola. Widziała u niego specjalny komplet narzędzi, którymi się posługiwał. Gdy zapytała, gdzie te narzędzia kupić, usłyszała, że u rówieńskich Żydów wszystko można dostać.

W drodze powrotnej do domu oglądała tę figurkę i zwierzyła się mężowi, iż chciałaby sama spróbować, jak to się robi. Tylko gdzie zdobyć drewno i odpowiednie narzędzia? Waldemar słuchał jej i nic nie odrzekł, jakby myślał o czymś innym.

Po pewnym czasie, gdy Walentyna zapomniała już o tej rozmowie z mężem i o figurce, którą po powrocie do domu schowała gdzieś na dnie szuflady, Waldemar poprosił ją do swojej pracowni i pokazał leżące na półce krótkie odcinki desek. Było ich kilka, różnej grubości. Nie wiedząc, o co chodzi, patrzyła na męża pytająco, a on powiedział:

– To lipa.

Dopiero po chwili zorientowała się, o co chodzi, i rzuciła się mu na szyję, mówiąc:

– Waldemarku, pamiętałeś?...

On zaś wyjął z szuflady ładne pudełko i jej podał. Gdy je otworzyła, pisnęła z radości i ponownie zawisła mu na szyi. Był to komplet narzędzi rzeźbiarskich...

I to był początek jej nowej, artystycznej przygody.

Nastaly długie jesienne, a później zimowe wieczory. Waldemar w swojej pracowni wykreślał swoje geodezyjne plany, a w drugim pokoju przy stoliku siedziała Walentyna i tworzyła w drewnie pierwsze swoje rzeźby. Początkowo szło jej opornie, ale stopniowo poznawała tworzywo i formowała swój styl. Drewno jakby czuło intuicję i rękę artystki i posłusznie ustępowało pod ostrzem jej dłuta. Pierwszym jej dziełem była płaskorzeźba głowy ich konia, jej ulubionego kasztanka. Zanim rozpoczęła próby rzeźbienia, wykonała wiele szkiców. Wielokrotnie wyprowadzała swojego modela – kasztanka ze stajni i szkicowała jego dostojnie prezentującą się na karku głowę, jego rozdęte nozdrza, duże rozumne oczy, strzygące uszy, bujną grzywę i każdy szczegół. Wszystko to robiła w tajemnicy przed mężem. Wiedziała, jak bardzo interesują go jej artystyczne prace. „On sam jest w pewnej mierze artystą, bo przecież kreśli tak piękne, precyzyjne plany, pięknie, technicznie pisze i posiada bogatą wyobraźnię”, myślała. „Nie, nie może wiedzieć, co rzeźbię, nie może mi doradzać, chwalić czy zachęcać... Muszę sama się sprawdzić, spróbować sprostać zadaniu i dopiero gdy uda mi się coś stworzyć, poddam to jego krytycznej ocenie”, postanowiła. „No, ale jak mu to powiedzieć, żeby nie zrobić mu przykrości?”, zastanawiała się. Wiedziona kobiecą intuicją wykorzystała moment, gdy mąż usiadł na krześle z zamiarem rozpoczęcia swojej pracy. Wtedy z kocią zręcznością usiadła na jego kolanach, zarzuciła mu ręce na szyję i rzekła:

– Waldku, czy mogę cię o coś prosić?...

Waldemar patrzył na żonę z wyrazem zachwyту i miłości.

– Czym mogę ci służyć, kochanie? – spytał.

– Chciałam cię prosić, abys mi coś przyrzekł.

– Co mam ci przyrzec, Walentynko? – pytał z zaciekawieniem.

– Wiesz, że chciałabym nauczyć się rzeźbić. Dzięki tobie mam drewno i narzędzia. Mam też wielką chęć i zapał do tego. Nie mam tylko doświadczenia w tej sztuce.

– To go nabierzesz, ale powiedz wreszcie, co mam ci przyrzec?

– Otóż właśnie, chcę cię prosić, abys wcale, ale to wcale nie interesował się moimi próbami rzeźby. Żebyś mnie nie zapeszył. Wiesz, jak

bardzo cię kocham i nie mam przed tobą żadnych tajemnic, ale pozwól na tę jedną i to tylko na pewien okres. Jeżeli mi się coś uda, to będzie nasz wspólny sukces.

– Królowo moja, twoja prośba jest dla mnie rozkazem, niech tak będzie jak sobie życzysz – odrzekł z humorem Waldemar.

– Ale Waldku, musisz mi uroczyście przyrzec, że nawet nie będziesz podglądał moich prac.

– Oo, to już jest trudniejsze zadanie, bo jestem ciekawski, ale przyrzekam.

I tak się zaczęło. Przez cały czas Walentyna po zakończeniu pracy starannie nakrywała rzeźbę, ażeby Waldemar przechodząc przez pokój przypadkowo nie spojrzął na nią. Wreszcie przyszedł ten dzień, kiedy dzieło zostało skończone i autorka poprosiła swego recenzenta do oceny jej pracy. Gdy Waldemar przyszedł i stanął przy nakrytej jeszcze rzeźbie, Walentyna spytała:

– Waldku, na pewno nigdy nie zajrzałeś pod pokrowiec i nie wiesz, co on kryje?

– Zaś bym śmiał złamać dane ci przyrzeczenie? Nie pozwalał mi na to honor i męska powaga.

– No to usuń pokrowiec i proszę o wyrozumiałość, bo to pierwsza moja praca.

Waldemar rzeczywiście nie wiedział, co rzeźbi jego żona. Gdy zdjął pokrowiec, oniemiał.

– To ty to wykonałaś, kochanie?

– A co? Nieładne?

– To jest arcydzieło! – krzyknął Waldemar i porwał żonę w ramiona. Nosił ją po pokoju i wykrzykiwał:

– Złota moja żona i złote ma ręce!

– Cicho, ludzie posłyszają – prosiła.

– A niech słyszają, sam do nich pójde i pokażę. Chwycił rzeźbę i chciał z nią iść do sąsiadów. Ledwie uprosiła go, aby tego nie robił.

– Dobrze, do sąsiadów nie pójde, ale już jadę po Irenkę, ona musi to zobaczyć.

I tak zaczęła się artystyczna przygoda Walentyny w szerszym zakresie – zaczęła tworzyć nie tylko akwarelki, ale też rzeźby. Jej debiut artystyczny w tej nowej dziedzinie sztuki – płaskorzeźbę głowy kasztanka – zazdrośnie anektował sobie Waldemar, zawieszając ją na ścianie swojej pracowni.

Artystka poszukiwała tematów dla swojej twórczości. Próbowala naśladować spotkanego na odpuszcie rzeźbiarza, ale rzeźbienie świątków nie leżało w sferze jej zainteresowań. Marzyła o tematyce sakralnej, ale poważniejszej.

Pewnej niedzieli, gdy Walentyna z mężem była w kościele, spojrzała na ilustrujące Mękę Pańską obrazy. Gdy tak patrzyła na nie, błysnęła jej myśl, że te obrazy mogłyby być rzeźbione. W drodze do domu zwierzyła się ze swoich myśli mężowi. Waldemar zamyślił się, a po chwili powiedział:

– To piękny pomysł, tylko zastanów się, kochanie, tych stacji jest czternaście. To jest ponad twoje fizyczne siły. Jak już wiesz, rzeźba to nie akwarelki, tu oprócz inwencji twórczej i talentu potrzebna jest siła fizyczna. A ty jesteś kobietą, piękną kobietą, moją ukochaną żoną. Jestem dumny z twoich artystycznych dokonań, ale chcę cię mieć dla siebie i dla naszej rodziny, bo przecież pragniemy mieć dzieci. Bardzo chcę, abyś tworzyła swoje dzieła, ale nie na taką skalę.

– Waldku, wiesz przecież, że nie boję się ciężkiej pracy.

– Wiem, ale pracę, o której mówisz, wykonywałaś na świeżym powietrzu z udziałem wszystkich mięśni ciała, podczas gdy przy rzeźbie siedzisz i pracujesz tylko ręką.

– No to co mam rzeźbić, Waldku?

– Co chcesz, ty wszystko potrafisz, tylko traktuj to jako rekreację, bez nadmiernego angażowania sił fizycznych.

Przez pewien czas jechali w milczeniu. Walentyna siedziała obok męża zamyślona, aż nagle krzyknęła:

– Już wiem, już wiem!

– Co wiesz? – spytał zdziwiony Waldemar.

– Wiem, co będę rzeźbiła – powiedziała.

- No co? – pytał.
- Matkę Boską Ostrobramską – odpowiedziała.
- Znakomity pomysł. Masz przecież ten piękny obraz, możesz wykonać jego rzeźbioną replikę.

Obraz rzeczywiście był piękny. Na ciemnym tle Matka Boża w złocistych szatach w ujęciu do ramion, otoczona promieniami, z pochyloną koronowaną głową i rękami złożonymi krzyżowo na piersi. Był to klejnot rodzinny. Podarowany przez babcię Walentyny jej mamie, Stanisławie. Po śmierci mamy Walentyna miała go w swoim pokoju, a gdy wyszła za mąż, ojciec przekazał jej obraz. Podobnie jak w domu rodzinnym, Walentyna umieściła go na stoliku w rogu pokoju. Był to rodzaj ołtarzyka, na którym zawsze stały świece i kwiaty, przy nim też odmawiali z Waldemarem modlitwy.

Walentyna niezwłocznie rozpoczęła przygotowanie do realizacji swojego pomysłu. Waldemar pomógł jej wyciąć odpowiednią płytę z drewna lipowego, kupił dużą lampę naftową, którą zawiesił przy stanowisku pracy swojej drogiej artystki, a ona rozpoczęła próbne szkice w ramach studium swojego artystycznego przedsięwzięcia.

Irenka utrzymywała z nimi ścisły kontakt nie tylko w niedziele, ale też w dni powszednie. Gdy tylko miała czas, odwiedzała ich wieczorami. Jej współpraca z Wołodią nie układała się, a właściwie nie było jej wcale. Rano, gdy idąc na lekcje spotykali się na korytarzu, on kłaniał się jej i pozdrawiał, czasami pochwalił pogodę i to wszystko. Także gdy w czasie przerw lekcyjnych spotykali się w pokoju nauczycielskim, nie rozmawiali o programach i problemach, jakie napotykali w czasie pracy. Po prostu nie było atmosfery współpracy. Pewnego razu, wspominała Irenka, uczniowie jej powiedzieli, że pan Wołodia zupełnie inaczej uczy ich historii niż ona. Mówili jej: „Pani uczyła nas historii Polski, a pan Wołodia uczy historii Ukrainy”.

- I to chyba jest powód, dla którego on unika współpracy ze mną – mówiła Irenka.

Słyszając to, Waldemar poradził jej, aby w tej sprawie zwróciła się do władz oświatowych.

– Myślę – mówił – że on powinien uczyć według programu ustalonego dla wszystkich tego typu szkół. To jest jego obowiązkiem.

– Nie będę w powiecie mówić o tym, co usłyszałam od dzieci. To do nich należy kontrola. Zresztą tam, we władzach oświatowych, też są Ukraińcy, jego protektorzy – zakończyła Irenka.

Od pewnego czasu, a ściślej od 1930 roku na Wołyniu i w Małopolsce rozgorzał podziemny ukraiński ruch nacjonalistyczny. Było to już po kongresie nacjonalistów ukraińskich w Wiedniu. Na razie ten ruch ograniczał się do aktywistów i szare chłopstwo ukraińskie niewiele o nim wiedziało. Nacjonaści podjęli walkę z państwem polskim metodą sabotaży. Palili budynki urzędów państwowych, szkół, folwarków. Napadali w celach rabunkowych na urzędy pocztowe, a w końcu palili wsie ukraińskie kryte słomą, bo takie najłatwiej ulegały pożarom. A cel tych podpażeń był taki, że pogorzelnicy otrzymywali od rządu polskiego odszkodowanie asekuracyjne, co obciążało państwowy budżet.

Przeciwdziałając temu, władze polskie dokonały zmiany wojewody wołyńskiego w Łucku, zwiększyły uprawnienia Korpusu Ochrony Pogranicza i wzmocniły posterunki policji. W ten sposób zahamowano akcje terrorystyczne. Jednak potencjalne zagrożenie ze strony nacjonalistów pozostało. Wspierały ich Niemcy hitlerowskie i częściowo Czesi.

Stosunkowo liberalne stosunki polityczne w Polsce umożliwiały nacjonalistom propagandę i agitację antypolską wśród szerokich mas ludu ukraińskiego. Można podejrzewać, że nasz Wołodia miał w tym swoją określoną rolę.

\*\*\*

Zima roku 1934/1935 była dość surowa. Już w pierwszych dniach grudnia mróz ściął wody w rzekach i bagnach, a później spadło sporo śniegu. Las wokół leśniczówki wyglądał pięknie w zimowej szacie, ale widziana w oddali wieś Czeremne też zmieniła swój wygląd. Długi rząd chat, których słomiane dachy grubą warstwą pokrył śnieg, wyglądał bajecznie i tylko dzięki temu, że z każdego komina unosił się szary dym, można było w tym białym ciągu odróżnić poszczególne siedliska.

Na święta Bożego Narodzenia Waldemarowie z Irenką zostali zaproszeni przez rodziców Waldemara. Pojechali tam swoimi końmi, tylko Jan użył im swoich wygodnych sani. Była to wspaniała podróż. Początkowo jechali drogą wiodącą przez las. Koniki ochoczo biegly parskając, a pod ich kopytami skrzypiał śnieg, bo mróz był duży. Mijali położone wśród lasów wioski ukraińskie i kolonie polskie. W Janowej Dolinie przejechali przez piękne osiedle górników odkrywkowej kopalni bazaltu i przez most nad Horyniem. Widzieli kamienne słupy ściany wydobywczej kopalni, teraz, z racji dużych mrozów i śniegu – nieczynnej. Dalej droga prowadziła przez Derażne – małe miasteczko nad Horyniem. Mijali tam kościół, cerkiew i targowisko, bardzo ożywione w dniach przedświątecznych. Dalsza droga wiodła przez piękne sosnowe bory do Klewania – miasteczka położonego nad rzeką Stubłą, dopływem Horynia. Klewań leży na wzniesieniu rozpoczynającym płaskowyż rówieński. Tu postanowili dać odpoczynek zdrażonym koniom i zwiedzić to historyczne miejsce. Klewań był zamieszany przez Żydów, Polaków i Ukraińców. Historycznie był gniazdem Czartoryskich, którzy pozostawili tu wspaniałe warowny zamek i wysoki murowany kościół, który też był budowlą warowną. Te dwa historyczne obiekty leżały na dwóch krańcach – południowym i północnym – miasteczka, w środku zaś imponująco wznosiła się cerkiew zwieńczona złotą kopułą.

Z Klewania było jeszcze około 15 km do miejscowości Michałówka, gdzie mieszkali rodzice Waldemara. W kierunku Równego prowadziła tam droga pofalowaną i pełną jarów wyżyną, bardzo żyzną, ale całkowicie bezleśną. Ze względu na brak lasów na tym terenie, podróżni wzięli z sobą drzewko świerkowe na choinkę, wycięte w lesie koło Czeremnego.

Był to wielki zjazd rodzinny. Do Michałówki zjechała liczna rodzina Wysockich. Przybyli też rodzice Irenki. Obszerny dom gospodarzy wrzał – jak ul pszczeli – gwarem wielu osób, dorosłych i dzieci. Jedni przygotowywali wieczerzę, inni ubierali choinkę, jeszcze inni ustawiali stoły i krzesła. Wkrótce długi rząd stołów przykrytych białymi obrusami z odrobiną podłożonego pod nie siana oczekiwał na przeróżne smakowite potrawy, których wedle tradycji powinno być dwanaście rodzajów, wszystkie absolutnie postne, bezmięsne.

Wieczernę wigilijną wedle zwyczaju rozpoczynano przy pierwszej gwiazdce. Wtedy zapalano świeczki na choince, po czym gospodarz domu rozpoczynał wspólnie odmawianą modlitwę, a po niej, zgodnie z polską tradycją, łamano się opłatkiem i składano sobie życzenia. Ten obrzęd miał niezwykle, poruszający wyraz. Każdy brał ze stołu biały opłatek i łamał się nim kolejno ze wszystkimi uczestnikami wieczerzy, składając przy tym życzenia. Wokół zastawionych stołów powstał niezwykle ruch i wzruszające sceny. Ludzie składając sobie życzenia obejmowali się i całowali... Był to zbiorowy akt miłości, życzliwości i pojednania, bo podchodzili i składali sobie życzenia również osoby mające do siebie uprzedzenia lub urazy. Teraz w tej atmosferze ogólnej zgody zasiadano do stołu. W ruch poszły czerwone barszczyki, pierożki, bigosiki, rybki, sałatki i wiele jeszcze innych smakowych znakomitości, aż wreszcie przyszedł czas na tradycyjną kutię, która była końcowym akcentem wigilijnej uczty. Po posiłku śpiewano kolędy. Za oknami mróz i śnieg, a w domu ciepło, jarząca się świeczkami choinka i wesoło chóralnie brzmiąca kolęda – *Wśród nocnej ciszy...*

Ukoronowaniem celebracji wigilijnej była Pasterka, odprawiana w kościele o północy. W zimowej scenerii mknęły w kierunku kościoła sanie pełne ludzi. Koniki ochoczo parskwały, a z nozdrzy wyrzucały kłęby pary, bo mróz był siarczysty. Drewniany kościółek był wypełniony ludźmi. Twarze mieli uduchowione, skupione, wpatrzone w wystawioną monstrancję. Zagrzmiał potężny zbiorowy śpiew z towarzyszeniem organów – *Bóg się rodzi, moc truchleje...* Tak polski kresowy lud obchodził i przeżywał święto Bożego Narodzenia.

Drugi dzień świąt był spokojniejszy. Część gości odjechała do swoich domów, a pozostali po powrocie z kościoła i po obiedzie śpiewali kolędy, prowadzili rozmowy. Wieczorem chodzili kolędnicy, którzy pod oknami śpiewali kolędy. Zapraszano ich do domów i częstowano ciastem i słodyczami. Przychodziła też młodzież prawosławna z sąsiadujących wsi ukraińskich. Ich święta Bożego Narodzenia wypadały dwa tygodnie później, ale oni chcieli sprawić przyjemność Polakom. W tym celu nauczyli się kolęd polskich i śpiewali z właściwym dla nich talentem. W re-

wanżu Polacy przychodzili do nich w czasie ich świąt z przedstawieniem *Heroda*. Był to miły akcent współżycia między Polakami i Ukraińcami.

Nasza trójka wracała do Czeremnego, czując w sercach echo tych wspaniałych rodzinnych przeżyć, jakie zawsze niosą święta Bożego Narodzenia.

Po świętach Waldemar przyśpieszył swoje prace geodezyjne. Postanowił je zakończyć i przekazać do powiatu przed terminem. Dzięki temu chłopci będą mieli więcej czasu na przygotowanie się do tej trudnej adaptacji ich gospodarstw do nowych warunków. Wielu będzie musiało przenieść swoje budynki na nowy teren swego scalonego gospodarstwa, wiele domów trzeba będzie budować od nowa, jeśli stare są w złym stanie i nie nadają się do przeniesienia. Walentyna zaś z pasją zabrała się do swojej rzeźby, wiedząc, że wiosną nie będzie na to czasu.

Projekt Waldemara został już zweryfikowany, zatwierdzony i przesłany do realizacji władzom gminnym. Autor projektu przygotowywał się do niełatwej pracy nad wdrożeniem swoich planów. Do pomocy przydzielono mu asystenta, który już zakwaterował się we wsi i zapoznawał się z dokumentacją.

Tymczasem Walentyna ogłosiła zakończenie swego dzieła. Waldemar tym razem wiedział, co jest przedmiotem jej pracy, ale nic a nic nie podglądał, jak ta praca postępuje, wiedząc, że jego ukochana artystka sobie tego nie życzy. Toteż ogromnie był ciekaw tego, co ujrzy. Chcąc moment odsłonięcia dzieła uczynić bardziej uroczystym, zapytał autorkę, czy może zaprosić na tę okoliczność sąsiadów i Irenkę. Artystka zgodziła się tylko na obecność Irenki. Waldemar nie tracił ani chwili, wypadł z domu i po chwili pędził już swoją dwukołówką po Irenkę.

Gdy byli już w komplecie, Walentyna przemówiła:

– To, co ujrzycie, może nie ma artystycznych walorów, ale jest wyrazem mojego kultu – w tym momencie spojrzała na obraz stojący na stoliku w rogu pokoju. – Pragnęłam, aby moja rzeźba była nie tylko wierną repliką obrazu, ale też odbiciem mojego głębokiego uczucia do Matki Bożej. Spełnienie tych warunków było dla mnie bardzo trudne i obawiam się, że tego nie osiągnęłam. Zresztą, oceńcie sami.

Po tych słowach odsłoniła rzeźbę.

Wielkie zdumienie, radość i duma malowały się na twarzy Waldemara. Głęboko przejęty patrzył to na rzeźbę, to na Irenkę, po czym rzekł:

– Irenko, to wykonała moja żona, moja kochana Walentynka. Ty to widzisz?... Przecież jest to dzieło dojrzałego artysty! Patrz na to, Irenko!

A Irenka oniemiała i dopiero po chwili z wyrazem niedowierzania zwróciła się do Walentyny:

– Naprawdę ty sama to wyrzeźbiłaś?

– Jak możesz w ogóle stawiać takie pytanie!? – krzyknął Waldemar.

– Waldku, uspokój się, nie zwracaj się w ten sposób do Irenki – prosiła Walentyna.

– Nie szkodzi, Walentino, on to silnie przeżywa i wcale mu się nie dziwię. Wiedziałam, że potrafisz malować piękne akwarelki, ale żeby coś takiego?... Jestem zachwycona i pełna podziwu dla twojego talentu.

Nazajutrz Waldemar, przemierzając w ramach swojej pracy pola Czeremnego, przed oczyma wciąż miał płaskorzeźbę Tej, co w Ostrej Świeci Bramie, a także chabrowe oczy oraz złote ręce swojej ukochanej żony, która z lipowego drewna tak pięknie wydobyła Jej wizerunek...

\*\*\*

A we wsi wrzało. Jeszcze tu i ówdzie leżał śnieg, a już chłopci chodzili po polach i szukali wyznaczonej im scalonej ziemi. Przed domem sołtysa, w gablocie za szkłem umieszczony był wielki plan rozmieszczenia poszczególnych areałów z odpowiednim numerem i nazwiskiem właściciela. Zgodnie z tym planem, w terenie każda działka była wyznaczona palikami i w jej centrum tkwiła tabliczka z numerem pola i nazwiskiem właściciela.

Odbyło się wiele zebrań informacyjnych. Ustalono zasady współpracy międzysąsiedzkiej. Sprowadzono i ustawiono barak, który w czasie przenoszenia chat i zabudowań miał służyć jako tymczasowy dach nad głową tym, którzy będą zmuszeni z niego skorzystać. Zmiany, które czekały Czeremne, poruszyły całą wieś, mówili o tym mężczyźni i kobiety. Wielu myślało o nich z lękiem. Wielu było niezadowolonych z lokalizacji

ich gospodarstwa, nasiliły się swary, skargi i protesty. Nie wszystkim odpowiadało sąsiedztwo kogoś nie lubianego albo np. to, iż w planie ich gospodarstwo jest położone w pobliżu lasu lub za daleko od niego. Niektóre żądania i prośby uwzględniano, inne swoją perswazją łagodził emerytowany nauczyciel Mikołaj, a te ostrzejsze spory wygaszał pop. Natomiast Wołodia, mimo że dobrze wiedział, jakie dobrodziejstwo reforma niesie mieszkańcom wsi i był świadom, że dzięki dotacjom i bardzo korzystnym pożyczkom skarbu państwa uboga wieś ma szanse na poprawę egzystencji, sceptycznie się odnosił do tych zmian i stojąc niby na uboczu zawsze popierał niezadowolonych.

Wiosna była już w pełni, w dolinie przy rzeczce zakwitły kaczeńce i zieleniała trawa. Pasyły się tam krowy i w poszukiwaniu żeru kroczyły długonogie bociany. Las przybrał wiosenną, seledynową szatę i rozbrzmiewał głosami różnorodnego ptactwa. Wieczorami kłaskały słowiki i rechotały żaby, a wokół leśniczówki pachniała maciejka.

Waldemar, niezależnie od obowiązku wdrażania swojego projektu w Czeremnem, otrzymał nowe zlecenie – opracowanie dokumentacji na komasację gruntów dla innej wsi ukraińskiej. Na szczęście, ta wieś leżała niedaleko, o niecałą godzinę konnej jazdy od Czeremnego. Na razie dokonał wizji lokalnej i studiował mapę terenu oraz plan owej wsi. Rozpoczęcie prac pomiarowych miało nastąpić po żniwach bieżącego roku.

\*\*\*

Tymczasem zbliżał się maj 1935 roku i Trzeci Maja – święto narodowe. Do Kostopola na obchody tego święta udawała się co roku delegacja w składzie: sołtys, nauczyciele i grupa uczniów. Zwykle wyjazd organizował Mikołaj, teraz wypadało, aby zrobił to Wołodia, ale on nie wykazał żadnego zainteresowania w tym kierunku. Na zapytanie Irenki odpowiedział, że święto jest polskie, a on jest Ukraińcem. Uczniowie też pochodzą z rodzin ukraińskich i on nie będzie ich zmuszał do obchodów obcego im święta.

– Nigdy ich nie zmuszaliśmy, one zgłaszały się dobrowolnie, a myśmy tylko pytali ich rodziców, czy wyrażają na to zgodę. A poza tym jest

to święto państwa polskiego, a my wszyscy jesteśmy obywatelami tego państwa. Nasza szkoła, choć z ukraińskim językiem nauczania, jest dotowana przez państwo. To nasze wspólne państwo troszczy się o wszystkich swoich obywateli. Dowodem tego jest choćby reforma w naszej wsi, finansowana z budżetu państwa.

W odpowiedzi usłyszała, że takie pouczenia są mu niepotrzebne.

W rezultacie do Kostopola zadeklarowało wyjazd kilkoro dzieci ukraińskich, kilkoro polskich, jedno czeskie, jedno żydowskie i oczywiście sołtys. Emeryt Mikołaj dołączył do Irenki jako opiekun dzieci. Do Kostopola wyruszyła furmanka z dziećmi i nauczycielami (bez Wołodii), którą powoził sołtys, a za nią jechali Walentyna i Waldemar oraz ich sąsiedzi leśniczowie – Stefan i Adela.

W Kostopolu na placu przed urzędem powiatowym po mszy świętej za ojczyznę zgromadzili się prominenci władzy powiatowej: starosta, wójtowie gmin, sołtysi gromad wiejskich, kierownicy i nauczyciele szkół, oficerowie reprezentujący armię polską, duchowieństwo i przedstawiciele organizacji patriotycznych. Starosta wygłosił patriotyczne przemówienie.

Defiladę rozpoczęła kompania Pułku Strzelców Kresowych z Równego, a za nią organizacja „Strzelec” i konny oddział osadników wojskowych. Za nimi szli harcerze, uczniowie szkół i społeczeństwo miasta oraz powiatu. Po oficjalnych przemówieniach i defiladzie odbyły się pokazy i zawody sportowe.

Wśród uczestników obchodów po cichu szeptano, że Komendant Józef Piłsudski jest chory. Widać to było po zatroskanych twarzach przemawiających działaczy i polityków, a zwłaszcza po posępnym obliczu osadników wojskowych, tych najbliższych jego sercu żołnierzy.

Z okazji tego święta wywieszano flagi narodowe. W Czeremnem zawsze powiewały flagi przy szkole, przy domu sołtysa i domach polskich. Nie zapomnieli wywiesić flagi Szmul i Czech. W tym roku po powrocie z Kostopola Irenka zauważyła brak flagi przy budynku szkolnym, chociaż w przeddzień święta sama ją zawiesiła. Znalazła ją leżącą na ziemi obok budynku. Następnego dnia, gdy spotkała Wołodię,

zapytała go, kto mógł to uczynić. Usłyszała odpowiedź, że to go nie interesuje

Pogłoski o chorobie Komendanta zataczały coraz większe kręgi, aż wreszcie w prasie ukazał się oficjalny komunikat potwierdzający poważną chorobę marszałka.

Waldemar udał się do Równego i zakupił głośnikowe radio, zasilane z baterii. Dotychczas korzystali z radia detektorowego, na słuchawki. Wówczas posiadanie radia głośnikowego było dużym komfortem. Waldemarowie mieli więc codziennie aktualne wiadomości o tym, co dzieje się w kraju i świecie, mogli też słuchać ciekawych audycji muzycznych i słuchowisk teatralnych.

Pewnego dnia usłyszeli smutną i przejmującą wiadomość. Polskie radio nadało komunikat o śmierci Józefa Piłsudskiego. Było to dwunastego maja 1935 roku. Wieść o śmierci legendarnego Komendanta legionów i Pierwszego Marszałka Polski jak błyskawica obiegła kraj i ogarnęła naród polski smutkiem i żałobą. Polska straciła niezłomnego bojownika i wskrzesiciela Jej niepodległości, wielkiego męża stanu i charyzmatycznego wodza. Naród czuł się osierocony, niepokieszony i załamany, świadom tego, że stracił kogoś, kto stabilizował sytuację polityczną i zapewniał poczucie bezpieczeństwa wszystkim obywatelom kraju.

Józef Piłsudski, od najmłodszych lat przejęty ideą wolnościową Polski, wiele wycierpiał od rosyjskiego zaborcy. Pięć lat młodościowego życia spędził na Syberii. Był jednym z wielu działaczy polskich dążących do odzyskania niepodległości naszego kraju. Okazał się najlepszym wizjonerem politycznym. Obrął strategię najsukuteczniejszą – aliansu z Austriakami przeciw Rosji. To on był twórcą Pierwszej Kadrowej, a później trzech brygad legionów, a także POW. Były to załężki kadrowe przyszłej armii polskiej, która w roku 1920 powstrzymała inwazję bolszewicką na Polskę i Europę. W czasie tej obronnej batalii Piłsudski był naczelnym wodzem i głównym strategiem. Jego pragnieniem było przywrócić Polsce niepodległość. Gdy to osiągnął, oddał władzę narodowi i wycofał się z życia politycznego, nie szukając dla siebie żadnych korzyści materialnych. Nie posiadał nawet własnego domu. Dopiero

wojsko ufundowało mu rezydencję w Sulejówku, gdzie zamieszkał ze swoją rodziną. Po kilku latach, widząc, że ciężko zdobyta wolność i suwerenność może być utracona, wrócił do polityki. Nie mógł pozwolić na swary i panoszenie się w Polsce jej wrogów. Pluralizm i demokracja nie mogą zdominować głównego imperatywu, jakim powinni kierować się rządzący. Tym imperatywem jest niepodległość i bezpieczeństwo kraju.

Młoda niepodległa Polska sąsiadowała od wschodu i zachodu z wrogimi naszemu krajowi byłymi jej zaborcami, mocarstwami o systemach totalitarnych. W tych warunkach Polska nie mogła być oazą demokracji pluralistycznej. Marszałek Piłsudski wiedział o tym lepiej niż inni, bardziej beztroscy działacze polityczni. Dlatego wrócił i w imię bezpieczeństwa kraju zrobił porządek.

Po śmierci Marszałka ogłoszono żałobę narodową. Zwłoki Marszałka złożono w krypcie wawelskiej w Krakowie, serce zaś przewieziono do Wilna i pochowano na Rosie w grobowcu jego matki. Wkrótce potem powstała obywatelska inicjatywa budowy w Krakowie kopca ku pamięci Marszałka. Naczelnym wodzem armii i ministrem obrony narodowej został gen. Rydz-Śmigły, późniejszy Marszałek Polski.

Polski lud kresowy szczególnie boleśnie odczuł stratę Marszałka Józefa Piłsudskiego. Ojciec Walentyny, Jan, miał łzy w oczach gdy mówił:

– *Mieli my ojca i nie stało jego... Nie widno żep był taki, który by jego zastąpił.*

Nawet Szmul biadolili:

– *Aj wei, aj wej! Taki git szlowik potrzebował umrzeć... Un być dobry dla nasze Żydki...*

Na budynku szkolnym i domach polskich zawieszono flagi przepasane kirem. Wydawało się, że cała przyroda płacze po Marszałku. Inaczej niż zwykle pachniały bzy i jaśminy, wieczorami smutniej kłaskały słowiki i żałośniej wyły psy.

Walentyna i Waldemar słuchali radia, skąd płynęły żałobne dźwięki *Requiem* Mozarta, marsze żałobne i nokturny Chopina. Oboje łączyli się z całym krajem w żalu po ukochanym Marszałku...

Dzieci polskie i młodzież śpiewały skomponowaną na fali żalu i żałoby pieśń:

To nieprawda, że Ciebie już nie ma,  
To nieprawda, że jesteś już w grobie,  
Chociaż płacze dziś cała polska ziemia,  
Cała polska ziemia w żałobie.

Chociaż serce Ci w piersi nie bije,  
Chociaż spoczął na wieki miecz dzielny,  
W naszych sercach jak żyłeś tak żyjesz,  
Ukochany wodzu nieśmiertelny.

Byłeś dla nas posągiem ze stali,  
Byłeś dla nas sztandarem wspinałym,  
Ty, coś Polskę wydzwignął i ocalił,  
I wprowadził na wyższy szczyt chwały.

Już usnąłeś po trudach nadludzkich,  
Nie zwycięży już Ciebie ból żaden,  
Ukochany Marszałku Piłsudski,  
My żyjący Twoim pójdziemy śladem.

Równy królom, spoczywaj z królami.  
My, Marszałku, Twoją przyjmujemy wolę:  
Twój duch dalej będzie nam hetmanił,  
Gdy w potrzebie przyjdzie ruszyć w pole.

Z własnej piersi zbudujemy szaniec  
I nie będzie nikt żywota ważył,  
Bo mocarny Polski miłowaniem  
Huf harcerzy czujnie trwa na straży.

\*\*\*

Minęły sianokosy i żniwa, bardzo trudne dla wsi Czeremne. Wielu nie zdążyło przenieść stodół na nowe miejsce, musieli więc pozostawić siano złożone w stogach na łąkach, a zboża w stertach na polach. Jednak przed zimą wszystko to, a przede wszystkim zboże, musiało być przeniesione do stodół. Dobra organizacja i współpraca sąsiedzka rokowały, że wieś stanie na wysokości zadania i do zimy wszyscy gospodarze przejdą na chutory.

Tymczasem Waldemar przemierzał pola innej wsi ukraińskiej. Codziennie rano dojeżdżał tam konno i wieczorem wracał do domu. Walentyna w chwilach wolnych wykonywała płaskorzeźbę Józefa Piłsudskiego. Szło jej to łatwo, gdyż profil twarzy Komendanta jest charakterystyczny, a dla niej szczególnie znany, wszak już kiedyś wykonała z gliny jego popiersie. Teraz już czuła się dość pewnie i nie ukrywała swojej pracy przed mężem. On z podziwem patrzył, jak śmiało dłutem wydobywała z drewna rysy twarzy i cały profil głowy.

– Dojrzewasz artystycznie – mówił z zachwytem i dumą, gdy wieszał na ścianie wykończoną płaskorzeźbę marszałka.

Nadeszła złota polska jesień. Las przybrał barwę złocistą i znacznie przycichł po odlocie wielu gatunków ptaków.

Czeremne zmieniło swój wygląd. Nie było już długiej ulicy i studziennych żurawi. Zagrody chłopskie przeniosły się na chutory. Na miejscu pozostała tylko szkoła i kilka chłopskich zagród. To poważne zadanie zostało wykonane dzięki solidarności międzysąsiedzkiej i pomocy finansowej państwa. Po ustabilizowaniu się na nowym, scalonym gruncie gospodarstwa miały szansę uzyskania wyższego standardu życia.

Ale jesień to czas obfitości zebranych z pól darów Bożych. Czas pełnych zboża stodół i spichlerzy, a obór pełnych nowego przychówku. To był też czas ożywionych jarmarków które odbywały się w wielu miastach i miasteczkach na Wołyniu, także w Kostopolu. Tu napływało zboże z pobliskiej żyznej wyżyny rówieńskiej, zwierzęta hodowlane, a także owoce leśne z północnych terenów leżących nad Horyniem.

Jan z żoną wybrali się właśnie na jarmark do Kostopola. Na duży wóz załadowali kilka worków pszenicy i tyleż żyta oraz dużego kabana

(wieprza). Karolina wzięła utuczonego indyka, kilka gąsek, trochę nabiału i jaj. Para silnych koni z trudem ciągnęła po piaszczystych i błotnistych drogach załadowany wóz. Miejscami, gdy droga wiodła pod górę, gospodarze chcąc ulżyć konikom schodzili z wozu i szli obok. Za nimi i przed nimi wlokły się chłopskie wozy, też załadowane towarami. Przy niektórych szły uwiązane do wozu, przeznaczone na sprzedaż krowy lub konie. Najczęściej chłopskie wozy ciągnęła para wielkich wołów. Zwykle z przodu wozu siedział chłop – *czołowik*, a w tyle, odwrócona plecami do kierunku jazdy, siedziała jego żona – *baba*. Chłop w czasie jazdy nie rozmawiał z żoną, nie było to w zwyczaju. Jechali w ciszy, słyszało się tylko głuchy turkot kół i skrzyp jarzma. Oprócz wozów, poboczem drogi na jarmark szli ludzie. Kobiety wiejskie niosły zawieszane na plecach *korobki* – kosze wypełnione plewą nadzianą jajami. Inne kobiety w takich koszach niosły nabiał lub grzyby. Szli mężczyźni, wielu z nich bez zamiaru handlowania, po prostu szli jak na widowisko, żeby sobie popatrzeć.

W miarę jak zbliżali się do miasta, z innych dróg przybywało wozów, też jadących na jarmark. Wkrótce na poboczach drogi ukazali się kupcy – Żydzi, którzy podchodzili do jadących wozów, macali worki i pytali: „Jakie zboże wieziecie i ile chcecie za meter?” (metr to 100 kg). Kiedy usłyszeli cenę, zadawali jeszcze jedno pytanie: „A jaka jest wasza ostatnia cena?”. Ci ludzie nie mieli zamiaru kupować (chyba że byłaby to jakaś wyjątkowo korzystna okazja). Ich zadaniem było badanie koniunktury. W owym czasie na Wołyniu Żydzi dyktowali ceny, za wyjątkiem towarów monopolowych, no i wieprzowiny, którą nie handlowali ze względów religijnych.

Plac jarmarczny leżał za miastem. Panował tam war jak w garnku – gwar ludzkich głosów, kwik świń, ryk bydła, nawoływania woźniców poszukujących miejsca dla swojego wozu. Kompletny brak organizacji – żywiołowy rozgardiasz. Każdy na własną rękę szukał miejsca dla swojego wozu. I wreszcie stawał tam, gdzie się udało. Ale miejsce ustawienia wozu nie miało znaczenia. Wszędzie, do każdego wozu przyjdą kupcy zainteresowani towarami. Żadnego wozu nie ominie też placowy, który wypisuje kwitki i pobiera pieniądze za postój. Plac targowy był podzie-

lony na dwie części. Środkiem przebiegała droga wyznaczona dwoma rzędami słupków, stanowiąca dojazd dla wozów kupieckich. Sprzedawcy nie mogli korzystać z tej drogi ani ustawiać na niej wozów. Informowały o tym tablice i pilnował tego placowy. Czasami widziało się przechadzających się tam policjantów, którzy chodzili parami z paskami pod brodą i marsowymi minami.

Jan szybko się zorientował, jakie są ceny i sprzedał zboże. Znaleźli się też kupcy, którzy kupili wieprza. Z dużym trudem ściągnęli z wozu rozpaczliwie kwiczące zwierzę i na postronku uwiązany do tylnej nogi pognali w kierunku swojego wozu. Warto wspomnieć, że po dokonanej transakcji jeden z kupców wyjął z kieszeni butelkę wódki i proponował Janowi wypicie *mohoryczu*, ale ten odmówił, nie dlatego, że w ogóle nie pił. On też przy innych okazjach nie wylewał za kołnierz, ale teraz, gdy miał przy sobie spory trzos pieniędzy, nie mógł sobie na to pozwolić. Na jarmarku kręciło się dużo kieszonkowców, a on chciał przejść się po placu, popatrzeć na towary i ceny, a także przyjrzeć się różnym jarmarczonym scenom. Musiał być czujny, by nie paść ofiarą złodziei.

Karolina siedziała na wozie i czekała na kupców jej towaru, a Jan dosypał obroku koniom i udał się na plac, a właściwie zanurzył się w jarmarczne mrowie ludzi, wozów i zwierząt. Czego tam nie było... Rzemieślnicy informowali o swoich stoiskach wywieszając na długich tyczkach swoje wyroby: buty, czapki, koszyki... Wszędzie gorączkowo kręcili się Żydzi; brali do ręki towar, pytali o cenę, targowali się, tumanili partnera, kłócili się z nim, aż wreszcie dochodzili do porozumienia i finalizowali transakcję.

Jan obserwował Cyganów – handlarzy końmi, jak potrafią sprytnie dyscyplinować konia, sprawiając, że ten przebiera nogami, pręży się i drży gotowy do biegu. Bywają konie leniwe lub narowiste. Cyganie potrafią przysposobić je tak, że będą prezentowały się jako posłuszne i bystre. Jeżeli nie mają sposobu na pobudzenie konia skrajnie leniwego, odprowadzają go na stronę i przez nozdrza wlewają mu butelkę wódki, wtedy nabiera on wigoru i prezentuje się znakomicie. Po sprzedaniu takiego konia Cygan szybko ulatnia się z placu, gdyż alkohol tylko na

krótki czas wzbudza u zwierzęcia energię. Po chwili koń opuszcza głowę, słabnie i nie ma ochoty ruszyć się z miejsca.

Popatrzmy, jak zachowują się na jarmarku chłopci ukraińscy. Zwykle chłop zabiera z sobą żonę – *babę*. Ona siedzi na wozie i sprzedaje swój towar: nabiał, drób, jaja. Jej mąż – *czołowik*, stoi przy wozie i sprzedaje zboże, trzodę chlewną, ewentualnie krowę czy konia. Taki jest podział ról: ona sprzedaje drobny towar, a on ten grubszy. Wedle ówczesnego zwyczaju chłop uważał za ujmę handlowanie towarami, które należą do jego żony; on nawet nie interesował się, co i za jaką cenę sprzedawała. Bywało, że ktoś zapyta chłopca: „Gospodarzu, czy na waszym wozie jest ser czy mleko?”. Chłop wiedział, że jest, ale odpowiadał: „*Ja ne znaju, ce moja baba*”. I wskazywał na swoją żonę. Ta zaś niewiele знаła się na pieniądzach i należność przyjmowała na wiarę. W tamtym czasie takie sumy regulowano bilonem. Wiejskie kobiety zawiązywały ten bilon w płóciennych chusteczki. Kiedy potrzebowały sięgnąć po te pieniądze, rozsypywanie węzełka trwało długo.

Na jarmarku można było zobaczyć różnych kuglarzy, oszustów czy zonglerów kartami, zwanych *tuzikami*. Taki spryciarz miał swój nieduży stolik i pochylony nad nim błyskawicznie przebierał kartami. Miał tych kart kilka. Najpierw pokazywał je otaczającym go ludziom i następnie układał je odwrócone na stoliku i proponował, by widz wskazał, gdzie znajduje się jakaś konkretna karta. Kładł przy tym złotówkę jako nagrodę dla tego, kto właściwie wskaże. Ten, kto zdecydował się na grę, musiał położyć na stoliku swoją złotówkę. Wydawało się to proste, ale *tuzik* tak szybko i zwodniczo rozkładał karty, że nikt nie wygrał, a przy tym tracił swoją złotówkę. Dla zachęty zongler miał swoich naganiaczy, którzy, wtajemniczeni w arkana gry, zawsze wygrywali i tym zachęcali gapiów do udziału w grze. Bywało, że taki oszust nagle związał swój interes, chwycił swój stolik i zniknął w tłumie. Działo się to wtedy, gdy otrzymał sygnał o zbliżającej się policji.

Jan wracał do swego wozu, patrząc na targujących się, pijących *mohorycz*, widział nawet hyclów uganiających się za psami, które przyszły tu za swoimi panami. Natknął się też na Cyganki z dziećmi – zebrzące lub pro-

ponujące swoje usługi wróżbiarskie. W całym tym zgiełku i podnieceniu ludzi szukających towaru, dyskutujących, a i kłócących się między sobą najspokojniej zachowywały się woły, które parami spięte jarzmem nieśpiesznie jadły sobie siano lub stały jakby zamysłone, leniwie żując żujkę.

Karolina dawno już sprzedawała swój towar i z niecierpliwością oczekiwała męża. Widząc go nadchodzącego ucieszyła się i gdy się zbliżył, rzekła:

*– Ja już bojała się że ty ni zablądził, toż tutaj wiency narodu jak na odpusćcie. A i żulików, i złodziei krenci się tut ni mało, że kogoś okraść albo obmamić. Ja bojała sie, że ciebie ni obkradli.*

*– Ni turbuj się, ja ni pierwszy raz jarmark widział –* uspokajał żonę Jan, szykując konie do jazdy powrotnej.

Mimo iż rozładowany wóz pozwalał konikom na niektórych odcinkach drogi biec, do domu przybyli gdy zapadła już noc.

\*\*\*

Waldemar kompletował zapisy i pomiary nowego terenu. To będzie materiał do sporządzenia generalnego planu w czasie zimy. W wolnych dniach razem z leśniczym wyjeżdżali do lasu na polowanie, które zawsze było uwieńczone powodzeniem, gdyż zwierzyny w lasach było dużo. Trofea ich myśliwskich wypraw to jelenie, kozły i dziki.

Walentyna po zakończeniu wykopków, przy których pomagała rodzinie, miała dużo wolnego czasu. Szczególnie wieczorami, kiedy mąż zajęty był w swojej pracowni, ona szukała jakiegoś nowego pomysłu dla swojej amatorskiej twórczości. Pewnego razu, gdy przyszywała urwany guzik przy myśliwskiej kurtce męża, pomyślała, że te guziki mogłyby być inne, bardziej oryginalne, nawiązujące do myślistwa. Wtedy przyszło jej na myśl, że guziki można by wykonać z rogu jelenia lub kozła. Takich rogów mieli sporo, jedne pięknie oprawione zdobiły ścianę pracowni Waldemara, inne, mniej okazałe, leżały na strychu. Wszystkie były zdobyczą myśliwską jej męża lub znaleziskiem, bowiem jelenie i kozły co roku zmieniają poroża.

Walentyna powiedziała mężowi o swoim pomysle i poprosiła, aby uciął jej trochę takich krążków z rogu u jego nasady, gdzie jest okrą-

gły. Róg jest twardy i Waldemar musiał użyć w tym celu piłki do metalu. Gdy już posiadała sporo takich krążków, o grubości około pół centymetra, zabrała się do pracy. W ruch poszły cyrkle, rysiki, nożyki, dłutka. Przedmiot obróbki był mały, trudny do trzymania w delikatnych palcach kobiety. Widząc to, Waldemar wykonał z drewna specjalny zacisk, który unieruchamiał leżący na stole krążek, dzięki czemu Walentyna mogła skuteczniej operować swoimi narzędziami. I tak powstał pierwszy guzik, pięknie wystylizowany, z ramką na obwodzie, o wypukłym profilu i dwóch otworkach do przyszycia. Wykonanie następnych poszło już łatwiej. Takie guziki przyszyte do skórzanej kurtki uderzały oryginalnością i pasowały kolorystycznie. Waldemar był szczęśliwy i dumny. Po zapoznaniu się z nowym tworzywem naszą artystkę owładnęła pokusa dalszych prób rzeźby w tym materiale. Ale co rzeźbić? Nagle przyszła jej pewna myśl, którą jednak odrzuciła i wciąż szukała jakiegoś tematu, jakiejś nowej idei, którą mogłaby wyrazić rzeźbą. Jednak ta pierwsza myśl, którą zaniechała, ciągle wracała jak bumerang, aż w końcu stała się jej pragnieniem. „Tak!, zdecydowanie ustaliła, to będzie płaskorzeźba Matki Boskiej Ostrobramskiej, taki medalionik”. Tak to nazwała. Przez kilka dni żyła tą ideą, przygotowując się do przedstawienia jej mężowi.

Waldemar wysłuchał żony z najwyższą uwagą i podziwem, ale sceptycznie oceniał możliwość wykonania takiej miniatury.

– Kochanie, to jest zbyt piękne, aby było prawdziwe. Po prostu wymaga to bardzo dużej precyzji.

– Ależ Waldku, pozwól mi zmierzyć się z tym zadaniem. Poznałam już tworzywo i mam nadzieję, że podołam. Posiadam przecież precyzyjne narzędzia i nawet igiełkami wydobędę z materiału najdrobniejsze szczegóły. Poza tym całą duszą i sercem czuję potrzebę wykonania takich medalioników dla ciebie i dla mnie.

Do głębi wzruszony Waldemar, objął ją i rzekł:

– Kochanie, ja wiem, że ty wszystko potrafisz, ale mi żal tych oto paluszków – i całował palce żony, ale w końcu ustąpił. – No już dobrze, zgadzam się z tobą. Powiedz, kiedy mam przygotować materiał.

– Kiedy znajdziesz na to czas. Tylko wyobrażam sobie, że powinny to być owalne pola, czyli cięte ukośnie i z rogu o trochę mniejszej średnicy. Jak sądzisz, Waldku?

– Im mniejsza średnica, tym większa precyzja – ostrzegał Waldemar.

– No, zobaczymy, muszę spróbować. Proszę cię, utnij mi kilka plasterków.

Zbliżała się zima. Długie jesienne, a później zimowe wieczory w domach wiejskich były wypełnione pracą. Dziewczyny przy świetle naftowych lamp przędły len i tkwały płótno. Mężczyźni w stępach tłukli proso, pilnowali pieców grzewczych, tak zwanych grubek, w których paliło się drewno. Przy tych pracach umilano sobie czas śpiewaniem. Bywało, że ktoś starszy wiekiem opowiadał jakieś baśnie lub prawdziwe zdarzenia, często opisujące miłość dwojga młodych ludzi. Wielki urok miały tradycyjne *tłuki*, czyli zbiorowe szatkowanie kapusty, lub darcie pierza. Polegało to na tym, że umawiano się na taką *tłukę* w jednym gospodarstwie, a następnego wieczoru w drugim. Prace te wykonywały głównie dziewczyny, ale z pomocą przychodzili też chłopcy. Były to pożyteczne i miłe towarzyskie spotkania, wypełnione pracą, śpiewem i radosnym śmiechem rozbawionej młodzieży. W Czeremnem takie zbiorowe akcje, czyli *tłuki*, odbywały się tylko w domach ukraińskich. Polacy też współpracowali z sobą, ale nie na taką skalę, ponieważ mieszkali tu tylko trzy polskie rodziny.

Karolina każdego piątku piekła chleb. Poprzedniego dnia do dużej drewnianej dzieży, na dnie której zawsze była rozczyniająca zakwaska, wysypywała żytnią mąkę i dolewała wody. Po wymieszaniu rzadka masa wypełniała około jednej czwartej objętości dzieży, którą pozostawiano w ciepłym pomieszczeniu na całą noc. Do rana ciasto urosło, wypełniając całą dzieżę. Gospodyni formowała to ciasto w duże bochny i układała na stole posypanym mąką. Na każdym bochenku palcem zamoczonym w wodzie robiła krzyżyk. Duży piec chlebowy najpierw silnie rozgrzewała płonącym drewnem, a gdy był już dostatecznie rozgrzany, *kociubą* usuwała z pieca rozżarzone węgle, a następnie wrzucała szczyptę mąki na rozgrzany trzon pieca. Jeśli mąka spłonęła, mokrą

ścierką na *kociubie* wycierała trzon pieca, obniżając w ten sposób jego temperaturę. Gdy wrzucona do pieca następna szczypta mąki nie płonęła, lecz różowiała, wtedy na drewnianej łopacie wsuwała przygotowane, uformowane z ciasta bochny chleba. Po jakimś czasie (orientując się po kolorze pieczonych bochenków) tą samą łopatą wyjmowała rumiane bochenki, które miłym, swojskim zapachem napawały cały dom. Było ich dziesięć, może więcej, tak by starczyły na cały tydzień dla nich obojga i dla Waldemarów.

Waldemarowie wieczory spędzali inaczej. Zwykle Walentyna przerywała swoje zajęcia, a często to była praca artystyczna, porządkowała swoje skromne atelier, przygotowywała kolację i prosiła męża. On kończył swoją pracę, wychodził z pracowni, razem siadali na kanapie i spożywali kolację, słuchając przy tym radia. To radio było atrakcją wieczorów. W zasięgu ich aparatu były polskie rozgłośnie radiowe: Warszawa, Katowice, Baranowicze, Wilno, Lwów, Toruń i Kraków. Najbardziej lubili rozgłośnie lwowską, a szczególnie program *Wesoła lwowska fala* ze Szczepciem i Tońciem, radcą Strońciem, i ciotką Bańdziuchową... Te znakomite dialogi w rodzaju: „Ta ty Tońciu, ty durnowaty pomidor, ni kapujesz, co ja du ciebie bałakam?!”... Albo lwowskie piosenki w rodzaju:

Ta joj Jóźku, ta nie rób hecy.  
Skąd przybywasz zaraz mów,  
Widzy ży masz teńgie plecy,  
Z pyska patrzy cały Lwów.  
Jak tam Gródek i Kliparów,  
Tam gdzie naszymy wiary ćma  
Tam śpiwajo hojra hojra.  
Takie Jóźki jak i ja.

W stryjskim parku na festynie.  
Tam zabawa klawo płynie,  
Tam hulaju wiary ćma,  
Takie Jóźki jak i ja.

Przyszet Jóźku, raptus nerwus,  
Nawyt ni powiedział serwus.  
Patrzy si w rzeźnika brzuch,  
I czoryk puszcza w ruch.

Były też programy dla dzieci. Przodowała w tym rozgłośnia warszawska, gdzie występował „wujek radiowy” – Henryk Ładosz i „ciocia radiowa” – Wanda Tatarkiewicz. Polskie Radio informowało o rozwoju polskiej gospodarki. Imponująco rozwijała się Gdynia – to nasze morskie okno na świat. Port gdyński był jednym ze znaczących w Europie. Wybudowano linię kolejową łączącą Górny Śląsk z portem w Gdyni. Eksport węgla, obok płodów rolnych i owoców lasu, był naszym głównym źródłem zasilenia budżetu państwa. Dynamicznie rozwijał się Centralny Okręg Przemysłowy – wielka duma i nadzieja naszej gospodarki. Były też audycje rozrywkowe i słuchowiska radiowe, w których występowali piosenkarze: Chór Dana z Eugeniuszem Bodo i Mieczysławem Foggiem. Waldemarowie słuchali znakomitej piosenkarki i aktorki Hanki Ordonówny, pasjonowały ich transmitowane spektakle teatralne z udziałem Ludwika Solskiego, Mieczysławy Ćwiklińskiej (np. *Grube Ryby* Bałuckiego) i wielu innych aktorów, jak np. Jadwiga Smosarska. Karierę robił wówczas znakomity tenor Jan Kiepura, który swoimi występami rozślawiał Polskę w świecie.

Efektywnie rozwijało się polskie lotnictwo wojskowe. Dęblińska szkoła lotnicza szkoliła i wypuszczała znakomitych orłów przestworzy powietrznych. Wyróżniali się wśród nich piloci Żwirko i Wigura – zwycięzcy w międzynarodowych zawodach Challenge w roku 1932 na samolocie RWD6. Kpt. Jerzy Bajan – twórca zespołowej akrobatyki lotniczej – w roku 1934 zwyciężył w międzynarodowych eliminacjach lotniczych Challenge na samolocie RWD9. Te osiągnięcia naszej awiacji i jej bohaterów, prezentowane w programach emisyjnych Polskiego Radia, zachwycały radiosłuchaczy i były dumą narodu.

\*\*\*

Tymczasem Walentyna skończyła pracę przy pierwszym medalioniku. Gdy Waldemar go zobaczył, z entuzjazmem oświadczył, że jest to majstersztyk precyzyjnego rzemiosła artystycznego.

– Nie przypuszczałem, że uda ci się coś, co wymaga takiej precyzji. Ty jednak dokonałaś tego w sposób idealny. Podziwiam twoją cierpliwość i artystyczny kunszt. Ten medalionik ma dla nas wielką wartość, a dla naszych dzieci i wnuków będzie bezcennym klejnotem rodzinnym – mówił, całując ręce żony.

– Ależ Waldku, nie przesadzaj, to nie jest takie trudne. Było trochę dłubaniny i trwało to długo, bo to pierwsza sztuka, następna pójdzie mi łatwiej. Muszę wykonać dwa, jak ci to kiedyś obiecałam.

Największym pragnieniem małżonków Waldemara i Walentyny było posiadanie potomstwa. Toteż gdy pojawiły się symptomy wskazujące, że Walentyna zostanie matką, ogarnęła ich ogromna radość. On patrzył na nią jak na ikonę, proch przed nią zdmuchiwał. Oboje długie chwile spędzali klęcząc przed Ostrobramską, głęboko wierząc, że to za Jej łaskawym wstawiennictwem są przy nadziei. Waldemar całował palce u rąk żony, mówiąc:

– To tym paluszkom, które z takim mozołem tworzyły Jej wizerunki, zawdzięczamy to Boże błogosławieństwo.

Był grudzień, mróz ściął wody w rzekach, na bagnach i moczarach, a później spadł śnieg, dużo śniegu. Biały puch grubą warstwą pokrył pola i ubielił las. Rosnące w bezpośrednim sąsiedztwie z leśniczówką wysokie świerki wyglądały wręcz bajecznie. Ich szeroko rozpostarte zielone konary od nasady do wierzchołków ugiwały się od obfitego nawisu śniegu. Wokół panowały biel i cisza... Rzec by można święta, przedbożonarodzeniowa cisza. Był bowiem adwent i w mroczne poranki odprawiano w kościołach roratnie msze. Waldemar postarał się o sanie i parą swoich koników codziennie mknęli poprzez las i pola do kościółka. Towarzyszyła im Irenka. Roraty odprawiały się o godzinie szóstej i trwały pół godziny, tak że zdążyli wrócić przed zajęciami szkolnymi Irenki. Ten poranny wyjazd do kościoła miał dla nich dwa aspekty. Pierwszy i zasadniczy to ten religijny. W kościele pogrążonym w półmroku, przy przyciszonym śpiewie

organisty, któremu towarzyszył delikatny akompaniament organów, ro-ratnia msza miała szczególny urok. Wprowadzała niezwykle poruszający uroczysty nastrój i poczucie bliskości świąt Bożego Narodzenia. Drugi aspekt to odczucie rozkosznej rekreacji, jaką stanowiła (nocna jeszcze) jazda przez las w kryształowo czystym, mroźnym powietrzu i scenerii ubielonych śniegiem świerków. W zimowej ciszy lasu donośnie brzmiało parskanie koników, które żwawo ciągnęły lekko sunące sanie. Oni zaś ubrani w ciepłe szuby siedzieli na saniach, pełną piersią chłonęli zimne orzeźwiające powietrze i szeroko otwartymi oczami patrzyli na te osobliwe, zimowe cuda natury.

Życie Waldemarów zdominowała atmosfera oczekiwania na dziecko. Wieczorami, gdy przytuleni do siebie siedzieli na kanapie, marzyli o przyszłości, kiedy będzie ich troje...

W takiej to chwili Walentyna zwróciła się do męża z pytaniem:

– Waldku, a jeśli będzie chłopczyk, jakie chciałbyś dać mu imię?  
– Słyszałem kiedyś jak twój ojciec Jan mówił, że chciałby doczekać wnuka, który by przyjął imię jego dziadka Witolda, powstańca styczniowego. Myślę, że należałoby uwzględnić życzenie ojca Jana.

– A jeżeli będzie dziewczynka? – pytała Walentyna.

– W tym wypadku ty powinnaś decydować, natomiast ja, oprócz twojego, bardzo lubię imię Krystyna.

Liczyli miesiące do urodzenia dziecka. Wypadało im, że nastąpi to w sierpniu przyszedłego roku.

Święta Bożego Narodzenia Waldemarowie obchodzili razem z Janem i Karoliną. Irenka na zimowe ferie wyjechała do rodziców. Drugi dzień świąt spędzili razem ze swoimi sąsiadami, Stefanem i Adelą, w leśniczówce. Z nimi też w świąteczny wieczór urządzili sobie przejażdżkę końmi po lesie.

Cudowny było to spacer. W cichy księżycowy wieczór para rączych koni ochoczo ciągnęła sanie leśną, zasypaną śniegiem drogą. Z potrącających przez konie gałęzi przydrożnych świerków obficie sypał się śnieg i swoim pyłem zasypywał konie, ale też jadących, wywołując ich radosny śmiech. Ktoś zaintonował kolędę *Bóg się rodzi, moc truchleje...* Pozostali

dołączyli się. W ciszy zimowego wieczoru donośnie niosło po lesie harmonijny czwórgłos śpiewanej kolędy, jakby głoszący całej tej pięknej naturze to, co się stało w Betlejem.

Wrócili w samą porę, w czasie, gdy do ich domu zbliżała się grupa ukraińskiej młodzieży śpiewającej kolędę *Wśród nocnej ciszy...* Zdziwiło ich, gdy na czele tej grupy ujrzeni Wołodię. Gospodarze zeszli z sań i stojąc przed kolędnikami wysłuchali ich pięknego śpiewu. Jeden z kolędników trzymał osadzoną na długim drewnianym uchwycie dużą, wykonaną z czerwonego papieru gwiazdę betlejemską. Gospodarze zapraszali całą grupę do domu na poczęstunek słodyczami i ciastem. Wołodia jednak podziękował w imieniu grupy mówiąc, że jest ich za dużo, a ich celem było jedynie odwiedzenie polskich rodzin w dniu ich święta i kolędując, złożenie im życzeń.

Po odejściu młodzieży niewiasty weszły do domu Waldemarów, a mężczyźni wyprzęgli konie, wprowadzili je do stajni, dając im wodę do picia i obroki. Tego wieczoru, odprężeni wspaniałą przejażdżką, zjedli wspólnie kolację i śpiewali kolędy. Gdy sąsiedzi odeszli do swojego mieszkania, Waldemarowie długo jeszcze siedzieli na kanapie i popijając herbatkę gwarzyli na różne tematy.

Zastanawiali się, co skłoniło Wołodię do chodzenia z kolędnikami.

– Chyba nie sympatia do Polaków, to raczej jego kamuflaż – stwierdził Waldemar i dodał – Irenka mi mówiła, że być może interesuje się nim policja. To jej podejrzenie wynikało z tego, że pewnego dnia odwiedził ją urzędnik oświaty z Kostopola. Wypytywał ją, co sądzi o nowym nauczycielu, czy współpracuje z nią, jak pełni swoje obowiązki i w ogóle co może o nim powiedzieć. Irenka powiedziała mu wszystko: że jest apodyktyczny, że z nią nie współpracuje, że zabrał jej ulubiony przedmiot – historię i sam jej uczy, ale nie według programu, o czym usłyszała od dzieci. Dużo czasu spędza z młodzieżą, tą pozaszkolną, starszą i jest przez tę młodzież lubiany. Poza tym odnosi się niechętnie do obchodów polskich narodowych świąt.

– Mnie się też widzi, że to jakiś dziwak, ale też tajemniczy typ – zakończyła Walentyna.

Prawosławne święta Bożego Narodzenia odbywają się dwa tygodnie później niż katolickie – 6 stycznia. Później – 19 stycznia, wierni tego obrządku obchodzą święto zwane *Jordan*. Liturgia tego święta jest bardzo uroczysta. Po Słudźbie Bożej (mszy) w cerkwi procesja wychodzi nad rzeczkę, gdzie wcześniej już wyrąbano przerębel i postawiono duży krzyż wyciosany z łożu. Nad przeręblem, przy tym „kryształowym” krzyżu, pop odprawia modły, w czasie których przyniesiony z cerkwi krzyż zanurza i błogosławi wodę. Po tym liturgicznym zabiegu woda traktowana jest jako święcona. Pop kropi nią zgromadzonych wiernych, a oni podchodzą do przerębla, czerpią tę wodę do specjalnych, przybranych wianuszkami naczyń i zanoszą ją do swoich domów.

Waldemarowie i inni katolicy, przez szacunek dla tego chrześcijańskiego i trzeba przyznać pięknego obrzędu, uczestniczyli w tej uroczystości.

W okresie międzywojennym Polska była krajem wielonarodowościowym. Po ludności polskiej, największą grupą etniczną byli Ukraińcy – około 4 milionów, po nich Żydzi – około 3 milionów, Białorusini – około miliona i Niemcy – również około miliona. Wszystkie mniejszości narodowe korzystały z należnych im praw, bowiem Polska była krajem tolerancyjnym. Ukraińcy skupiali się w południowo-wschodnich województwach ówczesnej Polski, głównie jednak na Wołyniu, gdzie była największa ich populacja. Liberalne stosunki polityczne w Polsce sprawiły, że żywioł ukraiński był pozostawiony sam sobie.

Początkowo Ukraińcy nie byli inwigilowani, sami się organizowali i działali gospodarczo, szczególnie w ruchu spółdzielczym. Posiadali dwie legalne partie polityczne i swoje przedstawicielstwo w parlamencie. Jak się później okazało, pod płaszczykiem tych legalnych organizacji, w podziemiu, rozwijała się wroga Polsce Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów. Poczucie świadomej odrębności narodowej, a nawet wrogości do narodu polskiego, przejawiała część inteligencji ukraińskiej. Inni zaś żyli z Polakami w przyjaznej symbiozie. Odmienny charakter społeczny reprezentowali chłopci ukraińscy, szczególnie na Wołyniu. Oni w zdecydowanej większości stanowili element bardzo zacofany, mieli słabe poczucie tożsamości narodowej i w dużej mierze byli obojętni politycznie. Tak było

u zarania polskiej państwowości, po pierwszej wojnie światowej. W miarę rozwoju szkolnictwa na wsiach ukraińskich, gdzie językiem nauczania był ukraiński, poziom tożsamości narodowej rósł. Jednak chłop ukraiński, stosunkowo niedawno wyzwolony od pańszczyzny, nie aspirował jeszcze do posiadania własnego, suwerennego państwa. Głównym jego pragnieniem było posiadanie więcej ziemi. Niemniej jednak ukraińskie masy chłopskie stanowiły potencjalny, szczególnie łatwy do manipulacji, materiał społeczno-polityczny dla propagandowych nacjonalistycznych elit ukraińskich.

Po zjeździe nacjonalistów ukraińskich w Wiedniu w 1929 roku ruszyła na nasz kraj fala propagandy i agitacji antypolskiej, podsycana i finansowana przez nazistów niemieckich. Ideolog i apologeta nacjonalizmu ukraińskiego – Dmytro Dońcow uzbroił ich w obłądny program, całkowicie wyzuty z zasad humanitaryzmu. Od początku lat trzydziestych nacjonałści ukraińscy w Polsce rozpoczęli akcję sabotażową, niszczącą skarb państwa polskiego. Obudziło to czujność resortu spraw wewnętrznych. Po wzmocnieniu policji i rozszerzeniu uprawnień Korpusu Ochrony Pogranicza oraz dokonaniu zabiegów prewencyjnych sabotaże wygasły, ale rósł potencjał odwetu wśród podziemnej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Starali się oni obudzić i uaktywnić chłopstwo ukraińskie, docierając do niego poprzez swoich nauczycieli. W Czeremnem taką rolę mógł pełnić Wołodia.

Oprócz ukraińskiego podziemia nacjonalistycznego wielu Ukraińców było sympatykami Rosji sowieckiej, mimo że polska i europejska prasa informowała o okrucieństwie sowieckiej władzy. Część Ukraińców nie dawała wiary tym doniesieniom i ulegała propagandzie sowieckiej, wierząc, że tam panuje sprawiedliwość i wolność wszystkich narodów należących do Związku Sowieckiego.

\*\*\*

Mijała zima roku 1936. Topniała gruba warstwa śniegu na polach Czeremnego, odpadały grube sople lodu od strzech, szemrały strumyki wody spływającej do rzeczki, a słońce grzało coraz silniej. Wiosna nad-

chodziła wielkimi krokami. Pomiędzy łątami śniegu przy lesie zazieleniła się trawa, zakwitły przebiśniegi i zawilce, zwane tu *koziodrą*. Tu i ówdzie pojawiły się pasące krowy, a w dolinie rzeczki zakwitły kaczeńce. No i wreszcie nadleciały bociany. Biedne ptaki latały nad Czeremnem, rozpaczliwie poszukując swych gniazd. Gdy ich nie znalazły, budowały nowe, ale zmieniły się warunki, nie było słomianych strzech. Ludzie ułatwiali bocianom pracę. Niektórzy na szczytach dachu mocowali koła od wozów lub jakieś drewniane ramy. Waldemar zamocował taką ramę na dachu leśniczówki. Nie miał nadziei, że jeszcze w tym roku bociany się tu zagnieżdżą, ale może kiedyś... Tymczasem już po kilku dniach para bocianów zaklekotała na ramie. W ciągu tygodnia zbudowały gniazdo. Radość gospodarzy, a zwłaszcza Walentyny, była wielka. Wróźono, że bociany przyniosą szczęście dla tego domu.

Waldemar rozpoczął przerwana przez zimę pracę w sąsiedniej wsi. Bardzo troszczył się o żonę, która w czasie jego nieobecności była w domu sama. Proponował jej, że przed wyjazdem do pracy będzie odwoził ją do rodziców, ale ona odmawiała, mówiąc:

– Coś ty, Waldku?... Ja chcę być tu, w naszym domu, ugotować nam obiad, posprzątać i usiąść przy swoim stoliku, bo przecież teraz potrzebujemy już nie dwa, lecz trzy medalioniki.

No cóż, musiał ulec żonie, ale zbudował mostek, taką wygodną kładkę na rzeczce. Dotychczas, gdy Walentyna chciała odwiedzić rodziców, musiała iść drogą okrężną, koło szkoły, gdzie był mostek. Kładka była dużym udogodnieniem, znacznie skracala tę drogę. Oprócz tego w trosce o jej bezpieczeństwo zabronił jej jazdy konnej i dźwigania ciężarów. W tym celu zaangażował pomoc dla żony. Kobieta z pobliskiego chutoru codziennie przychodziła do Walentyny, by przynieść jej wody ze studni, drewna opałowego lub zrobić jakieś zakupy u Szmula. Tą kobietą była bardzo wobec niej przyjazna Ukrainka, Paraska – jej koleżanka ze szkolnej ławy w Czeremnem.

Trwały wiosenne prace polowe, w Czeremnem inne niż w latach poprzednich. Gospodarze mieli do zagospodarowania swoje scalone grunta. Potem przyszły sianokosy. Malowniczo wyglądały na łąkach rzędy *kopic*

pachnącego siana i kroczące między nimi bociany, które miały tu obfite żerowisko, gdyż skoszona trawa nie kryła żab, węży, jaszczurek i myszy.

W tym czasie Waldemarowie zapragnęli udać się do sanktuarium Matki Bożej w Kaźmierce. W tym celu Waldemar wygospodarował sobie tydzień czasu, aby z Kaźmierki udać się do Huty Stepańskiej, gdzie były źródła wody leczniczej. Chodziło mu o Walentynę, aby wzmocniła swój organizm, gdyż za dwa miesiące miała urodzić ich pierwsze dziecko. Do Kaźmierki nie było daleko, około 18 km, ale prowadziła tam droga przez mokrzary i lasy.

Wyjechali w sobotę o świcie. Kasztanek lekko ciągnął waszązek w miejscach, gdzie droga była lepsza. Teren jednak był błotnisty i pełen brodów. Pośpieszyć nie mogli z powodu nierówności – wybojów i wystających korzeni drzew, które powodowały trzęsienie wozu, czego ze względu na stan żony Waldemar unikał. Kilka kilometrów przed Kaźmierką droga była sucha i bardzo piaszczysta. Do sanktuarium dojechali przed południem, w chwili gdy zbliżały się tam dwie pielgrzymki. Ostatni odcinek drogi pielgrzymi pokonywali na kolanach, śpiewając pieśni maryjne. Niesamowity był to widok. Długa kolumna ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci, wpatrzone w wieżyczkę sanktuarium, brnęła na kolanach w suchym piasku i śpiewała *Serdeczna Matko...* Tak głęboko religijny był polski lud kresowy, a w jego sercach był tak wielki kult maryjny...

Udało się im przed pielgrzymami wejść do sanktuarium i uklęknąć przed Madonną. W gorących modłach polecieli Jej siebie i swoje dziecko. Potem przystąpili do spowiedzi i wzięli udział we mszy świętej. Poświęcili też wykonane przez Walentynę trzy medalioniki. Pokrzepieni duchowo, wyszli z sanktuarium na ogromny piaszczysty dziedziniec. Ich oczom ukazał się rząd, a właściwie dwa rzędy klęczących dziadów (żebraków) wyciągających ręce i proszących o jałmużnę. Jedni z nich modlili się głośno, inni śpiewali religijne pieśni. Za nimi stały rzędy straganów z dewocjonaliami, różnymi pamiątkami i zabawkami dla dzieci, jeszcze dalej wozy, a przy nich konie. Tam też był uwiązany przy wozie, spokojnie spożywający swój owies i siano ich kasztanek.

W godzinach popołudniowych wyruszyli do Stepania, gdzie mieli się zatrzymać w drodze do Huty Stepańskiej. Jeszcze przed zachodem słońca przekroczyli most na Horyniu i znaleźli się w Stepaniu. Zatrzymali się u Żyda, który miał zajezdnię (szopę-wozownię) i dom noclegowy.

Huta Stepańska to duża polska kolonia. Znajdował się tam kościół i szkoła, a w pobliżu lecznicze błota. Na terenie uzdrowiska stał piękny budynek, w którym były pokoje dla pensjonariuszy oraz pomieszczenia zabiegowe. W jednym z tych pokoi zamieszkali Waldemarowie, a dla kasztanka załatwili kwaterę w najbliższym gospodarstwie. Walentynie, po badaniu lekarskim, zalecono odpowiednie kąpiele, a Waldemarowi gimnastykę rekreacyjną. Mieli dość czasu na spacer i towarzyskie zabawy w gronie pensjonariuszy. Przechadzali się też po kolonii Huta. Spotykali się tam z dużą gościnnością, dzięki czemu poznali wielu mieszkańców tego osiedla. Spostrzegli u tych ludzi wielki patriotyzm i przywiązanie do tradycji narodowych. Działały tu katolickie organizacje młodzieżowe, była silna organizacja „Strzelec” i harcerstwo. Wokół Huty Stepańskiej leżało wiele mniejszych kolonii polskich, które razem Hutą, kościołem i siedmioklasową szkołą stanowiły prężny organizacyjnie ośrodek polski.

Tydzień pobytu w sanatorium minął pożytecznie, przyjemnie i szybko. Waldemarowie wracali do domu wypoczęci, odprężeni i fizycznie wzmocnieni. Wracali inną drogą, dłuższą, ale omijającą przepastne błota i brody, gdzie niejednokrotnie woda sięgała osi wozu. Teraz jechali przez liczne wsie ukraińskie, których chaty kryte były słomą, a lud wiejski, ubrany w białą, płócienną odzież, chodził boso lub w *postołach* (rodzaj obuwia wyplatane techniką krzyżową z łyka). Podobnie jak w Czeremnem w czasach przed reformą, chaty ciągnęły się wzdłuż długiej ulicy, przy której były żurawie studzienne i koryta do pojenia bydła. Z tych studni kobiety wiejskie nosiły na koromysłach wodę w drewnianych wiadrach. Niesienie dwóch takich wiader wody na koromysle nie jest łatwe. Przekonał się o tym Waldemar, gdy przy jednej ze studni poił konia. Zwrócił wtedy uwagę na wiejską, szczupłą, niewysoką kobietę, która dwa napełnione wiadra wody założyła na koromysło i zamierzała włożyć je na barki. Zaciekawiony Waldemar zwrócił się do niej z pyta-

niem, czy takie dwa duże wiadra nie są dla niej zbyt ciężkie. Kobieta ze śmiechem odpowiedziała: „*Zowsiem ni tiazkiji, poprobujcie pane samy nesty*” (czyli: wcale nie są ciężkie, niech pan sam spróbuje). Waldemar chwycił koromysło, z dużym wysiłkiem założył je na swoje barki i ruszył do przodu, ale wiadra rozkołysały się i musiał zrezygnować. Wywołało to śmiech kobiety, która przejmując od niego koromysło, powiedziała: „*Dywytes*” (czyli: patrzcie). Przysiadła, ułożyła koromysło na barkach i całkiem lekko uniosła, potem szła zupełnie swobodnie, krokiem płynnym jak w tańcu. Nie widziało się u niej wysiłku, a dwa drewniane wiadra wody płynęły równo. Waldemar i Walentyna patrzyli na to z ciekawością, ale bez zdziwienia, gdyż już nieraz widzieli takie sceny noszenia wody w Czeremnem.

Nie spiesząc się, jechali delektując się pięknymi krajobrazami kostopolskiej ziemi. Jeszcze przed wieczorem dotarli do domu, pełni wrażeń, ale też ciesząc się, że wreszcie są pod swoim dachem, bo jak zwykle się mówi: „Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej”.

Żniwa były w pełni. W tym czasie chłopci w Czeremnem szczególnie odczuli dobrodziejstwo scalenia gruntów. Teraz wszystkie swoje plony mieli w pobliżu swojej zagrody, co ułatwiało ich zbiór i transport do stodół.

Instynkt rolnika ciągnął Walentynę do prac żniwnych, chociażby do sporządzania posiłków dla zapracowanych rodziców. Jednak z uwagi na swój stan musiała z tego zrezygnować, poza tym kategorycznie zabronił jej tego mąż.

Ponieważ zbliżał się czas rozwiązania, Waldemar zawiózł żonę do polikliniki w Kostopolu. Tam po dokładnych badaniach stwierdzono, że wszystko rozwija się prawidłowo i stan matki jest dobry. Orzeczono również, że czas rozwiązania jest bliski – może nastąpić lada dzień. W tej sytuacji Waldemar zdecydował się na pozostawienie żony w poliklinice aż do czasu rozwiązania. Nie czekał długo, już następnego dnia otrzymał telegram, że urodził mu się syn, a matka czuje się dobrze. Waldemar wpadł w szal radości. „Mam syna!”, wrzasnął i błyskawicznie znalazł się w stajni. Wrzucił siodło na kasztanka i już pędził do Kostopola. Wiatr targał mu rozchełstaną koszulę i odkrytą czuprynę, a on pędził na prze-

łaj, bo droga miała za dużo zakrętów. Tak bardzo chciał zobaczyć upragnionego syna i ukochaną żonę. Gdy dopadł do polikliniki, kasztanek był spieniony od potu.

Położna wzięła na ręce i pokazała mu rozkrzyczaną istotkę, która jest jego synem. Waldemar patrzył na tę kruszynkę, pożerał ją wzrokiem z wielką miłością i dumą. „To mój syn”, myślał, po czym skierował wzrok na żonę, ukląkł przy jej łożu i całował jej ręce.

– Kochanie moje, mamy syna... – mówił.

Walentyna ze łzami szczęścia w oczach patrzyła na radość męża, wciąż klęczącego przy jej łóżku. Położna oddała dziecko matce, mówiąc:

– Ono płacze, bo jest głodne, niech pani poda mu pierś.

Waldemar, jak w cudownym śnie, patrzył na tę wspaniałą scenę karmiącej matki – jego żony, trzymającej przy piersi ich syna... Położna cicho odeszła, pozostawiając ich samych, a oni rozkoszowali się sobą, bo już było ich troje, stanowili rodzinę...

Matka i dziecko miały jeszcze pozostać w poliklinice przez trzy dni. Waldemar wracał do Czeremnego bez pośpiechu. Puścił kasztanka wolno, zawieszając wodze na kulbace. Nie śpieszyło mu się. Myślał, w oczach miał swoją ukochaną żonę karmiącą ich dziecko. Serce rozpierała mu radość tak wielka, że gdy jadąc przez pola, patrzył na rzędem stojące kopki zboża i ludzi uwijających się wokół nich, chciało mu się krzyczeć: „Hej, hej! Nie wiecie, jaki jestem szczęśliwy...”

Również Jan bardzo się ucieszył. Gdy usłyszał, że jego córka urodziła syna, rzekł:

– *Dziękować Bogu, doczekał się ja wnuka. Korci mnie żep jego zobaczyć. Żal, że ni wspaniała zobaczyć jego moja niboszka.*

Gdy Walentyna z dzieckiem znalazła się w domu, zaopiekowała się nią Karolina. Było już po żniwach, więc miała trochę czasu, aby ją odwiedzać, a przede wszystkim przygotowywać i zanosić im posiłki. Poza tym codziennie przychodziła Paraska. Dzięki temu Waldemar mógł spokojnie jeździć do swojej pracy. Wkrótce Walentyna wróciła do pełni sił i oboje z mężem zaczęli myśleć o chrzcie syna. Z wyborem imienia nie było problemu, gdyż już wcześniej ustalili, że na imię będzie miał Witold.

Na matkę chrzestną poproszono Irenkę, a na ojca chrzestnego brata Waldemara, Stanisława. Kupiono dziecku strój do chrztu, a Walentyna założyła mu na szyjkę poświęcony w Kaźmierce medalionik. Po mszy świętej odbył się bardzo uroczysty chrzest, głęboko przeżyty przez rodziców dziecka.

Na prośbę Jana, chrzciny odbyły się w jego domu, nie tylko z uwagi na to, że dom był obszerniejszy, ale przede wszystkim dlatego, że uroczystość chrztu jego wnuka była dla niego wielkim wydarzeniem, a imię, które dziecko na chrzcie otrzymało, napępniało go dumą. To było imię jego dziadka, powstańca.

W domu Waldemarów rozpoczęło się normalne życie rodzinne. Ona poznała i przeżywała wspaniałe uczucie macierzyństwa, on czuł się szczęśliwy i dumny ze swego ojcostwa. W życiu tych dwojga wszystko teraz koncentrowało się wokół ich dziecka: jak się czuje, czy nic mu nie dolega, czy nie jest głodne. A co czuł ten trzeci członek rodziny – Witoldzik? Na pewno potrzebował kontaktu z ciałem matki, na pewno też miewał uczucie głodu, który potrafił zaspokajać jednodaniowym posiłkiem wyssanym z tegoż ciała. Potrafił też dopominać się o zaspokojenie swoich potrzeb, a to np. o wymianę pieluszek, bo gdy w porę tego nie zrobiono, płaczem wyrażał swoje niezadowolenie. Tych chwil niezadowolenia było u niego więcej, na przykład gdy nie mógł usnąć, wtedy rozpaczliwie płakał, co było kłopotliwe – szczególnie nocą. Rozwijał się jednak prawidłowo, o co bardzo troszczyli się rodzice. Waldemar był ojcem bardzo opiekuńczym. Czuwał przy dziecku, gdy w nocy nie mogło usnąć, potrafił wymienić pieluszki, pomagał żonie przy kąpieli dziecka i praniu pieluszek. Przyszedł wreszcie czas, gdy Witoldzik nie tylko wyrażał niezadowolenie płaczem, ale też nauczył się sygnalizować śmiechem swoje uczucie zadowolenia. Był to przełom w komunikowaniu się dziecka z rodzicami. Jego pierwszy zauważony przez nich uśmiech był wielkim, radosnym wydarzeniem i jak słońce rozjaśnił ich dom.

Nadszedł okres świąt Bożego Narodzenia, który zawsze był radosny, ale teraz radosny szczególnie, bo to święto rodziny, a oni już są rodziną. Ubieranie choinki nabrało teraz dla nich znacznie większego, uczucio-

wego wyrazu, gdyż robili to nie tylko dla siebie, ale przede wszystkim dla swojego dziecka... Zastanawiali się: gdy się obudzi i zobaczy ubraną choinkę, jak zareaguje?... Ma wprowadzić tylko cztery miesiące, ale – jak zauważyli – już reaguje na bodźce dźwiękowe i kolorystyczne. Jak zachowa się, gdy ujrzy choinkę?...

Wigilię i święta Bożego Narodzenia Waldemarowie spędzili razem z rodzicami i najbliższymi sąsiadami. Byli też rodzice chrzestni Witolda. Oprócz miłych doznań duchowych, jakie zwykle niosą te święta, w tym roku uwaga spotkania świątecznego koncentrowała się na nowym członku rodziny. Dla wielu Witoldzik kojarzył się z Dzieciątkiem Jezus. Ostrożnie i z należytym szacunkiem podawano go z rąk do rąk, a on miał dobry humor i uśmiechał się do wszystkich, aż w końcu ziewnął i usnął na rękach swojej chrzestnej, Irenki. Ułożony na poduszce, kontynuował swój słodki sen, mimo śpiewanych kolęd i gwaru wielu osób.

Zima przełomu lat 1936/1937 była mroźna. Zapasy drewna opałowego w drewutniach szybko topniały. Grubą warstwę śniegu pokrył lodowaty szron. Był to okres niełatwy dla zwierzyny leśnej, zwłaszcza dla saren, które miały trudności w dostaniu się do żywności pod śniegiem. Ponadto ostry szron kaleczył im nogi. Leśnicy podrzucali im siano i to pomagało im przetrwać ciężki czas. Dodatkowym problemem tych zwierząt były wilki, które w czasie śnieżnej zimy skutecznie polowały, o czym świadczyły krwawe plamy na śniegu i ślady wilczych łap.

Waldemar z sukcesem zakończył cykl letnich i jesiennych prac, za co otrzymał dodatkową finansową gratyfikację i teraz, zimą, pracował na zwolnionych obrotach, przygotowując program dalszych, pozimowych prac. Miał więcej czasu dla rodziny i dla wspólnego z żoną słuchania radia, które donosiło o dynamice rozwoju polskiej gospodarki. COP – Centralny Okręg Przemysłowy – stawał się kuźnią przemian gospodarczych. Polska, będąca dotychczas krajem rolniczym, dzięki COP stawała się krajem przemysłowo-rolniczym. Przyszłość gospodarcza Polski była optymistyczna. Natomiast jej sytuacja geopolityczna nie była dobra. Od wschodu graniczyliśmy z wrogiem Polsce Związkiem Sowieckim, a zachodni nasz sąsiad, Niemcy hitlerowskie, pośpiesznie się zbroił. Tempo

tych zbrojeń nie wskazywało na cel obronny (Niemcom nikt nie zagrażał), zbrojenia miały wyraźny kierunek ofensywny, świadczący o planach agresji.

Polska w miarę swoich możliwości zwiększała swój potencjał obronny: lądowy, morski i powietrzny. Z Niemcami i Rosją sowiecką zawarto pakt o nieagresji, a z Francją i Anglią sojusze wojskowe. Polskie radio donosiło o przebiegu lwowskiego procesu Stepana Bandery, przywódcy OUN odpowiedzialnego za zabójstwo polskiego ministra Bronisława Pierackiego. Ten proces rzucił światło na działającą w podziemiu Organizację Ukraińskich Nacjonalistów w Polsce. Były też relacje z procesów kryminalnych. Wciąż jeszcze komentowano poszlakowy proces Rity Gorgonowej, podejrzanej o zabójstwo młodziutkiej córki lwowskiego architekta.

Wielką atrakcją zimowych wieczorów były słuchowiska i spektakle teatralne, transmitowane przez radio. Słuchano też codziennych programów rolniczych, pouczających o sposobie uprawy i nawożenia różnego rodzaju gleb. Były sprawozdania sportowe i transmisje walk bokserskich, kiedy często padały nazwiska Antoniego Czortka i Mariana Kulczyckiego. W lekkoatletyce głośnie były nazwiska Janusza Kusocińskiego i Stanisławy Walasiewiczówny, złotych medalistów olimpiady w Los Angeles z 1932 r. Rozgłośnia lwowska informowała o sukcesach drużyny futbolowej „Pogoń”.

Inną rozrywką były dla małżeństwa Wysockich spacery na świeżym powietrzu. Najczęściej po śniadaniu ciepło ubierali dziecko, owijali je kocem, a następnie Waldemar niósł je na rękach lub sadzali je na specjalne saneczki. W czasie takiego spaceru często odwiedzali rodziców. Jan i Karolina z radością ich witali, a szczególnie cieszyli się widokiem rumianej twarzyczki Witolda, który był ich wielką miłością. Jeżeli pogoda była dobra, w księżycowe wieczory, nawet w czasie mrozu, Waldemarowie z dzieckiem urządzali sobie przejażdżki saniami po lesie. Było to korzystne dla ich zdrowia, a i konie potrzebowały rekreacji ruchowej na świeżym powietrzu. Małżonkowie odczuwali wielką przyjemność, gdy sanie sunęły leśną drogą wśród otulonych śniegiem świerków. Zimowa cisza leśna, iskrzący się w mrozie i świetle księżyca śnieg oraz kryształowo czy-

ste, orzeźwiające powietrze i ich troje... Witoldzik wtedy zwykle usypiał, a oni oboje, przytuleni do siebie, zauroczeni i sobą, i pięknem otoczenia, czuli się jak w raju.

\*\*\*

Mijały zimowe dni i nadeszła oczekiwana wiosna. Na dachu leśniczówki zaklekotał bocian i wachlując skrzydłami witał gospodarzy, a następnie zajął się porządkowaniem gniazda, oczekując swojej partnerki, która jeszcze nie nadleciała.

Trwał Post i Wielki Tydzień, rozpoczęto przygotowania do świąt Wielkanocnych. Walentyna mozolnie opisywała woskiem wielkanocne jaja. Za pomocą narzędzia zwanego *kistką*, zanurzanego w rozgrzanym wosku, rysowała na jajku różne wzory i misterne desenie. Przy tej pracy wykazywała swe wyjątkowe artystyczne zdolności. Te ozdobne jaja były kolorowane różnymi naturalnymi barwnikami, a nazywano je kraszankami lub pisankami. W każdym polskim domu w dniach świąt Wielkanocnych na stole stał koszyk pełen kraszanek. Były one przedmiotem tradycyjnych gier i zabaw wśród dzieci i młodzieży.

W Wielką Sobotę ksiądz święcił wielkanocne wiktuały. W koszykach wyścielonych białą serwetką układano po odrobinie różnych potraw, nie pomijając chleba, soli i jaj. Potrawy te przystrajano gałązkami barwinku i rodzice z dziećmi nieśli je do kościoła. Po poświęceniu nazywano je „święconym”. Śniadanie wielkanocne rozpoczynano od święconego, w pierwszej kolejności częstując się święconym jajkiem, przy czym składano sobie życzenia.

Msza rezurekcyjna wyznaczona była na godzinę szóstą rano. Z uwagi na nienajlepszą pogodę Witoldzik został pod opieką Karoliny, a do kościoła pojechali Waldemarowie z ojcem, Janem. Irenka, jak zwykle, na święta udała się do rodziców.

Wkrótce po Wielkanocy Waldemar otrzymał awans. Mianowano go Powiatowym Inspektorem Robót Komasaacyjnych i Melioracyjnych. Zaproponowano mu przeniesienie się do Kostopola, ale on się na to nie zdecydował, mimo że oferowano mu wygodne mieszkanie. Oboje

z Walentyną ustalili, że póki ich dziecko nie dorośnie do lat gimnazjalnych, pozostaną w Czeremnem. Kochali las i wiejskie warunki życia, a poza tym tu był rodzinny dom Walentyny, rodzice i bliska przyjaciółka i kuzynka, Irenka. Waldemar, sprawując nową funkcję, nie musiał codziennie jechać do pracy, ale miewał kontrolne wyjazdy do miejscowości położonych czasami daleko od Czeremnego i musiał częściej kontaktować się z urzędem powiatowym w Kostopolu, a nawet z wojewódzkim w Łucku. Oczywiście, łączyło się to z wyższym dla niego honorarium.

Przemierzając powiat wzdłuż i wszerz w ramach obowiązków inspektora, obserwował również nastroje wśród ludności ukraińskiej. Zauważył, że jej część przejawiała wrogie stanowisko wobec polskiego rządu. Jedni byli pod wpływem propagandy sowieckiej, inni preferowali Niemcy hitlerowskie. Działo się to w wyniku agitacji tajnych prowokatorów i nielegalnych publikacji przemycanych z ZSRR oraz z Niemiec przez Czechosłowację. Władze polskie działały powściągliwie, licząc na wsparcie lojalnej części społeczeństwa ukraińskiego. Waldemar nie zauważył jednak jakichś wyraźnych tarć międzyetnicznych. Polacy spokojnie żyli obok Ukraińców. Także Żydzi bezpiecznie poruszali się w terenie i uprawiali swój handel.

W tym czasie Niemcy hitlerowskie urosły już w siłę i czuły się coraz pewniej. Do paktu antykominternowskiego zawartego między Berlinem i Tokio w roku 1936 dołączyły Włochy. Powstała oś: Berlin – Rzym – Tokio. Polska deklarowała neutralność i gotowość obrony swoich granic w wypadku agresji. Nad Europą zawisła wizja strasznej wojny dwóch potęg, a nasze położenie geograficzne wskazywało, że Polska znajdzie się w środku tego ognia. Trwały intensywne prace fortyfikacyjne na zachodnich i wschodnich granicach Polski. Przemysł intensyfikował produkcję zbrojeniową. W całym kraju organizowane były społeczne akcje zbiórki środków materialnych na uzbrojenie naszej armii. Ofiarność społeczeństwa była wielka. Poszły na to srebra rodowe, biżuteria i różne precjoza. Nieugięta wola obrony kraju przed ewentualnym agresorem i duch gotowości walki był powszechny. Ta postawa naszego narodu i rządu oraz wiara w solidarność naszych sojuszników – Francji i Anglii – napawały nadzieją, że agresor nie zaryzykuje działań wojennych.

A jak w tym czasie zachowywały się mniejszości narodowe w Polsce? Obserwując Ukraińców, Waldemar zauważył, że chłopci, mieszkańcy wsi, w głównej swej masie byli obojętni, zainteresowani głównie swoją ziemią i jej płodami. Na pewno jednak byli wśród nich sympatycy Niemiec hitlerowskich czy Rosji sowieckiej. Bardziej zaangażowani negatywnie w stosunku do Polski byli Ukraińcy zamieszkujący miasta i miasteczka Wołynia. Oni wyczekiwali wojny i upadku państwa polskiego.

Żydzi bali się Niemców i z lękiem śledzili posunięcia nazistowskie. Pewna część Żydów preferowała Sowieców, ale wszyscy oni bali się wojny. W Polsce czuli się najbezpieczniej, tu mogli korzystać z pełnej wolności religijnej, obyczajowej i samorządowej (w ramach gmin żydowskich). Słowem, w pełni korzystali z praw obywatelskich. Uczestniczyli we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego, w tym w handlu, który był przez nich zdominowany. Wielu intelektualistów pochodzenia żydowskiego traktowało nasz kraj jak swoją ojczyznę, wszyscy jednak byli solidarni w swojej żydowskiej diasporze.

Oprócz ukraińskiej i żydowskiej była też w Polsce mniejszość białoruska, czeska i niemiecka. Populacja tej ostatniej wynosiła około miliona. Kolonie niemieckie istniały na Wołyniu, w tym w powiecie kostopolskim.

W takich warunkach egzystowało wielonarodowościowe państwo polskie, w którym szanowano tożsamość każdej grupy etnicznej, zapewniając jej wolność wyznania i zrzeszania, ale z zachowaniem lojalności wobec naszej wspólnej ojczyzny – Polski. Te liberalne stosunki społeczno-polityczne w naszym kraju istniały pomimo sąsiedztwa dwóch totalitarnych mocarstw, które rozsiewały antypolską dywersję polityczną wśród naszych mniejszości narodowych.

\*\*\*

Minęły sianokosy i żniwa, nadeszła złota polska jesień. W sadzie przy Janowej zagrodzie rumieniły się dojrzałe jabłka i przy podmuchu wiatru glucho spadały na skoszoną murawę. Trwały jesienne podorywki. Oracze wyszli w pole. Żłociste ścierniska pokrywały równe, lśniące skiby

czarnej gleby. Za oraczami szły wrony i gawrony korzystając z obfitego żerowiska – wyoranego różnorodnego robactwa.

Było ciepło i padały deszcze. W tych warunkach w lasach nastąpił obfity wysyp grzybów. Leśne okolice leśniczówki: mroczne gęstwiny, polany i uroczyska, a także mgliste moczary to zagłębienie różnych jagód, a jesienią żurawin, jeżyn i przede wszystkim różnych gatunków grzybów. Zbieracz grzybów, idąc przez las, widział różne pospolite gatunki tak zwanych betek. Niektóre z nich są trujące, zwłaszcza czerwone, nakrapiane białymi kropkami muchomory, których okazałe czapy mają długie białe korzenie. W lesie sosnowym na czystej, wyścielonej igliwem ściółce masowo wysypywały się żółte kurki, zwane tu *lesiczkami*. Na terenach podmokłych, wśród mchów o różnych odcieniach rosły smaczne grzyby kozaki w sąsiedztwie obfitej ilości żurawin, które jak czerwone perełki rozsypały na seledynowych mchach, połączone cieniutkimi jak nitki kłęczami, przypominały różaniec. Sporo tam było opieńków, kępami rosnących przy spróchniałych pniach drzew. Arystokracja wśród grzybów – prawdziwki lub inaczej borowiki – występowała wszędzie. Te we wrzosach miały pąsowoczarne główki i białe grube korzenie. Rosnące na mchach miały główki brązowe i też białe grube korzenie. Na polanach i przyleśnych łąkach rosły prawdziwki o białych główkach i równie grubych białych korzeniach. Waldemarowie pozostawiali Witolda pod opieką Karoliny lub Paraski i wędrowali po lesie, napełniając kosze prawdziwkami, kurkami i kozakami. Takie grzybobranie traktowali jak przygodę. Zajęcie to łączyło wielką przyjemność z pożytkiem, gdyż obok korzystnej dla zdrowia rekreacji grzyby stanowiły kulinarny przysmak, a wysuszone lub marynowane mogły być przechowywane do następnego sezonu.

Szybkimi krokami zbliżała się kolejna zima. Święta Bożego Narodzenia roku 1937 były radosne. Witoldzik skończył rok i cztery miesiące. Już samodzielnie chodził i bardzo cieszył się widokiem choinki. W prezencie otrzymał pięknego pluszowego misia, jakieś gwizdki i grzechotki.

Sylwestrowy wieczór Waldemarowie z Irenką spędzili na balu w Kostopolu. Był to bal elitarny, za zaproszeniami, organizowany pod

patronatem starosty kostopolskiego. Doborowa orkiestra, obficie zaopatrzony bufet, powitalny szampan, przy którym starosta wygłosił życzenia noworoczne i zainaugurował bal polonezem, idąc po lśniącem parkiecie tanecznej sali w pierwszej parze. Imponująco prezentował się falujący w polonezie krąg par: piękne kreacje pań, eleganckie garnitury panów, a wśród nich również galowe mundury wojskowych. W środku kręgu tańczących par brylował wodzirej, który słowem i ruchem zachęcał do zabawy, inicjował tempo oraz kierował całą imprezą. Większość uczestników balu miała swoich partnerów, ale część przybyła bez osoby towarzyszącej. Ci do tańca łączyli się w pary, wymieniając się partnerami przy kolejnym tańcu. Irenkę proszono do każdego tańca. Szczególnie zainteresował się nią młody, przystojny oficer, który starał się ją porwać do tańca, zanim kto inny to uczyni.

Walentyna szeptała w tańcu do męża:

- Zobacz, Waldku, jakie powodzenie ma nasza Irenka.
- Widzę i cieszy mnie to. Zobacz, jaką piękną stanowią parę w tańcu z tym smukłym oficerem.

Irenka rzeczywiście była oryginalną pięknością. Brunetka, smagłolica, o dużych czarnych oczach w oprawie czarnych brwi i rzęs. Nieco wydłużony, lekko orli nos, i małe, ładnie wykrojone usta sprawiały, że rysunek twarzy nabierał znamion ormiańskich lub cygańskich. Jej sylwetka smukła, zgrabna, a w tańcu lekka i zwiewna, wirowała wokół partnera jak wrzeciono. Taneczny szal ogarnął wszystkich. Orkiestra grała niezmordowanie, a wodzirej wychodził z siebie inicjując różne formy zabawy.

Tak bawiła się kresowa inteligencja, pracownicy administracji i instytucji powiatowych Kostopola. Była to inteligencja konstruktywna, choć zróżnicowana narodowościowo i kulturowo. Niektórzy jej przedstawiciele swoje pochodzenie akcentowali strojem. Na przykład widziało się Ukraińców, którzy zamiast tradycyjnej koszuli z krawatem czy muszką mieli pod marynarką garnitur białe płócienne koszule o stojących, opasujących szyję i zapinanych z boku kołnierzykach, całkowicie pokrytych czerwono-czarnym krzyżkowym haftem, który po-

krywał także gors koszuli. Uczestniczący w balu wraz ze swoimi partnerkami przedstawiciele diaspory żydowskiej, w pewnym momencie wystąpili w swoim narodowym, rytualnym tańcu. Na ich zamówienie orkiestra zagrała żydowski utwór muzyczny, przy którym kilkunastu Żydów w czarnych kapeluszach płaśało jeden za drugim wokół sali, śpiewając przy tym w języku jidysz. Ten dynamiczny i pełen egzotyki występ wywołał burzę oklasków.

Uczestnicy imprezy nie wiedzieli, że jest to ostatni ich bal sylwestrowy. Już przyszły Sylwester przebiegać będzie w atmosferze nadciągającej wojny. I rzeczywiście, w roku 1938 na naszym kontynencie zawrzało. Hitler na tyle urósł w siłę, że mógł Europie ujawnić swoje ekspansjonistyczne plany. Najpierw przyłączył do Rzeszy Austrię, czym znacznie wzmocnił potencjał militarny Niemiec. Stało się to w marcu tegoż roku. Następnie, w październiku, w sposób ультимatywny zażądał od Czechosłowacji terenów zamieszkałych przez Niemców sudeckich i niezwłocznie dokonał zbrojnej aneksji tego regionu, nie napotykając żadnych akcji obronnych ze strony Czechosłowacji. Działo się to na oczach zaskoczonej i bezradnej Europy, co jeszcze bardziej ośmieliło Hitlera. Nie ukrywał on już kolejnych roszczeń terytorialnych ani swojej rasistowskiej ideologii. Minister propagandy Rzeszy Goebbels rozpętał nagonkę przeciw Żydom, doprowadzając do wielkiego pogromu tej ludności w nocy z 9 na 10 listopada 1938 roku. Bojówkarze hitlerowscy wybijali na terenie Niemiec szyby w sklepach i domach żydowskich. Noc tę nazwano *nocą kryształową*.

Zaczęły pojawiać się już pierwsze pomruki roszczeniowe w stosunku do Polski. Hitler zażyczył sobie eksterytorialnej autostrady łączącej Prusę z Rzeszą oraz przyłączenia do Niemiec Wolnego Miasta Gdańska. 5 stycznia 1939 r. minister Józef Beck udał się do Berlina na rozmowy z Hitlerem. W czasie tych rozmów Hitler starał się pojednawczo przekonać naszego ministra do współpracy z nim, jednak żadnych obietnic i ustępstw od Józefa Becka nie uzyskał. Jeszcze raz ponowił tę próbę, wysyłając do Polski swego ministra Ribbentropa, który przybył do Warszawy 26 stycznia 1939 r., ale nie uzyskał żad-

nych ustępstw ani zgody na współpracę. Rząd polski nie zgodził się być wasalem Hitlera w jego agresywnych planach. W tej sytuacji Hitler zaniechał negocjacji z Polską, a swoje roszczenia terytorialne wyraził w trybie ultimatywnym. Nad Polską i Europą zawisła groźba wojny. Rząd polski zacieśniał współpracę sojuszniczą z Francją i Anglią, otrzymując od nich gwarancję aliansu militarnego w wypadku agresji. Tymczasem pod naciskiem Hitlera 15 marca czeski prezydent Hácha oddał Czechy Niemcom. Zaś na Słowacji powstał separatystyczny rząd w stosunku do Czech, popierany przez Niemców. Jeszcze nie przebrzmiały echa wydarzeń czeskich, a już 23 marca Niemcy zajęły litewski port Kłajpeda.

W Europie rosła psychoza wojny, jednak nasz kraj prosperował normalnie: regularnie kursowały pociągi, pełną parą pracował przemysł górniczy, zbrojeniowy i morski. Port gdyński był w stadium rozkwitu: przyjmował transporty kolejowe węgla ze Śląska, Wisłą napływały barki z materiałami przemysłu leśnego, płodami rolnymi oraz innymi surowcami i wyrobami przeznaczonymi na eksport. W Jastarni wybudowano nowoczesną łuszcarnię ryżu. Polskie rolnictwo rozwijało się i nowoczesniało.

Był to jednak spokój przed burzą. Społeczeństwo polskie, aczkolwiek świadome groźnej sytuacji politycznej w Europie, miało jednak nadzieję, że Hitler nie zaryzykuje wojny na dwa fronty. Wierzano w gotowość bojową i siłę naszej armii, ale przede wszystkim liczone na potęgę naszych sojuszników – Francja to mocarstwo, z którym Hitler musiał się liczyć, a Anglia była potęgą morską i panowała nad źródłami energii na kilku kontynentach. Polska prasa i radio formowały ducha narodowego hasłami: „Jesteśmy silni, zwarci, gotowi!” lub „Nie oddamy nawet guzika od munduru!”.

Waldemarowie codziennie słuchali radia, którego program był przesycony treściami patriotycznymi i muzyką marszową z repertuaru narodowego. Z ogromnym zainteresowaniem słuchali występów naszego słynnego tenora – Jana Kiepury, który w lipcu 1939 r. odwiedził Gdynię i śpiewem oraz postawą patriotyczną krzepił ducha narodowego.

Witoldzik miał już niespełna trzy latka. Zbliżała się rocznica ślubu jego rodziców. W tym dniu rankiem Waldemar wziął chłopca za rękę i poszedł z nim na łąkę, gdzie rosły kwiaty ulubione przez Walentynę. Wytłumaczył dziecku, jaka jest dziś uroczystość. Obaj uzbierali bukiety kwiatów i razem z życzeniami wręczyli je Walentynie.

Była właśnie niedziela. Waldemarowie z synem i Irenką pojechali do kościoła na mszę świętą w swojej intencji, a po powrocie poszli do rodziców na proszony obiad, który Karolina przygotowała w związku rocznicą ich ślubu.

Trwały sianokosy, błogi zapach skoszonej trawy napawał powietrze. Na gniazdach bocianich wachlowało skrzydełkami nowe pokolenie, a ludzie szykowali się do żniw. Byłoby to normalne i piękne, gdyby nie atmosfera niepewności jutra. Liczono się z wybuchem wojny. Wskazywały na to poczynania Hitlera i nieustępliwa postawa polskiego rządu, którego reprezentant, minister Beck powiedział w sejmie, że pokój nie może być utrzymany za każdą cenę i że istnieje jeszcze coś, co nazywamy honorem. To oświadczenie wywołało burzę oklasków, na stojąco, wszystkich posłów naszego parlamentu, a dla potencjalnych agresorów było sygnałem, że polska armia jest gotowa stawić czoła napastnikom.

Gorące lato 1939 roku przyspieszyło dojrzewanie zbóż i żniwa rozpoczęto wcześniej niż zwykle. Walentyna w pełni zaangażowała się w pomoc rodzicom. W upale dnia wiązała skoszone zboże w snopki i układała je w kopki, między którymi w białym kapelusiku na głowie biegał jej trzyletni synek, opalony od słońca jak Murzynek, podobnie jak jego mama.

Wieczorami, kiedy Waldemar wracał z terenu, rozmawiali o nastrojach ludności w obliczu grożącej wojny. Polską ludność oprócz niepokojów ogarnął duch bojowy. Wierzono w waleczność i siłę polskiej armii oraz solidarność naszych sojuszników. Ludność ukraińska była w stanie podniecenia. Duża jej część, będąca pod wpływem nacjonalistycznych prowokatorów, oczekiwała Niemców. Żydzi bali się wojny i Hitlera.

Ciągle nie było wiadomo, jak zachowa się nasz wschodni sąsiad – ZSRR, z którym mieliśmy podpisany pakt o nieagresji. Wkrótce okazało się, że Niemcy i ZSRR miały zgodne plany co do aneksji Polski. Świadczył o tym tajny pakt Ribbentrop–Mołotow, zawarty w dniu 23 sierpnia 1939. Nieznane były wtedy ustalenia owego porozumienia, obawiano się jednak, że było ono zielonym światłem dla Niemiec do najazdu na nasz kraj.

W tej sytuacji w dniu 26 sierpnia 1939 r. w Polsce ogłoszono częściową mobilizację. Z Czeremnego powołano kilkunastu Ukraińców i kilku Polaków, a wśród nich Waldemara, który był podchorążym rezerwy. Walentyna ogromnie to przeżyła. Było to tak nagłe i szokujące, że czuła się tak, jakby zawałił się cały jej świat. W pożegnalnej rozmowie Waldemar starał się podnieść ją na duchu mówiąc, że każdy Polak powinien chwycić za broń w obronie kraju i własnej rodziny.

– Nie wszyscy giną na wojnie. Bóg pozwoli, że wrócę do was. Zresztą, może wojny nie będzie, może Hitler nie zaryzykuje konfliktu zbrojnego na dwa fronty. Mamy przecież sojuszników, którzy zaatakują Niemcy od zachodu – pocieszał żonę.

Ta starała się być dzielna i z podniesioną głową mówiła: „Tak, tak”, ale łzy jak groch duże spływały jej po policzkach...

Nie wszyscy Ukraińcy powołani do wojska zgłosili się do punktu zbornego, przed dom sołtysa, gdzie czekały podwozy, które miały odwieźć ich do Kostopola. Wśród tych, którzy nie przyszli, był nauczyciel Wołodia, który też został powołany.

Waldemar cały czas trzymał na ręku syna, dopiero w ostatniej chwili, gdy podwozy już ruszyły, oddał dziecko żonie, uściśnął ich oboje i wskoczył na wóz. Ona wraz z rodzicami stała z dzieckiem na ręku, całą siłą woli hamując płacz, i patrzyła na oddalającego się męża. Wszyscy pożegnali machając rękami, on patrzył w ich kierunku i też machał, aż do chwili, gdy wóz zniknął za zakrętem drogi.

Po powrocie do domu Walentyna padła na kolana przed Ostrobramską i gwałtowne łkanie wstrząsnęło jej ciałem. Gdy się uspokoiła, w gorących modłach poleciła los męża i swojej rodziny opiece Matki Bożej. Potem usiadła na kanapie z Witoldem na kolanach, tuliła go do swojego serca

czując, jakby miała w ramionach nie tylko swoje dziecko, ale też swego ukochanego męża. W takim stanie ducha zastała ją Karolina, która w trosce o nią przyszła, aby dzielić z nią ból. Na prośbę Karoliny Walentyna z dzieckiem udała się do domu rodziców, gdzie czekał ojciec i przygotowany obiad.

Nastaly gorączkowe dni oczekiwania: jak postąpi Hitler? Czy pokój zostanie uratowany?

Walentyna nie wyłączała radia, słuchając różnych komunikatów i patriotycznych, krzepiących ducha przemówień. Kręcąc gałką w poszukiwaniu stacji radiowej, niespodziewanie natknęła się na ostry w swoim brzmieniu głos spikera, który nienajlepszą polszczyzną mówił: „Tu radio Bresław, Glajwic, Gerlic und Tropu, nadajemy audycję w języku polskim”. Następnie posypał się niewybredny w treści i formie stek ubliżających Polsce oskarżeń i gróźb. Była to „gadzinówka” nadawana przez niemieckie Radio Breslau, skierowana przeciw Polsce. Ten codzienny program rozpoczynał się polonezem Moniuszki.

Kilka dni po odejściu Waldemara Walentyna otrzymała od niego krótki list. Informował, że czuje się dobrze i poleca ich opiece Matki Bożej Ostrobramskiej. Poczta polowa wymazała miejscowość, z której wysłał list, pozostała tylko data: 28 sierpnia 1939 r. Całowała ten list i tuliła do serca... Ciężko też przeżywała zachowanie dziecka. Witoldzik biegał po pokojach, szukał ojca i wołał: „Tata, gdzie jest tata, ja chcę do taty!...”

I oto nadszedł piątek pierwszego września. Walentyna po prawie bezsennej nocy bardzo wczesnie wstała z łóżka. Jak zwykle w tych dniach, machinalnie włączyła radio. Spiker właśnie czytał komunikat i orędzie prezydenta Ignacego Mościckiego, w którym prezydent poinformował polski naród, że nasz odwieczny wróg, Niemcy, bez wypowiedzenia wojny napadł na nasz kraj z zachodu, południa i północy. Miasta polskie są bombardowane przez lotnictwo wroga. Nasza armia bohatersko stawia czoła najeźdźcy. Prezydent apelował, aby cały naród skupił się wokół naczelnego wodza i walczył z wrogiem aż do zwycięstwa.

Po usłyszeniu tej wstrząsającej wiadomości Walentyna tak jak stała przy łóżku, obsunęła się na kolana i załkała, tuląc głowę w poduszkę. Ale

trwało to krótko. „Nie czas na rozpacz”, myślała. Wstała z kolan i zaczęła chodzić po pokoju. A więc jednak wojna, kraj i jej ukochany Waldemar w ogniu... Trzymając ręce przy skroniach, nie wiedziała, kiedy podeszła i uklękła przy obrazie Madonny. Nie była w stanie zwyczajnie się modlić. Artykułowała tylko rozpaczliwe akty w rodzaju: „Matko moja, ratuj jego i nasz kraj!...”. Po chwili wstała z kolan, owinęła kocem śpiącego Witolda i niosąc go, pośpieszyła do rodziców z hiobową wieścią. Ojca zastała przy szykowaniu koni do pracy, a Karolina wyszła właśnie z obory z pełnym skopkiem mleka. Oboje ze zdziwieniem i niepokojem patrzyli na Walentynę, myśląc, że coś się stało dziecku.

– Tato, mam, wojna!... jednym zdaniem wykrzyknęła.

– Co ty powiedziała? – pytał Jan.

Karolina zrozumiała, co się stało, bo skopek wypadł jej z ręki i mleko długą strugą pociekło po ziemi.

– Teraz, rano, sam prezydent w radio o tym mówił, słuchałam jego orędzia i apelu do narodu – gorączkowo wyjaśniała Walentyna.

Gdy Jan zrozumiał, co się stało, ten z natury spokojny człowiek wpadł w pasję. Nerwowo chodził po dziedzińcu i wygłaszał niewybredny w słowach monolog:

– *A bodaj by ty skis skakino parszywa, żep ciebie czorty na rogach roznieśli, a psy kości twoje zbierali. Żep hycli z ciebie szkóre zderli i dali Żydam na bęben, co dziady po jarmarkach noszo i bembnio. Byli tam już różne paskudniki: Wilhelmy, Kajzery, Hindenburgi, Franc Józefy, ale ten bandyta najgorszy. Ty mówisz, że z aeroplanów rzuca bomby na nasze mista?*

– zwrócił się do Walentyny. – *Un może tyż gazy puskać. A ot undzio o, w tamte wojne ony, znaczy sie Niemcy, puskali gazy na Francuzów. Myśle, że tera Franuzy i Polaki dadzo jim takie perepalki, że na zawsze odechce sie jim wojny* – zakończył Jan i stał chwilę, sapiąc rozgniewany.

Tymczasem nadbiegła Irenka, której tę samą wiadomość przekazał sołtys po otrzymaniu telegramu z Kostopola. Przybywało coraz więcej ludzi, przeważnie Polaków. Jak zwykle w czasie niepokojów i klęsk żywiołowych, ludzie gromadzili się przy krzyżu, tak i teraz klęczeli i błagali Boga o ratunek dla kraju.

Odgłosy walk i bombardowań na razie nie docierały na Wołyń, za wyjątkiem ataku niemieckich sztukasów (lekkich bombowców pikujących) na lotnisko w Łucku.

Walentyna nie wyłączała radioodbiornika. Często towarzyszyli jej sąsiedzi, Stefan i Adela, a wieczorem Irenka. Wiadomości były wstrząsające. Polskie tereny przygraniczne: południowe, zachodnie i północne – w ogniu walk. Niemcy wykorzystując zaskoczenie zbombardowali wszystkie polskie lotniska i punkty strategiczne. Jednak polska armia nadal usiłowała powstrzymać napastnika, mimo że przeważał on w lotnictwie i broni pancernej.

Polska Armia „Pomorze”, wzięta w kleszcze przez niemieckie związki pancerne z dwu stron, w nierównych walkach zaczęła wycofywać się z „korytarza pomorskiego”. Wciąż trwały zacięte boje pod Kutnem, gdzie Polacy usiłowali powstrzymać parcie wrogich wojsk na Warszawę. Mimo przewagi, Niemcy też ponoszą straty. Generał Kutrzeba, dowódca Armii „Poznań”, wykorzystując strategiczny błąd wroga, zaatakował zgrupowanie wojsk niemieckich nad rzeką Bzurą, odnosząc znaczące zwycięstwo. Skutecznie broniła się załoga Westerplatte i Półwyspu Helskiego – te osamotnione przybałtyckie reduty polskiego systemu obrony. Polska rozpaczliwie oczekiwała militarnej reakcji naszych sojuszników – Francji i Anglii. Wreszcie 3 września wypowiedziały one wojnę Niemcom, co wzbudziło entuzjazm polskiego społeczeństwa.

Tymczasem Niemcy przełamali front pod Kutnem i byli już u bram Warszawy. Tu napotkali zdecydowany opór, ale zdobycie naszej stolicy było tylko kwestią czasu. Wróg panował w powietrzu i dysponował ogromną siłą lądową, a nasi sojusznicy wciąż nie inicjowali działań wojennych. Polska skazana była na samotną walkę z przeważającą siłą wroga. Po siedmiu dniach bohaterskiej walki poddało się Westerplatte. Warszawa nadal walczyła, czynna była rozgłośnia radiowa stolicy, która nadawała komunikaty informacyjne i ostrzegawcze dla ludności Warszawy, a także zaszyfrowane komunikaty wojskowe. Z wielką uwagą i przejęciem odbierała je Walentyna. Słuchała słynnych apeli do społeczeństwa Warszawy, wygłaszanych przez prezydenta Starzyńskiego. Z uwagą nasłuchiwała też komunikatów radia Lwów i Baranowicze.

Tymczasem wszystkimi drogami Wołynia szli lub jechali konno i rowerami uchodźcy. Ludzie ci uciekali przed Niemcami. Szli też przez Czeremne. Opowiadali, jak okrutnie byli atakowani przez samoloty niemieckie. Lotnicy wroga atakowali ludność cywilną, a nawet pastuchów pilnujących bydła na pastwiskach.

Niemcy inicjowali dywersję na tyłach walczącej polskiej armii. Najłatwiej im to przychodziło wśród ludności ukraińskiej na polskich kresach. Jak już wiemy, w Czeremnem kilku Ukraińców na czele z Wołodią uchyliło się od obywatelskiego obowiązku stawienia się na wezwanie mobilizacyjne. Nie wiadomo, gdzie byli teraz. Natomiast z Kostopola przybyło do Czeremnego kilku policjantów, którzy zakwaterowali w szkole. Z przyczyn zrozumiałych rok szkolny w ogóle się nie rozpoczął. Mieszkała tam jeszcze Irenka i Mikołaj, ale na prośbę Walentyny Irenka zamknęła swoją kwaterę i przeniosła się do leśniczówki. Z polecenia policji sołtys ogłosił nakaz przekazania policji wszelkiej posiadanej przez cywilów broni palnej. Walentyna przekazała strzelbę i pistolet Waldemara, na co otrzymała odpowiednie pokwitowanie.

Więści o postępującej ofensywie niemieckiej z uwagą i lękiem słuchali Żydzi. Mówili im o tym uchodźcy (*bierzeńcy*), donosiły gazety i radio.

Pewnego poranka do Jana pracującego w polu przyszedł Szmul. Twarz miał zatroskaną. Pozdrowił gospodarza słowami: „Daj Boże zdrowie” i od razu zaczął lamentować:

– Uj, pan Jan, co to będzie? Ten parszywy Hitler może tutaj przyjść. Nase Żydki robio wielki giwałt. Jak un tutaj przyjdzie, to odbierze nam nasz majątek i popędzi do ciężka robota. Nasze Żydki oddać by dla polskie wojsko wszystkie swoje pieniądze, cob oni tutaj nie puścili tego Hitler.

– Ni turbujcie się, Szmulu, tak źle nie będzie. Niech ono Francuzy się ruszo, to razem z naszym wojskiem dadzo im takiego łupnia, ży wy, w swoim sklepie skóry z hitlerowców będziecie dla ludzi sprzedawać, żep psy mieli czym karmić.

Mijały gorące dni września, gorące nie tylko dlatego, że większość kraju gorzała ogniem wojny, ale też pogoda była stabilna, upalna, bezdeszczowa. Jakby aura była w przymierzu z najeżdżcą. Jego samochody

i czołgi nie grzęzły na polskich nieutwardzonych drogach i polach bitew. Dzięki temu zagony pancerne wroga przerywały front i parły do przodu, dezorganizując polską obronę. Warszawa wciąż jeszcze się broniła, ale Niemcy przekroczyli już Wisłę i kierowali się na Lwów, a od północy atakowali Modlin. Mimo poważnej sytuacji, armia polska nie została jeszcze rozbita i broniąc się, angażowała cały wojenny potencjał wroga, który wciąż realizował swój ofensywny plan, tyle że wolniej. Niemcy wytracili już swój impet uderzeniowy, jaki posiadali w pierwszych dniach wojny. Teraz przed nimi były trudne, zalesione i bagniste tereny, gdzie obrona mogła być bardziej skuteczna, a działania ofensywne wojsk zmotoryzowanych trudniejsze. Gdyby wreszcie zostali zaatakowani od zachodu, musieliby wycofać z Polski część swoich sił i skierować do obrony swojej zachodniej granicy, co mogło radykalnie zmienić sytuację wojenną. Jednak Zachód, mimo danej Polsce gwarancji o współpracy militarnej, nie wywiązał się z tego zobowiązania, skazując nasz kraj na samotną walkę z silniejszym napastnikiem. Mimo wszystko Polacy nie mieli zamiaru złożyć broni i walki trwały. Niemcy też ponosili straty. Między innymi pod Kockiem polskie wojska pod dowództwem gen. Kleberga wygrały z nimi bitwę. I gdyby nie siedemnasty wrzesień...

Tego dnia, 17 września rano, gdy Walentyna włączyła radio, usłyszała wieść straszną. Spiker baranowickiej rozgłośni donosił: „Wojska sowieckie wtargnęły na tereny polskie. Oddziały polskiej straży granicznej walczą z agresorem, ale Sowieci są już w Baranowiczach i nasza rozgłosnia za chwilę zamilknie”. Przerażona tą wiadomością, przekręciła gałkę radia na Warszawę. Tu usłyszała potwierdzenie tej informacji. Podobnie donosiło radio Lwów. Załamana, chodziła po pokoju i myśli jak błyskawice przenikały jej umysł: „To już koniec z naszą Polską, ale co będzie z Waldemarem i nami wszystkimi?” Z rozpaczą i trwogą patrzyła na śpiące jeszcze dziecko. „Co je czeka, jak je uchronię, czy ujrzy jeszcze swego ojca?...”, myślała. Obudziła śpiącą jeszcze Irenkę, która przerażona tym, co usłyszała, szybko się ubrała i obie wyszły przed dom. Z dala widziały szkołę, a koło niej krążących na rowerach kilku policjantów. „Widocznie wiedzą już, co się stało i są w stanie pogotowia”, myślały obie.

Już od kilku dni zdarzało się, że przez Czeremne maszerowały polskie oddziały. Zatrzymywały się tu, aby odpocząć lub napoić konie i szły dalej zorganizowane i mające określony kierunek. Teraz jednak, po 17 września, zauważało się jakiś organizacyjny chaos wśród tych oddziałów. Jedne szły w jedną stronę, drugie w kierunku przeciwnym.

Niespodziewana inwazja sowiecka spowodowała dezorganizację planów obronnych w kręgach dowódczych walczącej z Niemcami armii polskiej. Poszczególni dowódcy jednostek tracili kontakt ze sztabem i nie wiedzieli, w jakim kierunku prowadzić swoje oddziały i z którym wrogiem walczyć. Widać było tę dramatyczną w swoim wyrazie dezorganizację pojedynczych oddziałów pieszych i konnych, przerażała ta bezsilna agonia polskiej armii i naszej państwowości. Wielu dowódców nieotrzymujących już żadnych rozkazów ze sztabu, zdanych na własne decyzje i odpowiedzialność, podejmowało decyzję rozwiązania jednostki, którą dowodzili. Taki dowódca dziękował żołnierzom za bohaterską walkę, informował, że wobec inwazji sowieckiej dalsza walka jest bezsensowna, więc on, jako dowódca, zwalnia ich od wszelkich rozkazów i zezwala, by zgodnie z własnym życzeniem i na własną odpowiedzialność udali się w kierunku, jaki sobie obiorą, a on życzy im dotarcia do domu, jeżeli to będzie możliwe.

Żołnierz polski był pełen woli walki, nawet w sytuacjach najtrudniejszych. W zorganizowanej, uzbrojonej jednostce czuł się lepiej i gotów był walczyć z wrogiem do ostatniego naboju, a nawet z bagnetem na broni, byle razem i w słusznej sprawie. Natomiast pozostawiony sam sobie miał uczucie bezradności i osierocenia. Iść do domu, ale jak? Na zachodzie kraj opanowany przez Niemców, a na wschodzie nawała bolszewicka. Ci, którzy mieli swoje domy na zachodzie Polski, idąc do nich, musieli unikać Niemców. Gorszą sytuację mieli ci, którzy pochodzili z południowo-wschodnich terenów naszego kraju. Oni, idąc do domu, musieli unikać nie tylko wojsk sowieckich, ale też ukraińskich nacjonalistów, którzy byli we wszystkich wsiach, szczególnie na Wołyniu.

Toteż w chwili rozwiązywania jednostek wojskowych polski żołnierz przeżywał szczególny dramat. Jedni krzyczeli: „Zdrada! My chcemy wal-

czyć! Drudzy, ci z zachodniej Polski, załamani i zrezygnowani, niszczyli karabiny wyrzucając zamki do rzek i bagien, po czym bezbronni przedzierali się do swoich domów. Wielu z nich dostało się do niemieckiej niewoli. Ci, którzy pochodzili ze wschodu, łączyli się w grupy i zachowując broń przy sobie, kluczyli po terenie, omijając ważniejsze drogi i wsie ukraińskie i próbując się przedrzeć do swoich okolic i domów. Ci, którzy szli bez broni, bardzo często padali ofiarą ukraińskich bojówek nacjonalistycznych.

Nie wszyscy dowódcy jednostek polskich rezygnowali z walki i byli gotowi do konfrontacji z każdym wrogiem, którego spotkali na swojej drodze lub przez którego zostali zaatakowani. Do Czeremnego dochodziły odgłosy tych walk. Widać było eskadry sowieckich samolotów lecących w tamtym kierunku i odgłosy bomb zrzuconych na walczących Polaków. Po wyrzuceniu bomb samoloty te zrzucały ulotki podburzające Ukraińców wobec Polaków. Były też ulotki wzywające żołnierzy polskich do nieposłuszeństwa i zdrady.

## Rzeczniarze Armii Polskiej!

Państwo-burżazyjny Rząd Polski, wciągnęszy Was w awanturniczą wojnę, pozornie przewaliło się. Ono okazało się bezsilnym rządzić krajem i zorganizować obronę. Ministrzy i generałowie, schwycili nasrąbiona łmi nioło, schodziwio uciekli, pozostawiają Armię i cały lud Polski na wolę losu.

Armia Polska pocierpiała surową porażkę, od którego ona nie oprowiła wstanie się. Wam, waszym żonom, dzieciom, braciom i siostram ugrzązła głodna śmierć i zniszczenie.

W to ciężkie dni dla Was polęgły Związki Radzieckie wyciąga Wam ręce braterskiej pomocy. Nie przeciwie się Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej. Wamże przeciwie hoż kożydci i przegrzeczona na całą zgubę. My idziemy do Was nie jako zdobywcy, a jako bracia braci po klasie jako wasi wyzwolenicy od ucisku obywateli i kapitalistów.

Wielu i niezwolczona Armia Czerwona nieśto na swoich szlendarach pracującym, bratersko i szczerście życie.

Rzeczniarze Armii Polskiej! Nie proliwacie daremnie krwi za cudoze Wam interesy obywateli i kapitalistów.

Was przymuszają uciskać białorusinów, ukraińców. Rządzące kolo Polskie nieją naradęwo różność między polakami, białorusinami i ukraińcami.

Pamiętajcie! Nie możecie być awolodny jaródo, uciskające diugie narody. Pracując białorusini i ukraińcy—Wasli pracujące, a nio wrogli. Razem z nimi budujecie szczerście narodkowe życie.

Nzuczajcie braci! Przeczekajcie na stronę Armii Czerwonej. Wam zabezpieczona awoluda i szczerkie życie.

Naczelnny Dowódca Białoruskiego frontu  
Komandarm Drugiej Rangi Antoni KOWALOW.

17 września 1939 roku.

Do Czeremnego wróciło kilku zdemobilizowanych żołnierzy, ale nie było wśród nich Waldemara. Walentyna całe wieczory spędzała przed obrazem Ostrobramskiej, a w bezsenne noce czekała na powrót ukochanego męża. W każdej chwili liczyła, że zapuka on do drzwi. Pewnej nocy usłyszała jakiś ruch na dziedzińcu i po chwili głośne kołatanie do drzwi. Przestraszona obudziła Irenkę i obie podeszły do drzwi z pytaniem „Kto tam?”.

- *Odkrywaj dwery!* – usłyszały.
- Komu? spytała Walentyna.
- *Ukraińskiej milicji* – brzmiała odpowiedź.

Wylękle kobiety spojrzały po sobie. Irenka, która po głosie poznała, że za drzwiami jest Hryć, powiedziała:

– Hryciu, teraz w nocy nie możemy wam otworzyć, chyba że przyjdzie tu sołtys.

– *Ny jakoho sołtysa tut ne bude, odkrywaj. Wasz susid odkrył nam dwery.*

I rzeczywiście, kobiety usłyszały szum i rozmowy za ścianą, co świadczyło, że oni są już w mieszkaniu leśniczego. Zdecydowały się otworzyć drzwi. Jeśli tego nie uczynią, tamci wejdą siłą. Do mieszkania wpadło kilku uzbrojonych drabów, pytając Walentynę, gdzie ma broń. Odrzekła, że zgodnie z poleceniem sołtysa przekazała broń policji. Pokazywała im pokwitowanie. Mimo że zapewniała ich, że żadnej broni nie ma, zdemolowali cały dom. Na szczęście, nie znaleźli radioodbiornika, który w ostatniej chwili Walentyna ukryła w ciemnej komórce. Zabrali tylko kurtkę i garnitur Waldemara, po czym wyprowadzili ze stajni i uprowadzili oba konie. Obrabowali też leśniczego. Podobne rabunki przeżyły tej nocy wszystkie rodziny polskie w Czeremnem. Karolina uprosiła rabusi, aby zostawili im jednego konia. Zgodzili się na to, ale w zamian zabrali młodego byka.

Przeżyta noc wywołała wielkie poruszenie wśród ludności polskiej. Karolina o świcie przybiegła do Walentyny dowiedzieć się, co ją spotkało. Wedle jej opowiadania, rabusiami byli Ukraińcy z Czeremnego. W tym czasie usłyszeli na dziedzińcu radosne rzenie konia. To kasztanek uciekł rabusiom i stał przy drzwiach swojej stajni. Walentyna otworzyła mu drzwi stajni, poklepując swego ulubieńca. Karolina zaproponowała, Walentynie, aby z Irenką i dzieckiem przychodziła na noc do nich. Ta jednak uważała, że tu powinna czekać Waldemara. Miała nadzieję, że za przyczyną Ostrobramskiej jej mąż zostanie ocalony i w każdej chwili może wrócić. Prosiła tylko, aby Karolina zabrała kasztanka, gdyż tu mogą przyjść po niego rabusie. Irenka otrzymała wiadomość, że przyjechał po

nią brat. Musiała więc wrócić do swojej kwatery w szkole. W tej sytuacji Walentyna z dzieckiem została sama; dobrze, że za ścianą miała przyjaciółnych sąsiadów.

Przyszła następna noc i długie godziny lęku rodzin polskich. „Czy znów przyjdą rabusie?“, myślał każdy, kładąc się do snu; mało komu udało się tej nocy usnąć. Walentyna miała już za sobą wiele bezsennych nocy, ale ta była szczególna. Leżała przy śpiącym dziecku, w mroku ledwie tłącej się lampy naftowej patrzyła na sufit i myślała o mężu: „Gdzie on jest teraz, czy nie jest w ciężkim położeniu, czy, uchoвай Boże, nie jest ranny, czy w ogóle żyje?!...”. I już chciała wstać i paść na kolana przed Madonną, gdy w tym momencie usłyszała delikatne pukanie do drzwi. Z gwałtownie bijącym sercem zbliżyła się do drzwi, po czym z nadzieją, ale i lękiem cicho spytała:

– Kto tam?

Usłyszała cichy, drogi głos:

– To ja, Waldemar.

Drżącymi rękoma otworzyła drzwi. Gdy go zobaczyła, padła na kolana, a w następnej chwili mdlejąca ze szczęścia była już w jego ramionach. Kiedy znaleźli się wewnątrz domu, Walentyna podkręciła knot lampy i w jej świetle zobaczyła zmienioną twarz męża: wychudły, dawno niegolony, brudny... A on ciężko usiadł na kanapę i pierwszym jego pytaniem było:

– Gdzie jest Witold?

– Śpi i jest zdrowy – usłyszał.

Wciąż klęczała przy nim i rozpinała guziki jego munduru, gdy usłyszała:

– Pomóż mi zdjąć buty, kochanie.

Kiedy je zdjęła, zobaczyła w jakim strasznym stanie są jego nogi. Ogromne, nabrzmiałe pęcherze, niektóre pęknięte i krwawiące. Kobieta nie wiedziała, od czego zacząć: czy opatrzyć nogi, czy przygotować posiłek. Szybko zaparzyła rumianku i wlała do miednicy z ciepłą wodą. Waldemar moczył nogi, a ona przygotowała mu posiłek. Był bardzo głodny. Jadł i wodził oczyma po komnacie, patrzył na żonę, jakby nie wierzył, że wreszcie jest w domu.

Wyczerpany, potrzebował wypoczynku, a przede wszystkim snu. Widziała to Walentyna. Przygotowała mu kąpiel i świeżą bieliznę. Po kąpeli pocięła czyste prześcieradło na pasy, którymi owinęła mu stopy. Przed położeniem się do łóżka długo patrzył na śpiącego syna, po czym podszedł i ukląkł przy Ostrobramskiej, a przy nim uklękła Walentyna. Objęła go ramieniem i on ją także. Trwali tak w milczeniu, pogrążeni w głębokiej wdzięczności i hołdzie... W tym momencie przed oczyma Waldemara jak panorama przesuwały się dramatyczne sytuacje wojenne, kiedy wokół niego ginęli ludzie, a on tracił nadzieję, że przeżyje i wróci do domu. Jak ponure widmo, widział też koszmar drogi powrotnej do domu, najeżonej śmiertelnymi pułapkami, trudem i głodem... I wreszcie dzięki Opatrzności jest w domu z ukochaną rodziną... W pokoju panował półmrok i cisza – kojąca atmosfera rodzinnego domu: słyszał spokojny oddech śpiącego syna, czuł bezpośrednią bliskość ukochanej żony, widział uwielbiany wizerunek Ostrobramskiej... To wszystko działało na niego jak balsam... Podobną ulgę w sercu czuła Walentyna.

\*\*\*

Spał bardzo długo. W międzyczasie przychodzili Janowie, Irenka i leśniczowie. Rozmawiali szeptem i odchodzili, nie chcąc obudzić Waldemara. Tylko Witoldzik zorientował się, że tata jest w domu, głośno wołał do mamy, że on chce do taty... Waldemar obudził się i przywołał dziecko do siebie. Było to wzruszające powitanie. Ojciec chwycił syna i tulił do piersi, a stojąca obok Walentyna, ze łzami szczęścia w oczach, na to patrzyła.

Gdy już się nacieszył synem, poprosił żonę, aby usiadła przy nim, po czym spytał:

– Powiedz mi teraz, jak sobie radziłaś beze mnie?

– Ciężko było bez ciebie, ale najcięższy do zniesienia był lęk o twoje bezpieczeństwo. Byłeś przecież tam, gdzie giną ludzie. Wiele godzin spędziłam przed Ostrobramską. Witoldzik codziennie, rano i wieczorem, przy pacierzu modlił się o powrót taty. No i bardzo tęskniliśmy za tobą...

Wzruszona Walentyna położyła głowę na piersi męża. On delikatnie gładził jej włosy i pytał, co teraz dzieje się w Czeremnem.

Uniosła głowę i zaczęła opowiadać.

– Niedobrze, wczoraj przeżyliśmy napad rabusi. Naszli nasz dom uzbrojeni chłopci z naszej wsi. Zabrali twój garnitur i kurtkę, a ze stajni wyprowadzili i zabrali nasze konie. Na szczęście kasztanek im uciekł i jest teraz w stajni u naszych rodziców.

Waldemar usiadł poruszony tym, co usłyszał.

– I mówisz, że to byli nasi sąsiedzi, Ukraińcy?...

– Tak.

Waldemar chwilę myślał, po czym zwrócił się do żony:

– Walentyńko, spał w piecu mój mundur. To mundur oficerski z dystynkcjami podporucznika. Już w pierwszych dniach wojny otrzymałem awans oficerski. Ukraińcy nie mogą o tym wiedzieć. Słyszałem, że Sowietom każą im wyszukiwać polskich oficerów i oddawać w ich ręce. Trzeba mówić, że byłem szeregowym żołnierzem.

Gdy Walentyna wykonała polecenie męża, on następnie rzekł:

– Poproś ojca Jana, aby wieczorem do nas przyszedł. Ukryłem w pobliżu domu moją broń. Trzeba coś z tym zrobić. Oni na pewno tu przyjdą i zażądają broni, obawiam się, że mogą ją znaleźć.

– Wczoraj żądali ode mnie twojej broni, ale pokazałam im pokwitowanie jako dowód, że broń oddałam policji – odpowiedziała Walentyna.

– Dobrze, że masz to pokwitowanie, ale teraz chodzi o broń, którą przyniosłem, wracając z wojny.

Po spożyciu obiadu Waldemar, leżąc w łóżku, opowiadał siedzącej przy nim żonie o kolejach swego wojennego losu. Do wojska powołano go ze względu na jego techniczne kwalifikacje oraz dlatego, że posiadał długoletni staż w paramilitarnej organizacji „Sokół”. Otrzymał przydział do wojsk inżynierskich, czyli do saperów. W Równem otrzymał mundur, broń i przydział do jednostki, która została przetransportowana nad Wisłę, do zabezpieczenia, naprawy i budowy mostów. W czasie pełnienia swych obowiązków ich jednostka przeżyła kilka ciężkich nalotów niemieckich sztukasów. Wielu zginęło od bomb i obstrzału, wielu pochłonęły nurty rzeki. Wreszcie otrzymali rozkaz marszu na wschód i utrzymania przyczółków na rzece Bug. Tu zastała ich wiadomość o inwazji

sowieckiej. Ich dowódca, nie mając żadnych rozkazów co do dalszego działania, postanowił jednostkę rozwiązać. W dramatycznym przemówieniu do żołnierzy podziękował za dotychczasową walkę i pozwolił żołnierzom rozejść się do domów.

– Dołączyłem do kilkunastu żołnierzy z powiatu rówieńskiego, dubieńskiego i kostopolskiego. Zachowując broń przy sobie szliśmy, omijając główne drogi i ukraińskie wsie. Marsz utrudniały nam sfatygowane nogi i brak żywności. W pewnym miejscu trafiliśmy na polską kolonię, w której gościnnie nas przyjęto, poczęstowano posiłkiem i otworzono stodołę, gdzie na sianie przespaliśmy noc. Po tym odpoczynku wyruszyliśmy w dalszą drogę. Następną noc spędziliśmy w stogu w pobliżu dużej wsi ukraińskiej i tu spotkała nas niespodzianka. O świcie jeden z naszych czuwających żołnierzy obudził nas z wiadomością, że zostaliśmy okrążeni. Rzeczywiście, w mroku budzącego się dnia zobaczyliśmy sylwetki wielu ludzi. Widocznie obawiali się bezpośrednio nas zaatakować i tylko krzyczeli: „*A nu Lachy, wyjdite z sina*”. Leżeliśmy gotowi do walki. Gdy się trochę rozjaśniło, ujrzelśmy ludzi z widłami i siekierami, ale byli wśród nich uzbrojeni również w broń palną. Jeden z naszych przemówił do nich w ich języku apelując, aby odeszli i pozwolili nam odejść do naszych domów. Oni jednak nie ustępowali i zaczęli nas ostrzeliwać. Wówczas otworzyliśmy w ich kierunku zmasowany ogień, wywołując wśród nich panikę. Uciekli, pozostawiając kilku zabitych. W tej potyczce nikt z nas nie ucierpiał. Musieliśmy jednak szybko opuścić ten teren i zmienić kierunek marszu, aby uniknąć pościgu. Od tej pory szliśmy tylko nocą, a dzień spędzaliśmy w kryjówkach. Po drodze nasza grupa stopniowo się zmniejszała. Część żołnierzy zostało w powiecie rówieńskim, część w dubieńskim, i do kostopolskiego szło nas tylko trzech, aż w końcu zostałem sam. Tu jednak było bezpieczniej, bo teren jest zalesiony, a ponieważ go znam i dobrze się w nim orientuję, więc z trudem, ale w miarę bezpiecznie dotarłem do domu.

Następnego dnia Waldemar poczuł się całkiem dobrze i gdyby nie rany stóp, mógłby już normalnie funkcjonować. Karolina dostarczyła różnych ziół i maści, które Walentyna wykorzystwała przy kuracji.

W tym dniu do leśniczówki przybyła Irenka, która niecierpliwie czekała chwili, kiedy będzie mogła zobaczyć się z Waldemarem, by jednocześnie go powitać i pożegnać, gdyż przyjechał po nią brat, aby zabrać ją do rodziców.

Irenka najlepiej z nich orientowała się, co dzieje się we wsi. Według Mikołaja, mówiła, grupa rabusiów nie jest duża, ale posiadają broń i uważają się za ukraińskich milicjantów. Ci ludzie są pod wpływem Wołodii. Wiedzą, że zbliża się sowiecka armia i wierzą, że da im ona pełną wolność. Dlatego nie czekają, ale już ogłaszają się ukraińską milicją. Rabują Polaków, bo do tego zachęcają sowieckie ulotki zrzucone z samolotów. Irenka ma nadzieję, że do leśniczówki już nie przyjdą.

– Ty, Waldemarze, masz we wsi duże poważanie. Chłopi pamiętają twoje zaangażowanie i ofiarną pracę przy reformie Czeremnego. Tego zdania jest Mikołaj i pop, także sołtys i wielu znaczniejszych gospodarzy tej wsi – mówiła.

– A co z Wołodią, jakie on prezentuje stanowisko? – spytał Waldemar.

– On się w ogóle nie pokazuje i nie wiem, czy kieruje tą grupą rabusi, jednak nie oczekuję od niego obrony ani życzliwości dla Polaków. Nigdy jej nie miał – zakończyła Irenka.

Obiecując, że jutro rano, przed odjazdem do domu, wpadnie do nich, odeszła.

Tymczasem rano przyszła Karolina z wiadomością, że brat Irenki został aresztowany i więziony jest w szkole, gdzie na stałe zakwaterowali ci tzw. „milicjanci”. Irencę polecili wyprowadzić się ze szkolnej kwatery. W obronie jej i jej brata wstawił się Mikołaj, ale bez skutku. Irenka jest w rozpacz. Nie wie, do kogo się udać, by uwolnili brata i oddali jego zarekwirowany wóz i konia. Kategorycznie zmuszana do opuszczenia kwatery, spakowała swoje rzeczy i sąsiad Ukrainiec przywiózł ją do Jana.

– *My z Jankiem dali jej ten pokój, który był twój, Walentyńko. Chaj tam będzie i czeka aż brata wypuszczą.*

Tymczasem Armia Czerwona w swojej wielkiej potędze pokonywała nieliczne opory polskich jednostek wojskowych i szła na spotkanie ze swoim sojusznikiem – Niemcami hitlerowskimi, z którym to na mocy

układu Mołotow–Ribbentrop dokonali rozbioru i aneksji Polski. Za siłami wojskowymi tej armii podążały oddziały NKWD i milicji sowieckiej z misją tworzenia administracji na podbitych terenach. Przedstawiciele tych organów ustanawiali odpowiednie komitety w miastach, miasteczkach i na wsiach. Wszędzie witani byli bardzo spektakularnie. Ukraińcy i Żydzi na ich spotkanie budowali bramy powitalne, wywieszali czerwone chorągwie i transparenty głoszące apoteozę Stalina i Armii Czerwonej.

Przedstawiciel NKWD i kilku sowieckich milicjantów przybyło też do Czeremnego. Przywitani przez wcześniej wspomnianą samozwańczą milicję i sympatyków, których wśród Ukraińców i Żydów nie brakowało, zakwaterowali się w budynku szkolnym. Już następnego dnia zorganizowali komitet, tak zwaną *Silradę*, w której zaangażowali ludzi najmniej popularnych we wsi: złodziei, włóczęgów oraz biedotę wiejską – ludzi niewiele posiadających, bo nie chciało się im pracować. Radzie przewodniczył człowiek odpowiednio wyszkolony i pewny, który nie pochodził z tej wsi i jak to się mówiło, był „przywieziony”. Rada miała w swojej dyspozycji milicję – i tu niespodzianka: dotychczasową samozwańczą milicję rozbrojono, aresztowano i pod konwojem wysłano do Kostopola. Na to miejsce powołano nową, złożoną z ludzi, którzy przyjechali z komisarzem NKWD, oraz dokooptowano do nich wyselekcjonowanych, lojalnych wobec władzy sowieckiej ludzi z Czeremnego. I tak usankcjonował się tak zwany „samorząd wiejski”, który pozornie reprezentował wieś, a w rzeczywistości przede wszystkim władzę sowiecką. Odpowiednie komitety według tego samego klucza powstawały w rejonach (gminach), były to tzw. *Rejpartkomy*, czyli Rejonowe Partyjne Komitety, a także w miastach – *Horpartkomy*, czyli Miejskie Partyjne Komitety. W Czeremnem, a także w wielu innych miejscowościach. skończyła się samowola Ukraińców i władza sowiecka wszystko wzięła w swoją żelazną rękę.

Irenka udała się do nowego komisarza z prośbą o zwolnienie jej brata i zwrot zarekwirowanego wozu i konia. Komisarz zwołał radę, zbadał sprawę i uwięzionego brata kazał z aresztu zwolnić, a jego własność zwrócić. Wystawił nawet *sprawkę* (dokument), która pozwalała im wyjechać z Czeremnego do domu. A więc dobra okazała się ta sowiecka władza!...

Gdy przyszła z tą wiadomością do Janów i Waldemarów, cieszą się, ale też nie chcą jej wierzyć, aż do dnia następnego, gdy pojawił się jej brat z wozem i koniem. Kiedy jednak następnego dnia Karolina i Walentyna udały się do komisarza po swoje zrabowane konie, ten nie był już taki dobry. Po zwołaniu rady i zbadaniu sprawy powiedział Walentynie, że mają jej konia, ale jest to ich *trofejnny łoszat'i* (koń zdobywczy). „Wy macie jednego, a ziemi nie macie, to po co wam dwa konie?” Karolinie zaś rzekł, że konia nie odda, gdyż oni są kułakami i w ogóle wszystkiego mają za dużo. Obie wróciły do domu odpowiednio uświadomione, co znaczy i co może sowiecka władza.

Z wielką serdecznością i żalem żegnano Irenkę odjeżdżającą do rodziców. To rozstanie bardzo przeżyła Walentyna, którą z Irenką łączyła szczególna przyjaźń. Były to czasy niepewne, rozpoczęła się okupacja, Polacy byli osaczeni, pozbawieni normalnych warunków życia, wolności i osłony prawnej. Wszystko to utracono wraz z niepodległością Polski. Obie kobiety nie wiedziały, jakie będą dalsze koleje ich losu i czy w życiu się jeszcze spotkają. Nic dziwnego, że w tym pożegnaniu niejedna łezka zabłysła w oczach...

Władze sowieckie bezzwłocznie i energicznie wprowadzały swój porządek w miastach i w terenie, ograniczając przede wszystkim do minimum własność prywatną. Metody wszechstronnego zapanowania we wszystkich dziedzinach życia podbitego kraju były wielowarstwowe i polegały na zastraszeniu wszystkich grup społecznych demonstracją siły militarnej i tak zwaną dyktaturą proletariatu. Jedną z wypróbowanych metod idącą w tym kierunku było wprowadzenie podziałów wśród społeczeństwa i całkowite wyeliminowanie solidarności społecznej. Łatwiej było dyscyplinować społeczeństwo miejskie, gdzie stacjonowały jednostki wojskowe, policja i komitety partyjne, trudniej opanować rozległy teren wiejski. W tym wypadku najskuteczniejszą metodą ujarzmienia społeczeństwa był jego podział i skłócenie. Jak to osiągnąć? Otóż *silrady* w każdej wsi dokonywały klasyfikacji wszystkich gospodarstw, dzieląc je na: *biedniaków, średniaków i kułaków*. Tego podziału dokonywała rada w sposób arbitralny, według dość luźnego klucza. Jeżeli gospodarz po-

siadał do dwóch dziesięcin ziemi lub w ogóle jej nie miał, bo np. sprzedawał ją lub przepił, zaliczany był do *biedniaków*, którzy byli preferowani przez władzę. Jeżeli posiadał do pięciu dziesięcin ziemi, zaliczany był do *średniaków* i takich władza tolerowała. Natomiast jeżeli miał ponad pięć dziesięcin i żył dostatnio, zaliczany był do *kułaków*, których władza traktowała jak pasożytów. Trzeba tu dodać, że w tym podziale najmniej pewnie czuł się *średniak*, gdyż łatwo mógł być przekwalifikowany do *kułaków*, jeżeli na przykład naraził się *silradzie*, a ponadto średniacy stanowili większość gospodarstw, dlatego władzy zależało na utrzymaniu w ryzach tej głównej masy gospodarstw. Tak więc *kułak*, najbardziej pracowity i kreatywny gospodarz, był dyskryminowany, a jego gospodarstwo degradowano, zmniejszając jego areał lub inwentarz, zabierając mu np. krowę i dając ją *biedniakowi*. W ten sposób zniszczono wspólnotę, czyli solidarność chłopstwa i zasiano wśród nich nieufność, która wykluczała drogę wzajemnego porozumienia i obrony. Preferowano też donosicielstwo jako sposób na badanie nastrojów i wykrywanie wrogich postaw, które następnie radykalnie likwidowano, dokonując na podstawie tych donosów aresztowań i wydając doraźne wyroki wieloletniego więzienia lub obozu pracy. Taki system nie potrzebował wielu funkcjonariuszy. Chłop był posłuszny władzy i chociaż doznawał krzywdy, nie mógł poskarżyć się nawet sąsiadowi, bo mu nie ufał.

W Czeremnem również zastosowano tę wypróbowaną i skuteczną metodę, z tym że przy klasyfikacji zaszła trudność ze znalezieniem *biedniaków*, władze polskie w czasie reformy powiększyły bowiem areały ziemi w gospodarstwach karłowatych. Do *biedniaków* zaliczono natomiast bezrolnych robotników leśnych, włóczęgów, którzy mieszkali kątem u kogoś we wsi, pastuchów bydła, złodziei, którym wojna otworzyła drzwi więzienia. Na listę *kułaków*, oprócz kilkunastu chłopów ukraińskich, wpisano gospodarstwa Jana i Czecha. Gospodarstwo Mariana zostało zmniejszone od czasu, gdy ożenił się jego syn Franio, któremu ojciec przekazał część mienia i dzięki temu, na razie, zaliczono go do *średniaków*. Natomiast rodzina Waleriana, jako bezrolna, otrzymała status *biedniaka*.

W czasie tych klasyfikacji Waldemar, żartując, mówił do żony:

– Wiesz, kochanie, mamy szansę być zaliczeni do *biedniaków*, bo przecież nie posiadamy ziemi ani własnego mieszkania i tylko tego jednego konia mogą zaliczyć do naszego majątku.

Tak naprawdę, to Waldemar już się zorientował, że będzie zaliczony do kategorii funkcjonariuszy przedwojennej Polski. W tym wypadku nie brano pod uwagę kwalifikacji materialnych, lecz polityczne. Toteż od tej władzy nie spodziewał się niczego dobrego. Do podobnej kategorii zaliczony został leśniczy. Na razie jednak nie podjęto co do nich żadnych decyzji.

Tymczasem do Czeremnego przybył komisarz, specjalista od eksploatacji lasów. Zakwaterowano go w domu popa, którego wraz z jego rodziną wyeksmitowano. Wspomniany inspektor przyjechał z konkretnym planem, a polegał on na rabunkowej eksploatacji lasów: wycinki najpiękniejszych jego obszarów, pozyskiwania żywicy z żywych, stojących na pniu sosen, a nawet zbiórki runa leśnego i odłowu dzikiej zwierzyny. Do tego potrzebni byli ludzie – znawcy lasu, specjaliści od pomiarów i planów. Potrzebni byli drwale i robotnicy do „ciągnięcia” żywicy. Wiadomo, że praca dawała możliwość jakiegoś zarobku, ale dla Waldemara i leśniczego ważniejsze w tym było bezpieczeństwo. Ludźmi unikającymi pracy interesowały się władze polityczne. Biorąc to pod uwagę, do inspektora z deklaracją pracy zgłosili się Waldemar i leśniczy. Ten przyjął ich z dużym zadowoleniem, gdyż w pierwszej kolejności potrzebował ludzi, którzy znają las i potrafią sporządzić odpowiednie plany.

I tak zaczęła się ich praca. Najpierw obaj zapoznali inspektora z terenem leśnym, a on określił obszary, które będą wycięte. Później Waldemar zwerbował ze wsi robotników do pomocy i razem z leśniczym rozpoczęli pomiary. Wyznaczyli też obszary lasu sosnowego do pozyskiwania żywicy, ale ten proces, zwany *podsoczką*, miał się zacząć na wiosnę.

Kiedy już plany w głównym zarysie zostały sporządzone, rozpoczęła się wycinka lasu. Kilkanaście par drwali – *lesorubow* – pod kierunkiem leśniczego rozpoczęło wycinkę. Pod ciosami siekiery z jękiem padały wspaniałe sosny i świerki. Powalone drzewa były oczyszczane z gałęzi, cięte na odpowiedniej długości odcinki i odciągane końmi lub wołami

na skład, skąd traktorami odwożono je do najbliższej stacji kolejowej lub bezpośrednio do tartaku.

Obaj mężczyźni, Waldemar i leśniczy, z bólem patrzyli na tę rabunkową eksploatację polskich zasobów leśnych, które dotychczas stanowiły tu główne bogactwo i zapewniały równowagę ekologiczną regionu. Musieli jednak brać udział w tej dewastacji dobra naturalnego. Ich sytuacja była groźna, łąda dzień spodziewali się aresztowania. Ich praca przekonywała decydentów politycznych, że są potrzebni, co na jakiś czas zapewniało im bezpieczeństwo. Po pracy mogli wrócić do swoich domów i rodzin.

A co się działo we wsi, wśród chłopów ukraińskich? Otóż chłopci bardzo szybko się zorientowali, że propaganda sowiecka mówi co innego, a rzeczywistość jest całkiem inna. Podzielono ich według kryteriów politycznych. Tego podziału dokonali ludzie, którzy dotychczas stanowili niechlubny margines społeczny, a teraz są przy władzy, bardzo dyspozycyjni i posłuszni. Oni teraz decydują o losie większości. Oto ci ludzie, stanowiący *silradę*, ustanawiali dla gospodarstw chłopskich nowe daniny. Według instrukcji nadesłanej z wyższych komitetów partyjnych *silrada* określa wysokość podatków (w naturze) na rzecz władzy sowieckiej. Dla każdego gospodarstwa ustalono świadczenia na rzecz państwa, tzw. *ziarno postawki*, czyli świadczenia w zbożu, *miaso postawki* – świadczenia w mięsie, oraz *mołoko postawki* – świadczenia w mleku. Oprócz tego były jeszcze świadczenia od kurzych, kaczych czy gęsich jaj. Wysokość tych świadczeń przekraczała możliwości wywiązania się z nich. W związku z tym było wiele skarg i prośb, wnoszonych głównie przez kobiety, o obniżenie tych danin. Mężczyźni bali się narażać władzy i wysyłali swoje *baby*. Szczególnie drastyczne obciążenia zastosowano wobec *kułaków*. Dla Czecha, którego gospodarstwo już wcześniej zostało ograbione (zabrano mu dwa konie i kilka sztuk bydła), teraz ustanowiono świadczenia, z których żadną miarą nie mógł się wywiązać. Janowi zabrano jednego konia i przekazano *biedniakom*. Ustanowiono mu drakońskie świadczenia w mięsie i zbożu. W tej sytuacji Karolina poszła do *silrady*, gdzie płaczem i prośbą uzyskiwała ustępstwo. Na poczet świadczenia w mięsie zaliczono im byka zrabowanego przez samozwańczą milicję, a później przejętego przez *silradę*.

Te świadczenia, a przede wszystkim ich wysokość, zmierzały do jednego, zaplanowanego przez władzę celu, a mianowicie do kolektywizacji gospodarki wiejskiej, czyli do tak zwanych *kołchozów*, o których coraz częściej mówiło się w radiu i pisało w prasie. Trzeba tu dodać, że w ramach „podniesienia kultury” we wsiach zainstalowano na słupie telefonicznym bardzo donośny, podłączony do aparatu w biurze *hołowy silrady* – prezesa rady, głośnik radiowy, z którego bez przerwy nadawano sowiecką muzykę patriotyczną i propagandę polityczną. Później ten głośnik nazywano *kołchoźnikiem*. Skoro już mowa o radiu, to warto na pocieszenie dodać, że Waldemarowie nadal swoje radio mieli w ukryciu i po kryjomu go słuchali. Odbierali stacje radiowe w Zagrzebiu, w języku serbskim, dla Polaków trochę zrozumiałym, a także stacje radia niemieckiego (Waldemar znał język niemiecki).

Z pewnym opóźnieniem zaczęto uruchamiać szkoły. Jak z podziemi, zjawił się nagle Wołodia. Nikt nie wiedział, gdzie przebywał w czasie samowoli ukraińskiej policji, po której ślad zaginął, kiedy została aresztowana. Wołodia wyszedł z tego okresu bez uszczerbku i teraz został mianowany kierownikiem szkoły w Czeremnem. Do pomocy przydzielono mu nauczyciela języka rosyjskiego, który też był zaufanym działaczem partyjnym. Przez głośnik na słupie popłynęło wezwanie do wszystkich rodziców, aby swoje dzieci, będące w wieku szkolnym, posyłali na lekcje. Zakazano przy tym uczestnictwa dzieci w nabożeństwach w cerkwi.

Sowieckie władze pośpiesznie przygotowywały podbite tereny do głosowania. Chodziło o przedstawicieli Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi, którzy po wyborach mieli wystąpić do *Werchownoho Sowita* – Rady Najwyższej ZSRR – z prośbą o przyłączenie tych terenów do Rosji jako sowieckich republik – ukraińskiej i białoruskiej. Kampania wyborcza miała na celu spędzenie wszystkich wyborców do urn. Nie dbano o to, jak i na kogo ludzie będą głosować, bo władza sama liczyła głosy. Ważne było, aby frekwencja była jak najwyższa, by świadczyła o „entuzjazmie i spontaniczności obywatelskiej”. W tym celu miasta i wsie czerwieniły się od sztandarów i transparentów nawołujących ludność do głosowania. Mówiły o tym wszystkie tytuły gazet i programy radiowe. Na wielu trans-

parentach (*łozunkach*) pisano: „Tylko wróg nie pójdzie do urny”. Nikt, oprócz poważnie chorych, nie odważył się ignorować takich wezwań, które brzmiały nie jak zachęta, ale jak groźba. W takiej atmosferze do głosowania poszli wszyscy. W lokalach wyborczych znajdowały się kabiny do tajnego głosowania, ale nikt nie odważył się z nich korzystać, tylko po otrzymaniu karty niósł ją prosto do urny. Rezultat był taki, że jeszcze w roku 1939 wybrani deputowani wystąpili z prośbą do Rady Najwyższej ZSRR o włączenie Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi do republik sowieckich. Oczywiście, Rada Najwyższa chętnie się przychyliła do tej prośby.

Ci Ukraińcy, którzy od dawna wierzyli w propagandę sowiecką, obiecującą im wolność i niepodległość Ukrainy, teraz, po tych wyborach, czuli się oszukani. W ogóle zdecydowana większość chłopów z Czeremnego była przestraszona i głęboko rozczarowana „rajem” w sowieckim wydaniu. Nikt jednak nie dzielił się swoim zdaniem z sąsiadem, bo mu nie ufał. Bardziej ufano Polakom. Paraska przychodziła do Waldemarów i mówiła, że Ukraińcy z nostalgią wspominają czasy polskie. To samo słyszał Jan od Hordija.

Waldemar i leśniczy ciężko pracowali przy wycince lasu. Ich zasadnicza praca nie wymagała użycia siekiery lub piły, ale i tak cały dzień byli na nogach. Waldemar wyznaczał tereny do wycinki, ustalał, na jakie odcinki mają być cięte bierwiona i obliczał dzienny urobek dla każdej pary drwali. Leśniczy dbał i dostarczał potrzebnych narzędzi, jak siekiery, piły itp. Do niego należało także organizowanie wywózki pociętych drzew.

Gdy wieczorem Waldemar wracał utrudzony do domu, Walentyna czekała nań z gorącym posiłkiem. Po kolacji zwykle wspólnie słuchali radia. Robili to, zachowując wszelkie środki ostrożności, a aparat radiowy był bardzo pomysłowo ukryty. Z radia dowiedzieli się o wojnie sowiecko-fińskiej. Mały naród fiński, napadnięty przez armię sowiecką, dzielnie się bronił, zadając skuteczne ciosy sowieckim wojskom. Z radia serbskiego dowiedzieli się, że inwazję Finlandii rozpoczęły te wojska, które we wrześniu najechały Polskę. Pewnego razu wieczorem podczas przekręcania gałki radiowej przypadkowo trafili na radio londyńskie.

Oboje niewiele rozumieli angielski, ale pewnego razu na falach tej rozgłośni usłyszeli wiadomości w języku polskim. Było to wielkie wydarzenie w ich beznadziejnej sytuacji – słyszeć z Londynu wolny głos Polski. Pod wrażeniem tego szczęśliwego wydarzenia nie mogli tej nocy usnąć.

\*\*\*

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. W tych dniach obowiązywała normalna praca, z okazji świąt nikt wolnego dnia nie otrzymał. Wigilię urządzano po pracy, wieczorem. Jednak Waldemar i leśniczy ustalili między sobą, że pierwszego dnia świąt leśniczy dodatkowo wykona pracę należącą do Waldemara, a drugiego dnia wymienią się. Tak też się stało. W pierwszy dzień świąt Waldemar z żoną i synem byli w kościele, po czym udali się na wspólny obiad do rodziców, a wieczorem z Witusiem, po cichu przy choince, śpiewali kolędy. Okazało się, że działa już poczta. Otrzymali list od Irenki, który sprawił im dużą radość. Oprócz życzeń świątecznych Irenka pisała, że bardzo za nimi tęskni, a szczególnie za swoim chrześniakiem, Witusiem.

Tegoroczne święta, choć jak zawsze uroczyste, naznaczone były bolesnym stygmatem totalnej okupacji bolszewickiej. Widać to było po twarzach ludzi w kościele. Gdy śpiewali kolędy, nie było błysku radości w oczach, co szczególnie uderzało, kiedy śpiewano *Bóg się rodzi moc truchleje...*, a zwłaszcza jej frazę: „Podnieś rękę, Boże dziecię, błogosław ojczyznę naszą...”. Wtedy u wielu pojawiły się łzy w oczach.

Absencja Waldemara i leśniczego w pracy podczas świąt nie uszła uwadze komisarza, czyli, jak mówiono, *naczelnika*. Wezwał ich obu do swojej *kantory* (biura) i zapytał, dlaczego pozwolili sobie na naruszenie regulaminu pracy, z którego jasno wynika, że wszelkie ewentualne zwolnienia należy załatwiać u niego. Wtedy Waldemar odpowiedział (o czym *naczelnik* dobrze wiedział), że są to wielkie święta, które chcieli uczcić, a przy tym swoją nieobecnością nie zakłócili rytmu pracy. *Naczelnik* cenił ich za dobrą pracę. Byli jego przysłowiową prawą ręką, zależało mu na nich. Jednak względy ideologiczne wymagały od niego odpowiedniej reakcji na to wykroczenie. Wygłosił więc rutynową mowę:

– *Tawaryszczy, eto wam nie Polska, eto wilikij Sowieckij Sajuz i tawaryszcz Stalin. Wy dołżni rabotať toże wo wremia waszych praznikow* (Towarzysze, tu nie jest Polska, ale wielki Związek Sowiecki i towarzysz Stalin. Powinniście pracować także w czasie waszych świąt).

Takie wykroczenia w Związku Sowieckim były surowo karane. W tym wypadku jednak *naczalnik* zastosował karę symboliczną, polegającą na potrąceniu premii przy miesięcznej wypłacie. Premia była uznaniowym dodatkiem do wynagrodzenia za wykonaną pracę.

Zima roku 1939/1940 była ciężka. Spadło bardzo dużo śniegu i mróz był niezwykle duży. Dla Waldemarów rok 1940 zaczął się pomyślnie. Już w styczniu zorientowali się, że będą mieli bardzo oczekiwane drugie dziecko. Według ich obliczeń powinno się urodzić we wrześniu. Waldemar był szczęśliwy, nawet codzienna ciężka praca na mrozie i głębokim śniegu nie psuła jego dobrego samopoczucia. Wieczorami oboje rozmawiali o nowym potomku, bardzo go pragnęli bez względu na to, czy to będzie chłopczyk czy dziewczynka, byleby szczęśliwie przyszło na świat. Walentyna zabrała się do wykonania kolejnego medalionika.

Ale oto całkiem nieoczekiwanie, w nocy 10 lutego, za ścianą swojej sypialni Waldemarowie usłyszeli niepokojący hałas u sąsiadów: jakieś rozmowy, jękliwy głos leśniczowej, także głośnie nawoływanie w języku rosyjskim: *Dawaj, dawaj paskarej* (pośpiesz się). Waldemar ubrał się i chciał pójść do sąsiadów, ale przed drzwiami zatrzymał go rosyjski żołnierz słowami: *Kudy, zdzies' niełzia!* (tu nie wolno). Przed domem stały dwie furmanki. Na jedną z nich jacyś ludzie wynosili rzeczy w workach. Po chwili ujrzał leśniczego, który też wynosił na wóz żywność, pierzynę i poduszki. Widząc Waldemara powiedział, że wywożą ich gdzieś daleko, bo każą brać żywność i ciepłą odzież. Na dłuższą rozmowę nie pozwolił im żołnierz. Waldemar wrócił do domu i powtórzył to żonie. Do głębi przejęta tym Walentyna ubrała się i oboje wyszli na werandę. Po chwili zobaczyli zapłakaną panią Adelę, która podeszła do nich, żeby się pożegnać i płacząc skarżyła się, że gdzieś ich wywożą i nie wiadomo, czy się w życiu zobaczą. Walentyna wbiegła do domu i przyniosła sąsiadce ciepły koc i szal, torebkę mąki, kaszy i kawałek słoniny. Waldemar dał

leśniczemu swój ciepły sweter, rękawice i futrzaną czapkę z nausznikami. Załadowana furmanka z ich sąsiadami odjechała. Waldemarowie nad wyraz poruszeni i załamani wrócili do domu. Tej nocy już nie spali. Rozprawiali o tym, gdzie tych biedaków powieźli w taki wielki mróz i śnieg, nie wiedzieli, czy spotkało to jeszcze kogoś w Czeremnem. Rano zobaczyli, że mieszkanie sąsiadów jest zaplombowane. Zanim Waldemar poszedł do pracy, Walentyna pobiegła do rodziców dowiedzieć się, czy u nich nic się nie stało i powiedzieć im, co spotkało ich sąsiadów. Jak się później dowiedzieli, Z Czeremnego wywieziono popa i sołtysa z rodzinami. Wywieziono też czterech gajowych z rodzinami, którzy mieszkali w gajówkach w lesie nadzorowanym przez wywiezionego leśniczego, Stefana – sąsiada Waldemarów.

Karolina dowiedziała się, że w *siłradzie* planowano do wywózki obie rodziny z leśniczówki, to znaczy leśniczego z żoną i Waldemarów. Podobno komisarz od eksploatacji lasów proponował, aby pozostawić ich obu jako potrzebnych tu do realizacji planów wyznaczonych przez partię. Ponieważ jednak według instrukcji wszystkich byłych polskich funkcjonariuszy leśnych należało deportować, leśniczego nie wybronił, natomiast Waldemara z listy do deportacji skreślono. Z tego by wynikało, że Waldemara uratowało jego zaangażowanie w pracy.

Teraz tych obowiązków jeszcze mu przybyło. Naczelnik przydzielił mu dwóch pomocników, jeden z nich z rodziną zamieszkał w kwaterze po wywiezionym leśniczym. Obaj pomocnicy nie mieli doświadczenia, nie znali lasu i potrzeba było pewnego czasu do wdrożenia w przedmiot ich obowiązków. Wszystko to spadło na Waldemara. On jednak nie uchylał się od pełnienia tych dodatkowych zadań, świadom tego, że i tak jego sytuacja jest bez porównania lepsza niż wywiezionego przyjaciela, Stefana.

A jaka była sytuacja chłopów ukraińskich na okupowanych przez Sowieców Kresach polskich? Wedle sowieckiej propagandy, Armia Czerwona wkroczyła na polskie Kresy, czyli jak mówiono: „Zachodnią Ukrainę i Zachodnią Białoruś”, *czto by zaszczyszczat’ od polskich zachwatczykow swoich odynokrownych brat’i: Ukraińcow i Bielorusow* (w obro-

nie przed polskimi okupantami swoich rodzonych braci: Ukraińców i Białorusinów). Czyli wzięła ich pod swoją opiekę. Jak wyglądała ta opieka, można prześledzić na przykładzie wsi Czeremne. Zniszczono solidarność i sąsiedzką współpracę, wprowadzając wypróbowaną sowiecką metodę skłócenia narodu. Gospodarstwa obciążono rujnującymi je świadczeniami. Zapowiedziano powstanie kołchozu, co pociągnie za sobą konieczność przeniesienia chłopskich domów z powrotem na miejsca, gdzie stały przed komasacją, bo władza chce mieć wszystkich pod ręką i pod kontrolą. I wreszcie wywieziono popa, a cerkiew przeznaczono na świetlicę i kino, „bo kultura musi być”. Jak w tej sytuacji oceniali władzę sowiecką chłopi ukraińscy – komentarz jest zbyteczny. Jedynie Szmul, mimo że oddał swój sklep do dyspozycji *silrady*, która zamieniła ten lokal na kooperatywę, całkiem dobrze się urządził. Jego syn, Lejbuś, został ekspedientem w tej kooperatywie, a sam Szmul dostawcą towaru i magazynierem. Oni najlepiej znali się na handlu i mieli dobre układy z hurtownią w Kostopolu. Dlatego *hołowa silrady* uznał, że Szmulowie sobie poradzą w tej trudnej sytuacji, kiedy w hurtowniach jest niedostatek towaru i tylko ten coś załatwi, kto ma tam znajomości. Trudności z towarem wynikały stąd, że polskie zapasy już się wyczerpały, a dostawy ze Związku Sowieckiego były bardzo skromne. Brakowało cukru, soli, nafty, butów i odzieży, produktów żywnościowych, naczyń kuchennych i gospodarczych. Najbardziej odczuwano brak soli kuchennej, której używano nie tylko jako przyprawy do posiłków, ale też do konserwacji mięsa, słoniny i innych tłuszczów spożywczych. Jeżeli była dostawa, to przede wszystkim alkoholu: wódki, likierów i *alaszy* oraz wody kolońskiej (*dikałonu*). Inne towary powszechnego użytku trafiały się rzadko, tworzyły się wtedy ogromne kolejki i nie dla wszystkich starczało. Oczywiście, dla tych którzy byli najbliżej „ołtarza” (czyli dla Szmula i prominentów wiejskiej władzy), zawsze wystarczyło.

Także Wołodia dobrze się urządził. Został kierownikiem szkoły, co wskazywało na to, że partia mu ufa. Z taką osobą musiano się liczyć. Wołodia był też redaktorem ważnej korespondencji w *silradzie*, bo on najlepiej potrafił pisać. Dzięki temu był wtajemniczony w tajną politykę partyjną. Można rzec, że był we wsi szarą eminencją partyjną.

Waldemar właściwie go ocenił. Wiedział, że jest nacjonalistą, ale – jak trzeba – może być też komunistą; był więc człowiekiem koniunkturalnym, a tacy są niebezpieczni. Nie mówił tego żonie, nie chcąc jej martwić, ale był przekonany, że Wołodia dążył do tego, aby Waldemara deportowano razem z leśniczym i że teraz też szuka na niego jakiegoś haka. „W tej sytuacji muszę się mocno trzymać swojej pracy”, myślał. I rzeczywiście, w przedsiębiorstwie leśnym był najważniejszym pracownikiem. Tak uważał naczelnik i Waldemar miał nadzieję, że może liczyć na jego obronę. Toteż pracował ze zdwojoną energią – gdy miał chwilę czasu w swoich rutynowych zajęciach, chwycił za siekierę lub piłę i pracował razem z robotnikami. Wieczorem wracał do domu bardzo wyczerpany, ale że był mężczyzną silnym i od młodości zaprawionym do ciężkiej pracy, po przespanej nocy i śniadaniu szedł do pracy wypoczęty i świeży. Energii dodawała mu świadomość, że ma ukochaną rodzinę, dla której musi przetrwać. Ze szczególną miłością, troską i nadzieją patrzył na ukochaną żonę, która za pół roku miała urodzić ich drugie dziecko.

Tymczasem otrzymali pierwszą wiadomość od swoich deportowanych sąsiadów, Stefana i Adeli. List był wysłany z Archangielskiej obłości. Wynikało z niego, że nie mogą pisać wszystkiego, co dotyczy ich życia, ale prosili o żywność, co świadczyło, że cierpią głód. Waldemarowie niezwłocznie wysłali im słoninę, mąkę i kaszę.

Jeszcze nie przebrzmiały echa wywózki z 10 lutego, a już w kwietniu 1940 roku również nagle i też w nocy dokonano następnej deportacji ludności polskiej. Tym razem do Kazachstanu, podczas gdy w czasie pierwszej wywózki wszystkie transporty ludności kierowano do Okręgu Archangielskiego. W kwietniu wywożono rodziny oficerów polskich, którzy trafili do sowieckiej niewoli, byłych polskich urzędników, rodziny policjantów polskich i innych, wskazanych przez aktywistów partyjnych i donosicieli. Seria tych nieludzkich deportacji dyscyplinowała ludność. Polacy czuli się osaczeni i niepewni dnia ani godziny. Ukraińscy chłopcy cicho i pokornie wstępowali do kołchozów, z jednej strony – z powodu drakońskich obciążeń świadczeniowych, ale też ze strachu przed deportacją. W sąsiednich wsiach wokół Czeremnego kołchozy już powstały,

natomiast w Czeremnem wstrzymywano się z tym. Tu było wielu kułaków i średniaków, którzy po komasacji mieli już ustabilizowane swoje gospodarstwa i rozwijali się dalej. Wieś była rozproszona po chutorach i spędzenie jej mieszkańców z powrotem w zwartą wieś było procesem kłopotliwym, nawet dla tej władzy. Czy nie lepiej taką wieś przesiedlić gdzieś na Syberię, gdzie jest dosyć miejsca? Takie pogłoski cicho krążyły, a sowiecką władzę stać było na to. Jednak po żniwach roku 1940 zapadła decyzja: wszystkie chłopskie domy z chutorów przeniesiono na dawne miejsca, a na wiosnę planowano zorganizowanie kołchozu.

Tymczasem we wrześniu Walentyna urodziła córkę. Stało się to niespodziewanie, tydzień przed przewidywanym czasem rozwiązania. Waldemar pracował wtedy daleko w lesie. Walentyną opiekowała się Karolina. Gdy wystąpiły symptomy porodowe, Karolina szybko pobiegła i sprowadziła wiejską akuszerkę, z którą razem asystowały aż do momentu, gdy na świat przyszło dzieciątko, śliczna dziewczynka. Matka czuła się dobrze, karmiła dziecko piersią i bardzo oczekiwała na męża, który pracując w lesie nie wiedział, co się wydarzyło.

Gdy Waldemar wrócił i zastał w domu dziecko oraz patrzące na niego chabrowe oczy żony, pełne szczęścia i dumy, mówiące mu: „Oto masz, urodziłam ci córkę!”, ogarnął go szal radości. A że zwykle swą radość, szczególnie tak wielkiej miary, wyrażał żywiołowo i spontanicznie, zaczął podskakiwać tak wysoko, że głową dotykał sufitu, aż wreszcie padł na kolana przed żoną leżącą w łóżku i karmiącą piersią ich córeczkę. Całował główkę dziecka i ręce żony. Obok niego stał pełen radości i ciekawości czteroletni Witoldzik. Waldemar posadził go na łóżku obok matki i rzekł:

– Zobacz, synku, swoją siostrzyczkę...Widzisz, jaka jest ładna?

Chłopczyk patrzył szeroko otwartymi oczami na czerwoną buzię noworodka i odrzekł:

– Nie, wcale nie jest ładna.

Z boku patrzyła na to Karolina, która pokochała Walentynę jak rodzoną córkę, i cieszyło ją to szczęście, jakie przeżywała ta rodzina.

Waldemar wstał, podszedł do teściowej i całując jej ręce dziękował za opiekę nad Walentyną, polecając jej dalszą opiekę nad jego rodziną,

gdyż on żadną miarą nie może ubiegać się nawet o jeden dzień wolny od pracy. Stale musi być do dyspozycji swojego naczelnika. Ta praca w jakimś stopniu zapewnia bezpieczeństwo jemu i jego rodzinie. Pod żadnym względem nie może jej lekceważyć. Karolina to rozumiała, a bezpieczeństwo rodziny jej pasierbicy było dla niej ważne. Uspokajała więc Waldemara mówiąc:

– *Nie turbuj się, Waldemarze. Ni kto inszy ni będzie tut robić, ono ja, to je moja robota, żep twoja familia miała obiad, żep pomyta była posuda, żep kuń był napojony i miał obrok. Ja to chce i bede robić* – zapewniała zięcia.

Dzięki temu Waldemar mógł rano iść do pracy, spokojny o bezpieczeństwo rodziny.

Po kilku dniach Walentyna wróciła do fizycznej formy, wstała z łóżka i razem z Karoliną krzątała się po domu. Oboje małżonkowie nie chcieli zwlekać ze chrztem córki. Z wyborem imienia nie było problemu. Walentyna przypomniała mężowi jego obietnicę, że o imieniu dla ich córki, ona, matka, zadecyduje.

– Proponuję więc imię Krystyna, bo też wówczas powiedziałeś, że lubisz imię Krysia.

Waldemar z radością to zaakceptował. Na rodziców chrzestnych poprosili sąsiadów: Kazię z rodziny Mariana i Henryka, syna Waleriana. Chrzest i skromne przyjęcie z tym związane odbyło się w niedzielę, czyli w dniu wolnym od pracy.

Dziecko rozwijało się i rosło w ciepłej atmosferze rodzinnej. Miało kochających rodziców i braciszka Witusia, troskliwą babcię Karolinę i dziadka Jana.

Przyszły święta Bożego Narodzenia. W wieczór wigilijny, gdy Waldemar wrócił z pracy, z radością witał Irenkę, która zatęskniła za nimi, a zwłaszcza za swoim chrześniakiem Witusiem, i postanowiła z nimi spędzić święta. Po kolacji razem pojechali na Pasterkę.

Kiedy nazajutrz rano Waldemar wyszedł do pracy, Walentyna z Irenką prowadziły niekończące się rozmowy. Podobnie jak tu, tak i w powiecie łuckim, gdzie mieszkała Irenka, panował totalny reżym sowiecki. Podobnie

jak tu, również stamtąd wywożono ludność na Sybir. Wywieźli już rodziny wszystkich osadników wojskowych. Wieczorem, zachowując dużą ostrożność, słuchali audycji polskiej z londyńskiego radia, co szczególnie interesowało Irenkę, gdyż w jej domu takich możliwości nie było. Po świętach Jan odwiózł Irenkę do Kostopola, skąd pociągiem odjechała do Łucka.

Rabunkowa eksploatacja lasu, polegająca na wycince najpiękniejszych obszarów leśnych w powiecie kostopolskim, zmierzała ku końcowi. Wraz z nastaniem wiosny 1941 roku przystąpiono do pozyskiwania („ciągnięcia”) żywicy z drzew sosnowych. Polegało to na tym, że na drzewie od strony południowej strugiem ścinano pierwszą warstwę kory, nie naruszając miazgi drzewa. Następnie specjalnym żłobkowatym nożem, osadzonym na długim drewnianym trzonku, nacinano pionowy rowek na całej zestruganej powierzchni, po czym tym samym nożem nacinano ukośne rowki, łączące się z tym pionowym rowkiem. Nacięcia te tworzyły kształt odwróconej choinki. U dołu pionowego rowka wbijano metalowy, żłobkowaty klin, a na nim zawieszano naczynie, do którego spływała żywica. Można powiedzieć, że okaleczone żywe drzewo „płakało” żywicą. Intensywność wycieku zależała od temperatury, im bardziej grzało słońce, tym żywica płynęła obficie. Waldemarowi powierzono zorganizowanie tych prac i wyszkolenie grupy ludzi, którzy pracowali przy tej tak zwanej *podsochce*.

Pewnego dnia naczelnik opuścił Czeremne, skierowano go bowiem w inne rejony Wołynia. Przed wyjazdem proponował Waldemarowi, aby jechał z nim i na tym nowym miejscu nadal pracował w tym samym charakterze. To było bardzo odległe miejsce, więc Waldemar musiał zrezygnować. I tak stracił on swojego protektora, miał jednak nadzieję, że jego praca przy ciągnięciu żywicy też będzie dla niego jakąś osłoną. Tragicznie się pomylił.

Pewnego majowego dnia do lasu, gdzie pracował, przyszło dwóch funkcjonariuszy NKWD i aresztowało go. Został zawieziony do komisarzatu NKWD w Kostopolu, gdzie postawiono mu zarzut, że jest ukrywającym się polskim oficerem. Pokazano mu doniesienie złożone na piśmie, podpisane przez nauczyciela Wołodę.

Tymczasem wieczorem Walentyna czekała na męża z gorącym posiłkiem. Gdy nie wracał, bardzo się zaniepokoiła. Wreszcie zamiast Waldemara zjawił się ich nowy sąsiad zza ściany, który pracował razem z Waldemarem. Opowiedział, co się stało z jej mężem i nie komentując tego, szybko opuścił jej dom. Wiadomość o aresztowaniu męża uderzyła w Walentynę jak piorun. Kompletnie załamana, zostawiła śpiące już dzieci i pobiegła do rodziców. Gdy weszła do ich domu, zdążyła tylko krzyknąć: „Waldemar aresztowany!” i padła na kanapę z wybuchem dotychczas hamowanego płaczu. Oboje pochylili się nad nią, starając się ją uspokoić i dowiedzieć, czy zabrali go z domu czy w czasie jego pracy. Gdy im wyjaśniła, skąd ma te wiadomości, Jan uspokajająco jej tłumaczył, że może nie jest tak źle, może go tylko zatrzymali i on jeszcze dziś wróci do domu, a jeżeli nie, to rano pójdzie do *silrady* i dowie się, co z nim się stało. Oni będą wiedzieli. Jeśli zajdzie taka potrzeba, to pojedzie z nią do Kostopola. Może on tam jest i może na ich prośbę go uwolnią. Tam też dowiedzą się, co jest powodem jego aresztowania. Karolina odprowadziła Walentynę do domu. Nazajutrz rano udali się do *silrady*. *Hołowa silrady*, bardzo zajęty organizowaniem kołchozu, niewiele miał dla nich czasu, ale znał sprawę i powiedział, że Waldemar został zatrzymany przez NKWD z Kostopola i tam mogą uzyskać informację w tej sprawie. Jan niezwłocznie zaprzągnął konia i z Walentyną pojechali do Kostopola. Tam powiedziano im, że aresztowanego odwieziono do Łucka.

Zrozpaczona Walentyna zrozumiała, że sprawa jej męża jest poważna. Postanowiła nie wracać do domu, tylko pociągami jechać do Łucka.

– Niech mama pilnuje dzieci, a ja muszę ratować Waldemara – rzekła do ojca.

W Łucku miała kuzynów, u których postanowiła się zatrzymać, by tam poszukać ratunku. Już na drugi dzień po przybyciu do Łucka udała się do głównej komendy NKWD. Musiała długo czekać, zanim *naczelnik* ją przyjął. Przejrzał papiery i wreszcie powiedział, że jej mąż został zatrzymany z powodów politycznych, jego sprawa jest w toku i póki śledztwo się nie zakończy, nic więcej powiedzieć jej nie może. Do tego czasu także widzenia z zatrzymanym są wykluczone. Załamana kobieta spy-

tała jeszcze, czy można przekazać mu paczkę żywnościową oraz sweter i bieliznę, które przywiozła ze sobą. Naczelnik się zgodził i powiedział, w którym pokoju przyjmują takie paczki. Udała się pod wskazane miejsce, gdzie przy niej pakunek dokładnie zrewidowano i naklejono kartkę, komu ma być doręczona.

Kobieta pogrążona w rozpacz i bezradności wróciła do domu. Nie wyobrażała sobie życia bez Waldemara. „Ile mogą go trzymać, co mu grozi?!...”, myślała, klęcząc przed Ostrobramską. W swoich rozważaniach wyobrażała sobie, że Madonna cierpi razem z nią i ludem ogarniętym mocą zła. Siłą swojej wiary czuła tajemniczą wartość cierpienia, które zawsze prowadzi do zwycięstwa. Tylko jak wytrwać i jak z pokorą przyjmując ofiarę?... Musiała zdobyć się na męstwo, być silną i żyć dla niego i ich dzieci. Nie ona jedna i jej rodzina dziś cierpi, cierpią miliony niewinnych ludzi. Wstała z kolan, natchniona duchem Madonny. Patrząc na swoje dzieci, myślała: „Z pomocą Bożą będę was chronić, z nadzieją, że odzyskacie ojca”.

Najtrudniejsze dla niej były te chwile, gdy Witoldzik, stęskniony za ojcem, chodził za nią i pytał:

– Czemu tak długo nie ma taty? Ja chcę, żeby już do nas wrócił.

Walentyna całą siłą woli hamowała napływające do oczu łzy i odpowiadała:

– Wróci, synku, wróci, jak tylko będzie mógł, wróci do nas. Módlmy się o to, synku.

I Witoldzik się modlił. Wzruszający to był obraz modlącego się dziecka, z wiarą patrzącego na wizerunek Matki Bożej. Takie to były czasy nieludzkiej okupacji, kiedy niewinne dzieci znalazły się w konfrontacji z okrutną rzeczywistością...

Ale w Czeremnem dużo było życzliwych, odważnych ludzi, którzy cenili Waldemara i byli gotowi wystąpić z prośbą do władz o jego uwolnienie. Inicjatywę taką podjął stary nauczyciel Mikołaj, który przygotował odpowiednie pismo do władz. Przedstawił w nim Waldemara jako człowieka bardzo dobrego, zasługującego na miano przyjaciela ukraińskich chłopów. Tę petycję podpisało kilkunastu chłopów i Żyd Szmul.

Byłoby podpisów więcej, gdyby ludzie się nie bali. Skutek owej petycji był taki, że jej organizatora, Mikołaja, wezwano do Kostopola na przesłuchanie, gdzie musiał się tłumaczyć, dlaczego przeszkadza władzy, która jest władzą sprawiedliwości społecznej i nie potrzebuje adwokatów, sama oceni, jakim to człowiekiem jest aresztowany. Jedynie przez wzgląd na wielki autorytet, jakim cieszył się wśród ludzi Mikołaj, jego wiek i stan zdrowia, pozwolono mu wrócić do domu.

Walentyna nie traciła nadziei. Przygotowała paczkę i znów udała się do Łucka. W czasie audiencji u tego samego naczelnika, z którym rozmawiała kilka tygodni temu, dowiedziała się, że śledztwo w sprawie Waldemara zostało już zakończone, a on sam oczekuje na rozprawę sądową. Teraz może pozwolić jej na widzenie z nim. Przestraszona zapowiedzą sądu, ale też bardzo wzruszona możliwością zobaczenia męża, skwapliwie zwróciła się z prośbą o to widzenie. Naczelnik na kartce papieru napisał pozwolenie i skierował ją do odpowiedniego pokoju, gdzie funkcjonariusz kazał zostawić u niego wszystkie rzeczy i dokumenty, jakie miała przy sobie, i czekać na korytarzu. Paczkę zabrał, mówiąc, że zostanie doręczona aresztowanemu.

Walentyna czekała na widzenie, a właściwie chodziła po korytarzu niecierpliwie i modliła się. Wszak za chwilę ujrzy ukochanego... Co mu powie, o co zapyta?... Na pewno czas będzie ograniczony. Nie może, żadną miarą nie może załamać się i płakać. Musi być dzielną, aby podtrzymać go na duchu i wykorzystać cały czas na rozmowę. Wydawało się jej, że już bardzo długo czeka na to widzenie, gdy nagle drzwi się otworzyły i stojący w nich strażnik wymówił jej nazwisko i imię oraz słowo: *paszli* (idziemy).

Szedł przodem z pękiem kluczy i co chwila zgrzytały zasuwki otwieranych przez niego kolejnych drzwi. W końcu stanęli przed stalową kratą, w której było małe okienko. Walentyna podeszła do tego okienka, a strażnik został z tyłu przy drzwiach. Drżąc na całym ciele, oczekiwała na męża. Jakoż wkrótce za kratą zobaczyła drogą wychudłą twarz Waldemara. Przez to małe okienko podali sobie obie ręce i bez słów stali chwilę. Użyła całej swej siły woli, aby nie wybuchnąć płaczem; on też siłą się na spokój, patrzył na nią. Wreszcie usłyszała:

– Witam cię, kochanie. Jak się czujesz i jak tam nasze dzieci?

– Dzięki Bogu, wszyscy jesteście zdrowi, tylko brak nam ciebie. Ludzie we wsi zbierają podpisy pod petycją o twoje uwolnienie...

– Tak? – był zdziwiony. – To nic nie pomoże, już jest po śledztwie. Dano wiarę donosowi, jaki złożył na mnie Wołodia, i wkrótce odbędzie się sąd. Dziękuję za paczkę, bardzo mi się przydała, zwłaszcza bielizna.

– Dziś przekazałam im drugą paczkę dla ciebie. Powiedz, czego jeszcze potrzebujesz, przywiozę ci.

– Niczego nie potrzebuję, tylko was. Ale kochanie, Bogu powierzmy nasz los. Proszę cię, szanuj swoje zdrowie i pilnuj naszych dzieci. Miejmy nadzieję, że kiedyś wrócę do was.

– *Kaniec wstreczy!* – usłyszeli ostry głos strażnika.

Podczas rozmowy Waldemar przez cały czas trzymał w swoich dłoniach ręce żony. Teraz uścisnął je i z czcią ucałował.

– Do zobaczenia, kochanie moje.

– Niech Matka Boża ma ciebie w opiece! – zdążyła powiedzieć, a on uchylił koszulę i ukazał medalionik.

Dopiero gdy zamknęły się drzwi komory widzeń, Walentyna runęła twarzą na podłogę i ogarnął ją spazmatyczny płacz. Płakała wprost konwulsyjnie, rozładowując napięcie i wysiłek, jaki musiała włożyć, żeby panować nad sobą w czasie wizyty. Nawet strażnik wydawał się być poruszony, mówiąc:

– *Nu czto wy, dawajże idiom!* – i pomógł podnieść się Walentynie.

Wróciła do domu w poczuciu rozpacz i bezradności wobec panoszącego się terroru i niesprawiedliwości. Wciąż dręczyła ją myśl, jak ratować Waldemara. Ojciec Jan proponował jej wyjazd do Kostopola i tam w kręgu władz szukać ludzi, którzy zechcą wysłuchać jej prośb i pomogą lub doradzą, do kogo powinna zwrócić się w sprawie męża i kogo prosić o łaskę jego uwolnienia. Zgadzała się z koncepcją ojca, ale miała jeszcze jeden swój tajemny plan, który chciała wykonać w pierwszej kolejności. Wedle jej rozumowania, należy przeprowadzić rozmowę z Wołodią. To on spowodował, że Waldemar jest w więzieniu. Może na jej prośbę obudzi się w nim sumienie, może zechce odwołać swoje oskarżenie

i przyznać się do pomyłki? Miała taką cichą nadzieję. Gdy zapadł wieczór, niezwłocznie udała się do niego. Postanowiła, że nie zdradzi tego, iż wie o jego donosie. Wołodia mieszkał w szkole sam. Zastała go w domu. Wyraźnie poruszony jej wizytą, wysunął krzesło i poprosił, aby usiadła. Ta od razu przystąpiła do rzeczy.

– Zapewne zdziwiła pana moja wizyta – zaczęła – ale ja przychodzę do pana po ratunek. Otóż chyba pan jeszcze nie wie, że mój mąż został aresztowany.

Wołodia uniósł w zdziwieniu brwi i odparł:

– Co pani mówi?!... – jego rozbiegane chytre oczka wyrażały zakłopotanie i zdziwienie. – A za cóż to? – pytał.

– Właśnie nie wiem za co, wiem tylko, że on nic złego nie zrobił. Był wzorowym pracownikiem leśnym. A teraz go nie mam, zostałam sama z dwojgiem dzieci. Jestem w wielkiej rozpacz i w tej sytuacji przychodzę do pana jako naszego dobrego znajomego z prośbą o ratunek. Ludzie we wsi mówili, że tylko pan może mi pomóc. Pan ma tu autorytet, liczy się z panem władza i jest pan dobrym człowiekiem – zakończyła, z uwagą patrząc w oczy Wołodii.

Ten początkowo wił się jak wąż, ale szybko nabrał animuszu. Wyraźnie było widać, że słowa Walentyny mu pochlebiały. Nie mogąc znieść wzroku Walentyny, chodził po pokoju, jak by zastanawiał się nad tą sprawą.

– Pani wybaczy, muszę rozważyć pewną myśl, która może być bardzo skuteczna dla załatwienia tej sprawy – rzekł wreszcie. – W Kostopolu jest ktoś, kto może to załatwić. To najważniejszy człowiek w tym mieście, jest bowiem naczelnikiem NKWD. Tak się szczęśliwie składa, że go znam. Mieszka na prywatnej kwaterze u moich rodziców i moja mama gotuje mu posiłki. Tam go poznałem. To dobry człowiek, sam mu dużo zawdzięczam. On może sprawić, że pani mąż zostanie zwolniony i powróci do domu. Tylko wie pani, musimy mądrze rozegrać tę sprawę. Powiem prosto, to chłopak samotny, lubi wypić i się zabawić. Ot, ma pani jeszcze tę dwukołówkę i konika, siadajmy jutro oboje i jedźmy do Kostopola. Może pani zatrzymać się u moich rodziców, a w tym czasie zorganizuje-

my spotkanie z nim. Zresztą, jak już mówiłem, on mieszka u moich rodziców. To człowiek honorowy, żadnych prezentów nie przyjmie i jeszcze sam ugości. Ot i wszystko. Teraz decyzja należy do pani.

Chabrowe oczy Walentyny lodowato patrzyły na tego człowieka-kana-  
lię, jak go w myśli nazwała. Doskonale wiedziała, do czego zmierza ta jego „pomoc”. To jest droga, którą kategorycznie odrzuca, nawet za cenę wolności męża i jej życia. Mimo najwyższego wzburzenia, starała się panować nad sobą, aby nie rozdrażnić bestii. Wstała z krzesła i powiedziała tylko:

– Przyjęłam do wiadomości, ale muszę już wracać do dzieci.

I wyszła. Gdy znalazła się za drzwiami, przyłożyła rękę do rozpalonego czoła i myślała: „Boże mój, po co ja do niego poszłam?!... To przecież potwór nie człowiek”.

Wróciła do domu pełna najczarniejszych myśli. Po bezsennej nocy wstała z łóżka i przygotowała posiłek dla dzieci. W tym czasie przyszli oboje rodzice. Jan oznajmił, że przy dzieciach zostanie Karolina, a on jest gotowy jechać z Walentyną do Kostopola.

– Zmieniłam plany, do Kostopola nie mam po co jechać, bo tam nic nie załatwię. Jutro zamierzam pojechać do Łucka, zawieziesz mnie do pociągu, tato.

– *Ni jak ni mogie rozebrać, czego ty kręcisz – zdziwił się Jan. – Wczora ty chciała du Kostopola, a dzisiaj tudy nie chcesz jechać. Chcesz du Łucka, nu tu jedź, jaż zawsze gotowy ciebie podwiść du kolei.*

Walentyna nie chciała przyznać się rodzicom, że była u Wołodii.

Następnego dnia, gdy mieli już jechać na stację, nadszedł listonosz z telegramem adresowanym do Walentyny. Treść była krótka: „Wasz muž, Waldemar Wysocki, zaszuđżen na piat' let' t'uremnoho zaključzenia”. Kartka z tą wiadomością wypadła z rąk Walentyny, a ona wybuchła płaczem. Żadne z rodziców nie potrafiło przeczytać pisma rosyjskiego, oczekiwali więc, co powie córka. A ona, gdy się trochę uspokoiła, powiedziała:

– Nie mam po co jechać do Łucka. Już jest po wyroku, otrzymał pięć lat więzienia! Ale za co? – i znów ogarnął ją szloch. Po chwili namysłu zwróciła się do rodziców:

– Dziś przygotuję paczkę i jutro, tato, zawieziesz mnie do kolei. Jednak pojadę do Łucka.

Tymczasem nazajutrz rano obudziły ich jakieś grzmoty, podobne do wybuchów. Walentyna włączyła radio. Usłyszała różnojęzyczny zgiełk wielu rozgłośni, z których wychwyciła rosyjską. Jak rozumiała, spiker tej rozgłośni mówił, że dziś rano Związek Sowiecki został zaatakowany przez Niemcy. A więc wojna! Z tą wiadomością pobiegła do rodziców.

Odgłosy bombardowań dochodziły z różnych kierunków: z Równego, ze Zdołbunowa, z Klewania. Następnego dnia zaroilo się od wojska sowieckiego, które polnymi i leśnymi drogami wycofywało się na wschód. Panika ogarnęła wiejskich prominentów komunistycznych. Rozpierzchła się *silrada*, zniknął gdzieś Wołodia. Na twarzach ukraińskich chłopów widać było zadowolenie i nadzieję.

Walentyna z rodzicami naradzali się, co robić. Do Łucka pociągami już się nie dojedzie, kolej bowiem została zniszczona. Można jechać furmanką, ale teraz to niebezpieczne. Pełno krążących oddziałów sowieckich. Pokazały się też uzbrojone bandy ukraińskie.

Mimo wszystko Walentyna była zdecydowana jechać do Łucka. Rodzice się sprzeciwiali, ale ona się uparła. W tej sytuacji Jan postanowił jej towarzyszyć, a Karolina miała się zająć dziećmi. Walentyna nie chciała się na to zgodzić. Opieka nad dziećmi wymaga stałej obecności przy nich, a ktoś musi przecież pilnować domu i gospodarstwa rodziców.

Wpadła na pomysł, by zwrócić się do swej przyjaciółki z lat szkolnych, Paraski. Ta wyraziła gotowość towarzyszenia jej w wyprawie do Łucka. Nie mogły użyć dwukółki, nie wyglądała bowiem na pojazd chłopski. Jan wyciągnął z szopy stary skrzypiący wóz i zamiast kasztanka, który prezentował się bardzo rasowo, zaprzęgli do wozu konia ze stajni Jana. Walentyna ubrała się w strój ukraińskiej chłopki, zawiązała chustkę na głowę i obie wyruszyły w drogę. Początkowo jechały bez przeszkód, ale gdy znalazły się przy moście na Horyniu w Janowej Dolinie, zostały zatrzymane przez niemieckich żołnierzy, którzy strzelili mostu. Dopiero przez tłumacza, który był wśród Niemców, wyjaśniły, że jadą do Łucka po chorego ojca, który był w więzieniu sowieckim. Wówczas Niemcy po-

zwolili przejechać most. Spokojnie minęły Derażne, chociaż po drodze spotykały niemieckie samochody wojskowe. Wyglądało na to, że Niemcy pognali Sowietów daleko na wschód i tylko w głębokich lasach błąkały się jeszcze ostatnie oddziały sowieckie. Na leśnych drogach stało dużo czołgów, dział i samochodów pozostawionych przez uciekających Sowietów.

W Cumanii zatrzymały się na noc. Jakiś gospodarz pozwolił im spędzić noc w stodole na sianie. Pokrzepione snem, wyruszyły w dalszą drogę. Za Cumaniami biegła utwardzona droga z Równego do Łucka. Poboczem tej drogi jechały w kierunku Łucka, a środkiem ciągnęły na wschód niemieckie oddziały zmotoryzowane. Nastął już wieczór, gdy dojechały do celu.

U kuzynów zastali Irenkę, ale Waldemara tam nie było, na co bardzo liczyła Walentyna. Zaniepokoiła ją atmosfera panująca wśród domowników, Irenka też miała smutek w oczach.

– Co się dzieje? Dlaczego wszyscy jesteście tacy jacyś dziwni? – spytała.

Wówczas Irenka powiedziała jej, że kilka dni przed napaścią Niemiec na ZSRR Sowietci wywieźli w głąb Rosji część więźniów z tutejszego więzienia. Być może, że wśród nich był Waldemar. Twarz Walentyny pobladła. Ze zbielełymi wargami drżącym głosem spytała:

– Mówisz „być może”, to znaczy, mogę mieć nadzieję, że jednak jest wśród tych, którzy tu pozostali?

Irenka milczała chwilę, potem objęła Walentynę i rzekła:

– Kochana, my wszyscy mamy nadzieję, że Bóg Waldemara uchronił i jest wśród tych, których wywieźli.

– Co ty mówisz, Irenko! Jak mam to rozumieć?!

Irenka jeszcze mocniej przygarnęła ją do siebie i dodała:

– Bo tamci nie żyją.

Świat zawirował w głowie Walentyny, nogi się pod nią ugięły. Irenka z trudem posadziła ją na kanapie i usiadła przy niej. Wszyscy obecni w pokoju stali milcząc, z opuszczonymi głowami. Panowała cisza, grobowa cisza, którą przerwał łkający głos Walentyny:

– Słyszałam te złowrogie odgłosy bomb, ale nie wiedziałam... – i wybuchła spazmatycznym płaczem.

Nikt z obecnych nie powiedział jej, że nie od bomb zginęli, lecz zostali wymordowani przez NKWD. Irenka próbowała uspokoić Walentynę, starając się utrzymać ją przy nadziei, że jej Waldemar żyje, że jest w tej wywiezionej grupie.

Dopiero nazajutrz udali się na teren więzienia. Mieściło się ono w zamku w pobliżu katolickiej katedry. W więzieniu przetrzymywano około pięciu tysięcy więźniów, z których na kilka dni przed napaścią Niemców Sowieci wywieźli w głąb Rosji około tysiąca osób. Tych, którzy zostali, strażnicy wyprowadzili na dziedziniec więzienia i ogniem z broni maszynowej wymordowali, a sami uciekli razem z wycofującym się wojskiem sowieckim. Cudem ocalało tylko kilka osób z tej grupy, a między nimi ksiądz Bukowiński. Ksiądz Władysław Bukowiński był charyzmatycznym kapłanem, proboszczem parafii przy katedrze łuckiej. Wiele dobra wyświadczył swoim parafianom. Osadzony w więzieniu łuckim w czasie okupacji sowieckiej, cudownie ocalał w czasie masakry więźniów przez sowiecką straż więzienną. Później wywieziony do łagrów sowieckich, pracował i prowadził tajną misję ewangelizacyjną. Po wielu latach łagru pozostał w Związku Sowieckim. Założył w Karagandzie parafię katolicką i mimo wielu przesładowań przetrwał tam do końca. Zmarł w Związku Sowieckim i tam jest pochowany. Ks. Władysław Bukowiński jest kandydatem na ołtarze. Trwają studia i badania związane z procesem jego beatyfikacji.

W pobliżu więzienia Walentyna z Paraską i Irenką ujrzały ogromną zbiorową mogiłę, bezimienną, bo dokumenty Sowieci też zniszczyli. Płonęły w tym miejscu tysiące świec, leżały pęki kwiatów, mnóstwo krzyżyków i obrazków religijnych. Wokół mogiły bardzo dużo ludzi stało, wielu klęczało, a wśród nich Walentyna i Irenka. Wielu płakało, a nawet głośno lamentowało. Wokół chodzili oficerowie niemieccy i robili zdjęcia. Takie krwawe piętno na pożegnanie pozostawiła tutejszej ludności okrutna władza sowiecka.

Walentyna powracała do domu w Czeremnem z uczuciem stanu zawieszenia – między rozpaczą a nadzieją: może ciało Waldemara znajduje się w tej mogile, a może on żyje i jest wśród tych, których wywieźli... Wracały tą samą drogą. Gdy jechały poboczem szosy Łuck – Równe, mijaly

je niekończące się kolumny samochodów z wojskiem niemieckim, jadące na wschód. Obok tych kolumn przemieszczały się oddziały na rowerach. Drugim poboczem szosy, w kierunku Łucka, Niemcy pędzili sowieckich jeńców wojennych. Odgłosy bombardowań przycichły. Świadczyło to, że Niemcy już wtargnęli daleko w głąb terytorium sowieckiego.

Walentyna wciąż była milcząca i zamyślona. Widziała to Paraska, której żal było przyjaciółki. Mówiła więc do niej:

– *Walentynoczka. Ne żurysia, ja uwierena szczo win żyw i Boh joho bude spasat'* (Walentyńko, nie martw się, jestem przekonana, że on żyje i Bóg będzie go chronił).

Gdy zjechały z głównego traktu i przejeżdżały przez Cumań i Derażne, ich koń opadł z sił i wymagał wypoczynku. Z trudem dotarły do Janowej Doliny. Tu większość mieszkańców stanowili Polacy. Zostały przez nich gościnnie przyjęte. Po spędzonej tam nocy, wypoczętym koniem ruszyły w kierunku Czeremnego. Miały jeszcze około dziesięciu kilometrów do domu, gdy w lesie natknęły się na uzbrojoną bandę cywili, Ukraińców, która ich zatrzymała. Herszt bandy spytał, kim są i gdzie jadą. Otrzymał odpowiedź, że obie są Ukrainkami i wracają do domu z Łucka, gdzie zginął ich ojciec. Nie wzruszyło to herszta bandy. Kazał im zejść z wozu i iść do domu pieszo. Paraska rozplakała się, prosząc:

– *Pomyłujcie, cej kiń i woz ne nasz tolko naszoho druha z Czeremnoho.*

– *A chto cej wasz druh w Czeremnem?* – spytał.

Paraska nie wiedziała, co mu powiedzieć, więc „palnęła”:

– *Uczytel Wołodia.*

Wyrażnie tym zaskoczony Ukrainiec po chwili powiedział:

– *Możete jichat'.*

Uwolnione ruszyły dalej, nie mając pojęcia, dlaczego ten człowiek zrezygnował z zabrania im furmanki.

W domu zastały Karolinę przy dzieciach. Walentyna, siłąc się na spokój, przywitała Witusia i Krysię, po czym chwyciła Karolinę za rękę i wyprowadziła do drugiego pokoju. Gdy zamknęła za sobą drzwi, zawisła na szyi swojej macochy, którą traktowała jak matkę, i wybuchła tłumionym dotychczas płaczem.

– *Co tobie, Walentynoczko moja?* – Karolina tuliła ją do siebie. – *Te twoje ślozy za ciebie gadają. Widno coś niedobrze z Waldemarem. A nu gadaj mnie wszystko, ryboczko moja.*

Gładziła przy tym Walentynę po włosach. Ta widocznie potrzebowała takiego matczynego ukojenia, bo przyłgnęła do niej i jękając się od wielkiego żalu, odrzekła:

– Mamo, on może już nie żyje...

I opowiedziała wszystko, co zaszło. Karolina z przejęciem wysłuchiwała jej relacji.

– *A taki ty ni wiesz co z nim je, może un z tymy co wywieźli i nadyjdzie czas, ży przyjdzie nazat du ciebie i waszych dzieci* – pocieszała pasierbicę.

Jednak dom, dzieci, jego pracownia jeszcze bardziej potęgowały jej żal i tęsknotę za nim, a ta jej wielka bezradność i niepewność tego, co go spotkało, rozdzierało jej serce.

Oboje – Jan i Karolina – czuli wielką potrzebę otoczenia opieką Walentynę. Dużą pomocą służyła jej wypróbowana przyjaciółka, Paraska. Także nowi sąsiedzi Walentyny, ukraińskie małżeństwo zamieszkałe w leśniczówce po deportacji Stefana i Adeli, byli dla niej życzliwi. Rodzice jednak chcieli, aby Walentyna z dziećmi przeniosła się do nich. Wtedy będą mieli ich pod stałą opieką. Na razie jednak Walentyna nie mogła się na to zdecydować, za bardzo była przywiązana do domu, w którym do niedawna był on, a każdy kąt i przedmiot przywoływał wzruszające wspomnienia.

Nagle pewnego dnia, ku wielkiej jej radości, jak niebiański anioł zjawiła się Irenka. Nie mogła pozostać bezczynna w sytuacji, w jakiej znalazła się rodzina Waldemara. Irenka przyjechała koleją, którą Niemcy już uruchomili. Udało się jej załatwić odpowiednie pozwolenie od okupantów na przejazd pociągiem, który zresztą obsługiwali zmuszeni do tego przez Niemców polscy kolejarze. W Kostopolu musiała zgłosić się na policję, aby odnotowano jej przyjazd, wszak toczyła się wojna i trwało ostre pogotowie. I tu opowiedziała Walentynie, jakie było jej zaskoczenie, gdy na korytarzu komisariatu podporządkowanej Niemcom policji ukraińskiej spotkała Wołodę w mundurze policyjnym.

– Ogromnie zdziwiona spytałam go, co tu robi. „Pracuję”, odpowiedział i wprowadził mnie do swego biura, gdzie poprosił, abym usiadła i sam usiadł w swoim fotelu. „Jestem tu komendantem policji ukraińskiej, proszę pani”. Mówił z pewną chępliwością. Niemile poruszona tą wiadomością, od razu zmieniłam temat: „Bo właśnie, proszę pana, wstąpiłam tu, aby zgłosić swój przyjazd, a przyjechałam na podstawie tej oto przepustki” i pokazałam niemieckie pozwolenie. „Rozumiem, że jedzie pani do Czeremnego?”, spytał. „Tak proszę pana”, odrzekłam. „Będzie trudność, bo jeszcze w tym kierunku nie ma komunikacji i droga nie jest bezpieczna. „Trudno, proszę pana, jakoś sobie poradzę”. Na co on: „Jako stróż porządku nie mogę pozwolić, aby moją szanowną koleżankę spotkała jakaś przykra przygoda”. Chwycił telefon i wezwał dyżurnego policjanta. Gdy ten się zameldował, rzekł do niego po ukraińsku: „Motorem z przyczepą odwieź tę panią do Czeremnego”. W ten sposób chępliwie zaprezentował mi swoją władzę – zakończyła Irenka. – No i jestem, aby być z tobą.

– Brak mi słów wdzięczności za to, że z takim narażeniem przybyłaś tu, aby mnie wspierać w ciężkiej dobie mojego życia – rzekła Walentyna, biorąc przyjaciółkę w objęcia.

I rzeczywiście, Irenka stała się dużym oparciem duchowym dla Walentyny w jej obecnym stanie psychicznym. Pomogła jej stawić czoła wobec dramatycznych realiów życia. Walentyna musiała zdobyć się na dzielność, żyć, wychowywać dzieci i czekać z wiarą i nadzieją na powrót męża. Rodzice Walentyny też bardzo ucieszyli się na przybycie Irenki.

A co działo się w Czeremnem po reżymie sowieckim i opanowaniu tych terenów przez Niemców? Zdecydowanej większości chłopów ta zmiana odpowiadała. Władza sowiecka zniszczyła ich gospodarstwa, wprowadziła podziały i skłóciła społeczność wiejską. Ponieważ kołchoz rozpadł się, chłopci stali przed dylematem, jak powrócić do stanu po komasacji gruntów. Trzeba by z powrotem przenosić swoje domy na poprzednie miejsca. Cieszyli się z tego, że powstaje ukraińska policja, ufali i wierzyli propagandzie niemieckiej, że po wojnie Ukraina będzie suwerennym państwem. Część z nich odnosiła się jednak do tych obietnic

z rezerwą, wszak podobne deklaracje padały ze strony Sowietów, a w rzeczywistości nic nie wskazywało na to, że zostaną spełnione.

Polacy też mieli nadzieję, że ta zmiana jest mniejszym złem, bo wprowadzie na miejsce jednego okupanta przyszedł drugi, ale wierzone, że ten drugi jest bardziej cywilizowany, bo idzie z zachodu i nie powinien być tak okrutny, jak ten sowiecki, azjatycki.

W najgorszej sytuacji był Szmul i jego rodzina. Pozbawiono ich osłony prawnej. Można było ich bezkarnie obrabować, a nawet zabić. To było okrutne i dotyczyło wszystkich Żydów. Tylko dlatego, że koegzystencja między Ukraińcami i Żydami trwała od wieków, większość nie czyniła im krzywdy, ale byli tacy, którzy korzystali z tego bezprawia i nachodzili Żydów w celach rabunkowych. Polacy też wkrótce zorientowali się, że ten nowy okupant rozbudził nacjonalizm ukraiński, wrogi zarówno Żydom, jak i Polakom.

Niebawem władze niemieckie nakazały spędzić Żydów do jednego sektora miasta Kostopola, gdzie powstało żydowskie getto. Ten nakaz dotyczył wszystkich Żydów w powiecie, ponadto musieli oni na własny koszt organizować swoją przeprowadzkę do getta. Szmul wynajął chłopską furmankę, na którą załadował tylko część najważniejszych rzeczy, jak żywność i odzież, i z całą rodziną wyjechał do Kostopola.

Chłopi w Czeremnem wracali na swoje grunty wytyczone komasacją. Trudny to był powrót. Gospodarka kolchozowa zniszczyła strukturę wsi, pozacierała granice posesji, zdewastowała ogrodzenia. Odnalezienie tych granic rodziło wiele sporów między poszczególnymi gospodarzami. Dokumentację zniszczono i to utrudniało rozstrzygnięcie granicznych waśni. Gdyby był Waldemar, pomógłby rozwiązać ten problem, mówili chłopi. Pewnego dnia sołtys przyszedł do Walentyny z zapytaniem, czy w pracowni jej męża nie ma planów komasacji Czeremnego.

– Nie wiem – odpowiedziała – ale pamiętam, że mój mąż wszystkie swoje opracowania przekazywał do powiatu.

– Czy możemy razem poszukać, może jakieś kopie znajdziemy? – pytał sołtys.

– Jak już mówiłam, mąż całą dokumentację przekazał do powiatu i tam należy jej szukać.

– Do powiatu daleko, więc może najpierw tu zobaczymy – upierał się sołtys.

– Proszę pana, ja nie jestem upoważniona przez męża do rozporządzania jego archiwami. To należy do niego, a ja jego pracownię i wszystko, co się w niej znajduje, traktuję jak muzeum, jak świętość.

Sołtys, chociaż był Ukraińcem, cały czas prowadził rozmowę w języku polskim, bo go znał. Teraz, podenerwowany, powiedział po ukraińsku:

– *Ne dołho budecej wasz muzej, wesnoj tut bude żyty lesnik* (niedługo będzie tu wasze muzeum, bo na wiosnę zamieszka tu gajowy).

Tego, co usłyszała od sołtysa, który podobnie jak Hryć i jeszcze kilku innych był człowiekiem Wołodii, Walentyna nie lekceważyła. „Oni na pewno zechcą zająć lokal po Waldemarze”, myślała. Jan i Karolina byli zdania, że Walentyna z dziećmi, nie czekając eksmisji, powinna przenieść się do nich. Jednak ona, chociaż podzielała zdanie rodziców, zwlekała z tą decyzją. Z tym mieszkaniem była bardzo związana uczuciowo. Tu spędziła najszcześniejsze dni swego życia. Często w napadzie ogromnej tęsknoty za Waldemarem uciekała do jego pracowni, aby oddychać tym samym co on powietrzem, patrzeć i dotykać jego rzeczy i w końcu aby tam, niewidziana przez dzieci, wypłakać się... Tu, w sąsiednim pokoju był ołtarzyk i obraz Ostrobramskiej, a właściwie dwa obrazy obok siebie: ten oryginalny i jego rzeźbiona replika. Wiele godzin spędziła tu na kolanach modląc się za niego – swojego ukochanego Waldka.

Jej tęsknotę i uczucie samotności kompensowały dzieci. Gdy była przy nich, chłoneła ciepło ich ciał. One najbardziej przypominały jej Waldka, one pachniały nim, jak kwiaty otrzymywane kiedyś od niego... Wituś był bardzo podobny do ojca. Miał już cztery latka. Kryśka skończyła roczek i już stawiała na nóżki. „Jak by się cieszył Waldek, widząc ją”, myślała. Bardzo pomagała jej też serdeczność rodziców, ich opiekuńczość, szczególnie Karoliny, która zastępowała jej matkę... A teraz duże ukojenie wniosła również Irenka, która była z nią, rozumiała, dawała nadziei i pomagała we wszystkim, szczególnie w przetrwaniu niedoli. Mieszkanie w leśniczówce, w odczuciu Walentyny, miało tę jeszcze zaletę i urok, że było w sąsiedztwie lasu. Tylko że ten las już

nie był taki, jaki podziwiała w czasie wycieczek z Waldemarem. Został okaleczony, żałosny...

Północny Wołyń był bogactwem dzikiej, dziewiczej natury drugiej RP, szczególnie lasów. W szponach grabieżczych okupantów zmieniał swoje oblicze. Okupant sowiecki pożerał najwspanialsze knieje w okolicy Czeremnego i w całym powiecie kostopolskim, także łuckim, sarnińskim i kowelskim. Szczególnie ucierpiały lasy iglaste, bo jeśli ich nie wycięto, to uszkodzono *podsoczką*. Na wyciętych obszarach nie posadzono ani jednego drzewka. Okaleczona natura sama usiłowała goić rany. Na porębach wyrastały samosiewki, niestety – karłowate i chore. Zły człowiek zmienił warunki klimatyczne sprzyjające porostowi lasów. Na wyciętych obszarach wysychała gleba, znikwały bagna i moczary, ginęło ptactwo leśne i wodne. Tę rabunkową eksploatację lasów kontynuował następny okupant – Niemcy. Cierpiał na tym tutejszy człowiek, zawsze żyjący w symbiozie z przyrodą, cierpiała zwierzyna leśna.

\*\*\*

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, dla Walentyny pierwsze święta bez Waldka. Był adwent i okres roratnich nabożeństw. Walentyna odwoziła dzieci pod opiekę dziadków i z Irenką jechały konikiem do kościoła. Droga prowadziła przez ten sam las, niewycięty, bo jeszcze zbyt młody. Specyficzny nastrój tych nabożeństw: półmrok, przyciszona gra organów i takiż śpiew organisty kojarzył się Walentynie z czasem, kiedy klęczeli tu razem z Waldkiem. Tu przecież, przy tym ołtarzu powiedzieli sobie sakramentalne „tak”. Półmrok osłaniał płynące łzy, które dyskretnie wycierała.

Kolacja w wieczór wigilijny odbyła się u rodziców. Gdy stół już został nakryty i zastawiony, Wituś, który cieszył się widokiem choinki, ale też rozumiał, że jest to niezwykle wieczór, w pewnym momencie zwrócił się do mamy z pytaniem:

– Mamo, czy dziś z nami będzie nasz tata?

To pytanie dziecka było dla Walentyny dopełnieniem czary goryczy. Nie była w stanie dziecku odpowiedzieć. Uciekła do sąsiedniego pokoju i wybuchła spazmatycznym płaczem. Witusiem zajęli się dziadkowie,

a Irenka poszła za Walentyną. Usiadła przy niej na kanapie, objęła ją i w milczeniu tuliła do siebie, aż do czasu, gdy ta się uspokoiła. Moment łamania się opłatkiem i wzajemnych życzeń też wymagał zachowania spokoju i panowania nad wzruszeniami. Życzono sobie zdrowia i doczekania wolnej Polski. Po kolacji ktoś próbował zainicjować śpiewanie kołęd, ale dla wszystkich było to za trudne. Zbyt ponury był nastrój. Z powodu zimna i zamieci śnieżnej zrezygnowano z wyjazdu na Pasterkę.

W czasie świąt Lipińscy gościli rodzinę Marianów. Przyszedł Franio ze swoją żoną, Bronką. Mieli synka w wieku Witusia. Dzieci bawiły się i biegały wokół choinki. Starsi rozmawiali na różne tematy, ale dominiowały sprawy związane z aktualnymi wydarzeniami: sytuacją ludności żydowskiej zgromadzonej w gettach, coraz większym zagrożeniem ludności polskiej ze strony ukraińskich nacjonalistów. Pocieszano się też wzajemnie, opowiadając różne przepowiednie, z których wynikało, iż wrogowie poniosą klęskę i Polska będzie od morza do morza. Po Nowym Roku Irenka wyjechała do domu, a Walentyna z dziećmi z żalem opuściła mieszkanie w leśniczówce i zamieszkała z rodzicami.

Hryć, szkolny kolega Walentyny, okazał się najaktywniejszym działaczem wśród nacjonalistów ukraińskich w Czeremnem. Był on prawą ręką Wołodii. Teraz z karabinem na ramieniu, w czarnym mundurze szucmana ukraińskiego chodził po ulicach Kostopola. Był postrachem Żydów i nieprzejednanym wrogiem Polaków. Często odwiedzał Czeremne. Miał tu rodzinę – rodziców i siostrę. Ostentacyjnie chodził po wsi z karabinem. Bywało, że przyjeżdżał do Czeremnego w towarzystwie jakiegoś cywilnego urzędnika czy funkcjonariusza. Wówczas w świetlicy szkolnej urządzano wiece, na których ten cywil przemawiał do zebranych ukraińskich chłopów. Paraska i Hordij mówili, że ten człowiek podburzał Ukraińców przeciw Polakom i Żydom. Nie wszyscy chłopci ulegali jego agitacjom, ale byli tacy, którzy mówili:

– *Prawdu każe* (prawdę mówi).

I rzeczywiście, już od początku roku 1942 nasiliła się działalność nacjonalistycznych emisariuszy ukraińskich. Ostrze ich agitacji skierowane było przede wszystkim przeciw ludności polskiej. Oczywiście, przeciw

żydowskiej też, ale w tym wypadku ówczesne zarządzenia niemieckie pozbawiły już tę zbiorowość podstawowych praw ludzkich. Żyda można było bezkarnie obrabować, a nawet zabić. W tym wypadku nacjoniści ukraińscy mieli wolną rękę. Prowodyrom nacjonalistycznym zależało na tym, aby podobne zbrodnicze bezprawie móc stosować do ludności polskiej, co dałoby im możliwość fizycznego wyeliminowania Polaków z Wołynia i pozostałych województw wschodniej Małopolski. W tym kierunku próbowali nakłonić Niemców. Ci jednak, aczkolwiek byli protektorami nacjonalistów ukraińskich i mamili ich wizją niepodległej Ukrainy, nie wydali edyktu skazującego ludność polską na całkowitą eksterminację w takim stopniu jak żydowską, chociaż dyskryminowali Polaków i nie bronili ich przed terrorystami ukraińskimi. Tarcia i wrogość między Ukraińcami i Polakami bardziej im odpowiadały niż ewentualna solidarność tych grup etnicznych. Skłóconą ludność łatwiej utrzymać w ryzach. Na razie Niemcy udawali, że są sojusznikami Ukraińców, ponieważ (jak się później okazało) potrzebowali ich pomocy w planowanej eksterminacji ludności żydowskiej.

Niemcy, podobnie jak Sowieci, obciążali ludność wiejską daninami na rzecz armii niemieckiej. Różnica polegała na tym, że Sowieci za świadczenia w naturze symbolicznie płacili. Niemcy natomiast dokonywali rekwizycji, nie płacąc nic. Sołtys dostawał polecenie dostarczenia określonej ilości: zboża, bydła mięsnego, koni i trzody chlewnej, a także siana. Potem według własnego uznania ustalał wysokość tych zobowiązań dla poszczególnych gospodarstw. W Czeremnem najdotkliwiej obciążał gospodarstwa polskie.

Jan dostał nakaz dostarczenia furi siana, przy czym musiał je zawieźć do Kostopola. Następnie zażądano od niego oddania jednego konia. Nie było szans na odwołanie. Po naradzie rodzinnej poświęcono na tę rabunkową daninę kasztanka, który był zbyt piękny, aby udało się go uratować od następnej rekwizycji. Ten drugi koń prezentował się znacznie gorzej, ale był silniejszy i wytrwalszy w ciężkiej pracy. Nie minął tydzień, a sołtys zażądał od nich oddania krowy. Jan posiadał tylko dwie, mleko i nabiał było podstawowym produktem ich żywienia. Karolina poszła

do sołtysa z prośbą o zwolnienie ich od tego haraczu. Płakała, prosząc go, aby wziął pod uwagę, że mają dwoje dzieci, dla których zawsze musi być mleko. Okazało się, że sołtysowi nie chodziło o krowę. On potrzebował siodło na konia, które miała Walentyna, a żądanie krowy było tylko szantażem. Oczywiście, dano mu siodło i krowa pozostała w oborze. Wkrótce okazało się, że kasztanek znalazł się w posiadaniu Hrycia i tylko brakowało mu siodła. Później widywano go, jak konno jeździł po wsi. Hryć wiedział jednak, że Waldemar miał dwa konie pod siodło, stąd też po kilku dniach sołtys przyszedł do Jana i powiedział:

– Macie przecież dwa siodła, jedno siodło to za mało za jedną krowę, dajcie drugie.

Jan porozumiał się z Walentyną i bez dyskusji oddali drugie.

\*\*\*

Nadeszły sianokosy roku 1942. Przy pięknej pogodzie gospodarze w Czeremnem kosili i suszyli siano. Jan z córką zgrabiali wysuszoną trawę i układali ją w kopice. W tym czasie przyszedł do nich Hordij, zaprzyjaźniony z Janem Ukrainiec, z niewiarygodną wieścią:

– *Wy czuły? W Riwnym Nimci i szucmany wybyły wsich żydyw: czołowiwi, baby, detyny taj starikiw. Wsiech, het' wybyły, simnatsat' tysiacz ludej...* (Czy słyszeliście? W Równym Niemcy i szucmani wymordowali wszystkich Żydów: mężczyzn, kobiet, dzieci i starców. Wszystkich wymordowali – siedemnaście tysięcy osób).

Walentyna i Jan patrzyli na Hordija z niedowierzaniem.

– *Co wy gadacie, Hordij, to niemożliwe!* – rzekł Jan.

– *Ce prawda* – potwierdził chłop i dodał jeszcze – *Ja czuł, szczo wsich Żydów wybiut', de tolko ony jeść* (Słyszałem, że wszystkich Żydów wybijają, gdzie tylko oni są).

Hordij trzymał w rękach grabie, widocznie też grabił siano i po tych słowach odszedł do swojej pracy. Walentynie i Janowi opadły ręce. Stracili chęć do pracy. Z grabiami w dłoniach stali i patrzyli na siebie. Wreszcie Jan rzekł:

– *Widno to jakaś brechnia, kudy jim wybić tyle narodu* (To chyba nieprawda. To niemożliwe, aby wymordować tylu ludzi na raz).

W milczeniu, przygnębieni, skończyli pracę i wrócili do domu. Wieczorem przyszedł sąsiad Marian i powiedział, że o tym, co stało się w Równem, mówi cała wieś.

– Podobno – mówił Marian – żydowskie getto w Kostopolu jest całą dobę strzeżone przez policję z psami.

Minęło kilka dni. Chłopi w Czeremnem zaczęli rozpowiadać, że podobnie jak w Równem, wymordowano Żydów w Kostopolu. Hordij mówił, że jego sąsiad był w Kostopolu i to potwierdza. Powiedział mu ów sąsiad, że wie od Hrycia, iż to samo dzieje się we wszystkich miastach Wołynia. Była to przerażająca wiadomość dla Polaków. Jeżeli to jest prawdą, oznacza fizyczną likwidację całej żydowskiej grupy etnicznej Wołynia. Taka zbrodnia nie zdarzyła się w historii tej ziemi. Żydzi żyli tu od wieków. „Po wymordowaniu Żydów, zabiorą się za nas”, mówiono wśród Polaków.

Tymczasem pewnej nocy ktoś delikatnie zapukał do okna Janowego domu. Usłyszała to Karolina. Obudziła męża, mówiąc:

– *A nu Janku, wstawaj! Uundzio o ktoś puka w okno.*

Jan podszedł do okna i spytał:

– *Chato ntam?*

– To ja, Lejbuś Szmul.

Jan spojrzał przez szybę i i ujrzał tylko głowę. Było zbyt ciemno, aby poznać twarz, ale głos był znajomy.

– *A nu podyjć du drzwi.*

Ostrożnie uchylił drzwi i wtedy stwierdził, że rzeczywiście jest to Lejbuś. Wpuścił go do środka i spytał, co spotkało jego rodzinę.

– Wszyscy nie żyją, tylko ja uciekłem – odparł chłopak. – Jestem głodny i nie mam gdzie się przespać. Nie mogę u was w domu, bo to niebezpieczne dla was, ale proszę, pozwólcie w oborze lub stodole, bo zanoszą się na deszcz. Nie jestem sam, jest ze mną mój kolega, który czeka na mnie poza waszą zagrodą.

Karolina już przygotowywała im posiłek, a Jan powiedział, że mogą w stodole, na sianie spędzić resztę nocy, a skoro świt on ich obudzi, aby za dnia ukryli się w lesie.

Tej nocy Jan już nie zasnął. Siedział i myślał. Gdzie te biedaki się podzieją? U niego niebezpiecznie. Policja będzie podejrzewała przede wszystkim Polaków, że pomagają Żydom.

Przyszła mu na myśl broń Waldemara, którą kiedyś ukrył w dziupli starego dębu, koło leśniczówki. Był to karabin i rewolwer z zapasem amunicji. On, Jan, nigdy ich nie będzie potrzebował. A gdyby tę broń dać Lejbusiowi? Byłby bezpieczniejszy. On przecież odbył obowiązkową służbę wojskową w polskim wojsku. Potrafi posługiwać się bronią. Tak też postąpił. O świtaniu obudził obu mężczyzn i powiedział Lejbusiowi, gdzie ukryta jest broń. Na pożegnanie w podziękowaniu Lejbuś ucałował rękę Jana i szybko z kolegą opuścili stodołę, po czym zniknęli w szarości poranka.

Od tej nocnej wizyty minęło kilka dni. W Czeremnem pokazał się Hryć na koniu. Po masakrze Żydów w Kostopolu miał już czas, mógł odwiedzać rodzinę i paradować po wsi na kasztanku. Któregoś dnia przyjechał z drugim szucmanem, który też jechał konno, i we dwóch objeżdżali wieś. Nazajutrz we wsi zauważyć można było duże poruszenie. Mówiono, że w drodze do Kostopola obaj szucmani wpadli w zasadzkę i zginęli. Pierwszym potwierdzeniem tego był kasztanek, który bez jeźdźcy zjawił się przy stajni u rodziców Hrycia.

Ciała Hrycia i jego kolegi przywieziono do wsi. Obaj byli odarci z mundurów i butów, no i oczywiście bez broni. Nikt z Polaków nie żałował szucmanów, a szczególnie Hrycia. Wielu Ukraińców też go nie lubiło za jego pychę i współpracę z sołtysem w wyznaczaniu kontrybucji dla Niemców. Pogrzeb Hrycia odbył się w Czeremnem z udziałem popa i honorowego oddziału szucmanów pod dowództwem Wołodii. Była salwa honorowa i przemówienia.

Około tygodnia później, w nocy, znów rozległo się pukanie do okna Janowego domu. Przyszedł Lejbuś. Był ubrany w mundur szucmana, na jego ramieniu zawieszony był karabin, a u boku na pasie rewolwer. Jan od razu rozpoznał, że jest to broń wydobyta z dziupli dębu, ale mundur szucmana świadczyłby o tym, że ten incydent z szucmanami to sprawa Lejbusia. Zapytany, potwierdził to przypuszczenie i dokładnie opisał

przebieg wydarzenia. Otóż obaj z kolegą, uzbrojeni w karabin i pistolet, kręcili się wokół Czeremnego i obserwowali Hrycia. W dniu, kiedy zobaczyli dwóch szucmanów na koniach, uznali, że jest szansa załatwienia ich obu. Szybko oddalili się kilka kilometrów od Czeremnego w kierunku Kostopola i w dogodnym miejscu urządzili zasadzkę. Czekali bardzo długo, ale w końcu doczekali się. Obaj szucmani jechali obok siebie i rozmawiali. Strzały oddane zostały z małej odległości, stąd ich skuteczność. Koń Hrycia, pozbywszy się jeźdźca, spłoszony pogalopował do Czeremnego, a tego drugiego musieli dobić, gdyż w czasie strzelaniny został ranny. Mundury i buty bardzo im się przydały. Do Lejbusia i jego kolegi dołączył jeszcze jeden uciekinier. Było ich teraz trzech. Każdy miał karabin i pistolet.

– Marzymy o zdobyciu jakiejś broni maszynowej – dodał Lejbuś. – Myślę, że nadarzy się jeszcze taka okazja. Może też jeszcze ktoś do nas dołączy. Sporo młodych mężczyzn uciekło i tułają się gdzieś po okolicy. Przyszedłem wam podziękować za broń i już odchodzę. Mamy co jeść i dobre miejsce do spania.

I odszedł. Po tym spotkaniu Jan znów nie usnął do rana. Z uznaniem myślał o tych chłopcach i miał satysfakcję, że dzięki niemu powstała ta bojówka. Potem, w ciągu dnia, wszystko opowiedział żonie i córce, a one z wielkim zainteresowaniem słuchały i zadawały pytania. Ustalili między sobą, że dla bezpieczeństwa zachowają to w tajemnicy, nawet przed polskimi sąsiadami.

\*\*\*

Rozpoczęły się żniwa. Jan z żoną i córką uwijali się w skwarze upalnego dnia. Obok, w cieniu drzewa, baraszkowały dzieci. Witoldzik miał obowiązek opiekować się Krysią, a oboje byli pod czujnym okiem Walentyny. Wieczorem załadowany snopami wóz jechał do stodoły, a na nim siedział dziadek z wnukami

Gospodarstwo Jana, za czasów sowieckich zakwalifikowane do kulackich, było poważnie rozgrabione, a gdy powstał kołchoz, zabrano mu połowę ziemi. Teraz, po likwidacji kołchozu, tę ziemię mu zwrócono, ale

Jan nie miał zamiaru jej uprawiać i przeznaczył na pastwisko dla krów i konia. Wychodził z tego założenia, że im większe będzie miał zbiory, tym większe będą kontrybucje. Zboża siał tyle, ile potrzebowały do konsumpcji jego rodzina i zwierzęta: krowy, koń, świnie i ptactwo domowe, plus kontrybucje. Targi (jarmarki) upadły, ponieważ podczas trwania jarmarków Niemcy dokonywali rekwizycji sprzedawanych towarów. Uprawiano natomiast handel pokątny, najczęściej wymienny. Wielkim problemem było mielenie zboża. Wszystkie młyny pracowały dla Niemców. Ludzie musieli wrócić do mielenia zboża w żarnach. Każdy starał się zdobyć lub sam wykonywał żarna. Były to dwa ciężkie dyski kamienne. Jeden z nich miał w środku otwór. Kamienie leżały na sobie, przy czym ten z otworem był na wierzchu. Odpowiednio obudowane, podczas obrotu tego górnego kamienia gniotły i rozcierały na mąkę sypane przez otwór ziarna zboża. Trzeba dodać, że przylegające do siebie powierzchnie kamieni miały wykute odpowiednie wgłębienia, które wciągały mielone zboże i powodowały, że będący w obrocie (w ruchu) górny kamień wibrował pionowo i skutecznie gniótł i rozcierał ziarno. Posługiwanie się tym urządzeniem wymagało dużego wysiłku, gdyż kamień wprawiano w ruch obrotowy ręcznie. Służył do tego drewniany trzpień, zamocowany w górnym kamieniu, który chwytało oburącz i kręcono wokół osi żaren. Takie żarna pracowały wieczorami niemal we wszystkich gospodarstwach.

Niektórzy mieli domowe gorzelnie. Z żyta pędzili samogon, tak zwany *bimber*. W handlu pokątnym mogli za niego dostać inne deficytowe towary, np. sól, cukier czy naftę.

\*\*\*

Sytuacja wojenna była niepomysłna. Niemcy walczyli na przedpolach Moskwy i Leningradu. Na południowym skrzydle frontu doszli już do Wołgi i rozpoczęli walkę o Stalingrad. Ich zagony górskiej piechoty docierały już do Kaukazu. Na zachodzie naszego kontynentu panowali niczym niezagrożeni, ba, wysłali nawet korpus ekspedycyjny do Afryki, co groziło przejęciem przez nich pól naftowych na Bliskim Wschodzie.

Tego wszystkiego Walentyna dowiadywała się z radia, zwłaszcza słuchając audycji w języku polskim z Londynu. Radio to, kiedyś bardzo pomysłowo przez Waldemara ukryte w szafie, służyło jej nadal.

Sytuacja na Wołyniu była coraz gorsza. Nie było już ludności żydowskiej, którą niemal w całości wymordowano. Nieliczni, którym udało się zbiec, byli stopniowo wyłapywani i zabijani przez policję ukraińską. Dochodziły wieści, że za ukrywanie Żydów mordowano wszystkich członków polskich rodzin, a nawet całe kolonie.

O Lejbusiu i jego bojówce słuch zaginął. Może działał gdzieś w od-dali od Czeremnego, bo wśród ludności ukraińskiej mówiono, że gdzieś ponoć zginęło czterech szucmanów, którzy jadąc furmanką wpadli w zasadzkę jakichś bandytów. Jan i jego rodzina domyślali się, że owi „bandyci” to prawdopodobnie Lejbuś i jego bojówka.

W Czeremnem nie było już wprawdzie groźnego dla Polaków Hrycia, ale wieś odwiedzali inni szucmani, a z nimi nacjonalistyczni emisariusze, podburzający Ukraińców przeciw Polakom. Uczyli młodych Ukraińców szowinistycznej pieśni, która brzmiała: *Smert', smert' Lacham, Smert' żydowsko mosowskij kiomuni* (Śmierć, śmierć Polakom, śmierć żydowsko-moskiewskiej komunie).

Jesienią 1942 roku huraganowy pochód wojsk niemieckich na wschód został wyhamowany. Pierwsze porażki Niemcy ponieśli w walkach na przedpolach Moskwy, a na południowym froncie toczyli krwawe walki o Stalingrad, który skutecznie się bronił. Także w Afryce korpus niemiecki poniósł porażki. To wytracenie impetu wojsk niemieckich na wschodzie było dla nich groźne. Zbliżała się zima, rosyjska zima. Niemcy nie byli na nią przygotowani, brakowało odpowiedniej, zimowej odzieży. Zmotoryzowane i pancerne jednostki niemieckie, które były główną siłą uderzeniową, w warunkach zimowych straciły swoją mobilność. Ta nieszczęsna dla Niemców zima zaczęła się już w listopadzie. Radio Londyn podawało też, że Sowieci otrzymali dużą pomoc w żywności, odzieży i broni od Amerykanów. Dzięki tej pomocy ruszyła na Niemców sowiecka ofensywa.

\*\*\*

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Dla Polaków smutne. Ludność polska żyła osaczona przez szucmanów i Niemców. W rodzinie Jana nadal nie wiadano, jaki los spotkał Waldemara i czy w ogóle on żyje. Natomiast radio podało pocieszającą wiadomość: cała południowa armia niemiecka, pod dowództwem feldmarszałka Paulusa, została okrążona przez wojska sowieckie. Hitler ciska się i wścieka, ale jest bezradny. Niezwykle ostra i śnieżna zima rosyjska sparaliżowała obronę okrążonej armii i uniemożliwiła przyjsie jej z pomocą, udaremniła nawet zaopatrzenie jej w amunicję, żywność i ciepłą odzież.

W styczniu 1943 roku radio Londyn podało, że cała armia Paulusa skapitulowała i znalazła się w sowieckiej niewoli. Był to wyraźny przełom w sytuacji wojennej. Niemcy stracili kilkanaście doborowych dywizji, w wyniku czego powstał gigantyczny wylom we froncie wschodnim. Od tego czasu ograniczyła się ofensywna aktywność wojsk niemieckich, które zmuszone zostały do działań defensywnych. O klęsce stalingradzkiej pisała oficjalna prasa niemiecka i informowało radio. Jednak propaganda goebelsowska dalej głosiła niemiecką dominację militarną, a o klęsce stalingradzkiej wspominała jako o przegranej bitwie, która nie przeszkodzi Niemcom wygrać wojny. Wśród Polaków mówiono, że na froncie wschodnim Niemców pokona „generał Mróz”.

\*\*\*

Mijały mroczne dni okupacji. Walentyna ciągle miała nadzieję i oczekiwała cudu odnalezienia i powrotu męża. Dzieci rosły, Witoldzik miał już sześć i pół roku, a Krysia dwa latka i cztery miesiące. Dziewczynka pięknie się rozwijała, już chodziła, a mówiła na razie jedno słowo – „mama”. Na szyjce miała zawieszony medalionik, ale na niezbyt luźnym łańcuszku, tak aby dziecko nie mogło włożyć medalionika do buzi. Natomiast Witoldzik nosił medalionik na normalnej długości łańcuszku. Dzieci były otoczone miłością nie tylko ze strony matki, ale też dziadków. W czasie obiadu Witoldzik najbardziej lubił siedzieć obok dziadka, a Krysia na kolanach babci Karoliny, która ją karmiła.

Był wieczór drugiej połowy lutego 1943 roku. Jan w pocie czoła kręcił żarna, Karolina krzątała się przy kuchni, a Walentyna przygotowywała dzieci do snu. Naraz ktoś zapukał do drzwi i do izby wszedł sąsiad Franio. Według tutejszego zwyczaju pozdrowił gospodarzy słowami:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

W odpowiedzi usłyszał:

– Na wieki wieków amen.

Wyglądał jakby był czymś poruszony. Karolina podkręciła knot lampy, aby światło było lepsze i podsunęła mu krzesło mówiąc:

– *A nu usiądź i gadaj, co tam nowego.*

– *Ooo, nic dobrego ja wam nie powie. Ja ni wim, czy wy słyszeli, co gadajo chłopcy z Czeremnego. Ony gadajo, że całe polskie kolonie Parośle jakaś banda het wyrznęła. Sto siedemdziesiąt dusz tam żyło i wszystkich wybili. Ony gadajo, że to zrobili jakieś Ukraińcy.*

Parośle to duża polska kolonia w sąsiednim powiecie sarnieńskim. Jan wstał od żarna i patrząc na gościa rzekł:

– *Co ty gadasz, Franiu? Tyle narodu wybili?! Toż to ni możebne żep Ukraińcy, które jest krzescijany, tak robili.*

– *Anu wybili, ono ja nie wim, czy to prawda, czy brechnia. Tak gadajo u nas Ukraińcy.*

I tak dyskutowali o tej przerażającej wiadomości, mając jednak nadzieję, że to makabryczna plotka. Gdy Franio odszedł w domu, zapadła ponura cisza. Dzieci już spały, Jan przestał obracać żarna i zapalił fajkę, kobiety siedziały i z troską rozmyślały, tylko gdzieś pod piecem miarowo cykał domowy świerszcz. Wreszcie w tej ciszy zabrzmiał głos Jana:

– *Prawda czy brechnia to widno wszędzie, że my Polaki ni mamy ni jakij obrony. Chto bedzie nas bronił? Szucmany czy Niemcy? Ony same mogo nas mordować. Ukraińców je dużo, a nas Polaków sztyry razy mniej i choć ni wszystkie Ukraińcy to bandyty, to ony, te dobre Ukraińcy, ni majo nic du gadania. Bandyty zrobio tak jak zechco, bo za nimi stojo szucmany.*

– *Zgadzam się z tatą. Szucmani wymordowali ludność żydowską, to kto ich powstrzyma od mordowania Polaków, Niemcy? Oni też są naszymi wrogami, a poza tym mają swoje wojenne problemy.*

– *Jak widno, ni wimy ani dnia, ani godziny* – zakończyła Karolina i w tym smutnym nastroju położyli się do snu.

Zaledwie usnęli, obudziło ich pukanie do okna. To był Lejbuś. Jan otworzył mu drzwi i wprowadził do kuchni. Lejbuś powiedział, że nie jest sam, że jest ich sześciu. Prosił o pozwolenie spędzenia nocy w stodole. Jan się zgodził i poprosił, aby Lejbuś po zaprowadzeniu swoich towarzyszy do stodoły przyszedł do niego na rozmowę. Gdy ten wrócił, Jan zapytał, czy coś wie o tym, co stało się w Paroślu. Okazało się, że Lejbuś dużo wiedział o tym tragicznym wydarzeniu.

– Tę zbrodnię popełnili nacjonaściści ukraińscy i to dopiero początek ich planów „oczyszczenia” tych terenów od innych nacji. Nie ma już Żydów, teraz będą usiłowali wyeliminować Polaków. Właśnie przyszedłem was ostrzec, abyście byli czujni i obserwowali, co się wokół was dzieje. Jest nas teraz sześciu dobrze uzbrojonych ludzi. Gdybyśmy byli gdzieś w pobliżu i usłyszeli, że na coś złego się zanosí, przyjdziemy wam z pomocą. Ale my musimy często zmieniać teren, aby nas nie wysłedzili. Poza tym mamy zamiar dołączyć się do partyzantów sowieckich, którzy już coraz liczniej przybywają na te tereny.

Jan był bardzo zaniepokojony tym, co usłyszał o zamiarach ukraińskich nacjonalistów w stosunku do Polaków. Rozumiał, że Lejbuś, krążąc w terenie, był dobrze zorientowany i nie lekcewał jego przestrogi. Karolina w tym czasie ugotowała duży sagan kartofli, dodała do nich sera, śmietany i przekazała Lejbusiowi, aby zaniósł swoim kolegom.

Tragedia w Paroślu, a także przestrogi Lejbusia przygnębiająco podziały na samopoczucie rodziny Jana. Liczono się z tym, że każdej nocy mogą przyjść bandyci. Jednak na razie nic na to nie wskazywało. Jan doszedł do wniosku, że należy porozmawiać o tym z Hordijem. Miał zaufanie do tego chłopca i ciekaw był usłyszeć jego zdania na ten niepokojący temat. Do zagrody Hordija było niedaleko. Jan, widząc go krzątającego się koło obory, podszedł i opowiedział o trapiącym go problemie. Nie wspomniał tylko o swoich kontaktach z Lejbusiem Szmulem. Hordij słyszał o zbrodni w Paroślu. Uspokajał jednak Jana, że w Czeremnem może czuć się bezpiecznie. Twierdził, że nikt z tutejszych ludzi na sąsiadów

Polaków ręki nie podniesie. A kiedy Jan twierdził, że mogą tu przyjść ludzie obcy, Hordij odpowiedział, że od takich tutejsi Ukraińcy ich obronią. Jednak Jan wracał do domu wcale nieuspokojony. Hordij, myślał, to dobry człowiek i innych mierzy swoją miarą. Walentyna w rozmowie z Paraską dowiedziała się, którzy ludzie we wsi są związani z Wołodią. Tym ludziom nie można było ufać.

W tych dniach niepokoju Polacy z Czeremnego zebrali się u Jana na naradę. Wszyscy byli zgodni co do tego, że bezpieczeństwo Polaków jest zagrożone. Widać to było po zachowaniu niektórych Ukraińców, zwłaszcza tych młodych. Ustalono między sobą dyżury nocne. Chodziło o to, ażeby w razie podejrzanych ruchów we wsi ostrzec rodziny polskie, żeby się w porę ukryły gdzieś w polu, poza zagrodą.

W pierwszej połowie marca 1943 roku policja ukraińska (szucmani) opuściła Niemców i wyszła w teren. Już kilka dni później, nocą, na niebie pokazały się łuny pożarów. Okazało się, że płonęły osiedla polskie, a ich mieszkańców okrutnie mordowano. Sprawcami tych zbrodni była policja i zwerbowana przez nią młodzież ukraińska. Teraz nawet Hordij zmienił zdanie. Przyszedł do Jana i mówił.

– *Wtekaite, puki można.*

Polskie rodziny w Czeremnem nie mogły zwlekać. Dla ratowania życia musiały przenieść się do ośrodków skupiających większą populację ludności polskiej. Po naradzie uznano, że najbliższą taką miejscowością jest Janowa Dolina. Polacy stanowili tam około 95 procent populacji osiedla i było ich około 3000 osób. W Janowej Dolinie stacjonował nieduży garnizon wojska niemieckiego i linia kolejowa do Kostopola. Nie było chwili do stracenia. Trzeba było zostawić swój dom, dorobek całego życia i uciekać w nieznane. Walentyna nie wiedziała, co ma uczynić z obrazami Ostrobramskiej. Zabrać z sobą – mogą zostać zniszczone. W tej sytuacji oba obrazy postanowiono przenieść do chaty Hordija. Lud ukraiński, także ten prawosławny, żywił głęboki kult do Matki Bożej i Walentyna miała nadzieję, że powierzenie im obrazów jest najlepszym wyjściem. Na pożegnanie cała rodzina uklękła przed obrazami i odmówiła modlitwę. Hordij i jego żona z wielką czcią ucałowali obrazy i przyrzekli, że będą je

strzegli do czasu, gdy właściciele je odbiorą. Wszyscy, Jan, jego żona i ich polscy sąsiedzi mieli nadzieję, że opuszczają swoje domy tylko na pewien czas. Gdy się wszystko uspokoi, wrócą tu.

Jak wcześniej ustalono, docelowym miejscem ucieczki była Janowa Dolina. W pośpiechu pakowano najniezbędniejsze rzeczy: przede wszystkim odzież, pościel, mąkę, chleb, kaszę i soloną słoninę. Do wozu przytroczono na łańcuchu krowę. Hordij zgodził się im pomóc. Podjechał swoim wozem, na który przeładowano część rzeczy i pewnego kwietniowego dnia skoro świt wyruszyli. Za nimi jechały wozy ich sąsiadów. Utworzyła się spora kolumna polskich uchodźców z Czeremnego.

Nie była to droga bezpieczna. W każdej chwili groziły im bandycki napad i śmierć. Dla większego bezpieczeństwa Hordij prowadził kolumnę uchodźców w pobliżu torów kolejowych, gdzie było bezpieczniej. Koleją jeździły patrole niemieckie i bandy trzymały się z dala od nich.

W godzinach popołudniowych dotarli do Janowej Doliny. Tu zastali już sporo innych uchodźców. Komitet osiedlowy wskazał im miejsce, gdzie mogą się zatrzymać i przydzielił jakąś kwaterę pod dachem. Nazajutrz Hordij odjechał. Żegnając się z nim, Jan dziękował i prosił o zaopiekowanie się jego domem.

I tak rodzina znalazła się w tłumie stłoczonych uchodźców z beznadziejną, budzącą lęk perspektywą przyszłości. Jednak i w tych warunkach trzeba było jakoś żyć. W ciągu dnia Jan pasł krowę i konia na zieleniących się już łąkach u brzegu Horynia, a na noc prowadził je na ogrodzone boisko sportowe. Walentyna zajmowała się dziećmi, a Karolina przygotowywała posiłki, gotując je na ognisku pod gołym niebem. Tak musiało sobie radzić wielu zgromadzonych tu uchodźców. Te ciężkie warunki życia były jednak problemem drugorzędnym. Najgorszy był lęk, lęk przed nocą, czy minie spokojnie, lęk przed jutrem... Ten stan niepokoju potęgowały nocne łuny, a w czasie dnia dymy kłębiące się nad płonącymi polskimi osiedlami. Wołyń znalazł się nagle w ogniu strasznego terroru, którego rozmiaru i okrucieństwa nikt wcześniej nie przewidywał. Świadczyli o tym przybywający do Janowej Doliny uchodźcy: przerażeni, poparzeni, ranni, ubrani tylko

w bieliznę, bo bandyci napadli ich w czasie snu. Organizacja osiedlowa w Janowej Dolinie z troską opiekowała się nimi. Najbardziej pokrzywdzonych lokowano w pośpiesznie zaimprovizowanym szpitalu. Zajęli się nimi lekarze, którzy też byli wśród uchodźców.

Liczono się z tym, że każdej nocy może nastąpić atak band. Na skuteczną obronę nie było szans. W osiedlu znajdowało się tylko kilka karabinów i trochę strzelb myśliwskich, które jednak trzymano w ukryciu. Na zorganizowanie samoobrony pod bokiern garnizonu niemieckiego nie było możliwości. Wreszcie rada osiedla wysłała delegację do Niemców z prośbą o pomoc. Niemcy zawsze uważali Ukraińców za swoich sojuszników, ale teraz, gdy szucmani od nich odeszli, nie ufali im, chociaż też nie walczyli z nimi. Podobnie, Ukraińcy nie atakowali Niemców. Garnizon niemiecki w Janowej Dolinie nie był duży, ale dobrze ufortyfikowany. Z Kostopolem Niemcy utrzymywali łączność radiową, stamtąd drogą kolejową dostarczano im zaopatrzenie. Kolej była więc silnie strzeżona przez zmotoryzowane patrole niemieckie z Kostopola.

Delegację polską Niemcy przyjęli, ale nie obiecali obrony w razie napadu. Rozumieli sytuację Polaków i życzyli im skutecznej obrony. Wyrazem tego było przydzielenie kilkunastu karabinów dla zorganizowania samoobrony. Pojawiła się więc możliwość legalnej organizacji obronnej. Niemcom zależało na sąsiedztwie polskiego osiedla. Jego istnienie dawało im większe bezpieczeństwo od północnej flanki ich fortu.

W osiedlu zorganizowano uzbrojony oddział, który miał swoje stanowiska obserwacyjne i zadanie powstrzymania ewentualnego ataku. Nie było jednak umocnień – szanów ani zasieków z drutu kolczastego. Liczono na to, że bandyci nie odważą się zaatakować tak dużego zgrupowania Polaków (około 4000 tys. osób) pod bokiern garnizonu niemieckiego.

Warunki, w jakich ulokowana była rodzina Jana, były spartańskie, takie zresztą, jak wszystkich uchodźców. Jan i Karolina zajmowali jeden kąt w piwnicy budynku. Obok nich, w drugim piwnicznym pomieszczeniu, w podobnym kącie ulokowała się Walentyna z dziećmi. Spali na pościeli ułożonej na podłodze, a nawet na betonowej posadzce. Nikt nie narzekał

na warunki życia w obliczu śmiertelnego zagrożenia. Walentyna bała się myśleć o przyszłości, nawet tej najbliższej. W jaki sposób zapewni bezpieczeństwo, ale i odpowiednie wyżywienie oraz higienę dzieciom? Taki dramat ludności polskiej zgotowali ich ukraińscy sąsiedzi.

\*\*\*

Był Wielki Tydzień, kaplica w osiedlu Janowa Dolina była otwarta całą dobę. Ludzie adorowali wystawiony Najświętszy Sakrament. Walentyna z dziećmi codziennie uczestniczyła we mszy świętej. Nastął Wielki Piątek, 23 kwietnia, wieczór. Walentyna czuwała przy śpiących dzieciach. Około północy usłyszała strzały z kierunku od Horynia. Obudziła Witusia i kazała mu się ubrać. Chłopczyk miał już sześć i pół roku. Był dzieckiem posłusznym i inteligentnym. Walentyna zauważyła, że na swój sposób rozumiał sytuację, bez oporu i grymaszenia ubrał się i siedział przy matce. Strzały nasilały się i słychać było krzyki wielu ludzi. Krzyki narastały, aż urosły do potwornej wrzawy. Zrozumiała, że to napad, że banda zbliża się do ich domu. Naraz usłyszała przeraźliwy krzyk ludzi w sąsiednim pomieszczeniu, w którym byli jej rodzice. Ten krzyk trwał krótko. Potem przez drzwi zaczął przedzierać się dym, coraz większy dym, a w końcu płomienie. Znajdujących się za drzwiami ludzi spalono żywcem płonącą benzyną.

Nie było sekundy do stracenia, dym dusił i gryzł w oczy. Ludzie wyskakiwali przez okno do ogrodu i uciekali w pole. Walentyna też kazała Witusiowi wyskoczyć, po czym z Krysią na rękę zrobiła to samo. Uciekali w pole, Walentyna niosła Krysię, a przed nią biegł Wituś. Za nimi słychać było wrzawę bandytów i gęstą strzelaninę, świst pocisków i jęki ludzi. Walentyna z Krysią na rękę ciągle jeszcze biegła, widząc przed sobą uciekającego Witolda. W pewnym momencie została trafiona przez pocisk. Padła na ziemię, tracąc świadomość.

Ludzie uciekali w ciemności przed siebie, byle dalej od bandytów. Nie wszyscy jednak zdolni byli do ucieczki. Osoby starsze, dzieci, rodziców niosących dzieci czy ludzi chorych albo dosięgały pociski albo dopadali bandyci i zabijali kolbami karabinów, siekierami lub nożami. Niektórzy

z uciekających chwyтали w biegu i nieśli dzieci, których rodzice zginęli. Inni pomagali w ucieczce osobom rannym. Główna grupa uchodźców kierowała się do Kostopola, trzymając się blisko kolei. Ci po pewnym czasie zobaczyli nadjeżdżający z Kostopola pociąg, który zatrzymał się w polu. Żandarmi niemieccy, wśród których byli Ślązacy znający język polski, pomogli uciekinierom wejść do wagonów i gdy wszystkie były już wypełnione ludźmi, pociąg odjechał do Kostopola. Na stacji ludzi wyładowano z wagonów i pociąg wracał po następnych.

Rozmiary kłęski Polaków w Janowej Dolinie były ogromne. Początkowo nikt nie potrafił określić jej wielkości. Dopiero później obliczono, że zginęło ponad sześćset osób. Część z nich spalono w domach, część padło od kul lub siekier naszych kainowych braci – Ukraińców.

Główna masa uderzeniowa bandytów nadeszła z kierunku Derażne około północy. Cicho zbliżyli się do osiedla, zmasowanym ogniem zlikwidowali słabą samoobronę i z okrzykami „*Smert' Lacham!*” bardzo liczna grupa napastników niosących benzynę i snopki słomy dopadła i podpaliła budynki. Ludzie śpiący w piwnicach nie mieli szans ucieczki – spłonęli żywcem. Byli wśród nich Jan z Karoliną. Ci, którzy zdążyli wyskoczyć przez okna, ginęli od kul i siekier.

W ciągu niespełna godziny piękne, nowoczesne osiedle polskie przestało istnieć. Ludzie zostali wymordowani lub ratując życie uciekli. Budynki spalono. Niemcy biernie przyglądali się rzezi ludności polskiej. Dopiero później sprowadzili pociąg do ewakuacji uciekających ludzi.

Nie wszyscy uchodźcy uciekali w kierunku Kostopola. Ogarnięci paniką biegli przed siebie, aby dalej od ognia bandytów. Gdy dopadli lasu, zaczęli przedzierać się przez bagna i moczary w kierunku kolei Kostopol – Sarny. Grupa uciekinierów dotarła do Stepania i Huty Stepańskiej. Nikt nie wie, ilu z uciekających zostało schwytanych i zamordowanych przez bandy rezonów.

Tej Wielkopiątkowej nocy do Kostopola dotarło kilkaset, a może nawet ponad tysiąc osób, którym udało się zbiec z tego pogromu. Ich obraz był okropny. W oczach nie wygasł im jeszcze ogień grozy. Chodzili i poszukiwali się wzajemnie. Matki i ojcowie rozpaczliwie szukali swoich

dzieci, dzieci szukały rodziców. Wielu w tej panicznej ucieczce pogubiło swoich najbliższych. Wielu było poparzonych lub rannych, niektórzy bliscy obłądu. Poszkodowanym udzielali pomocy Polacy z Kostopola, a nawet ambulans niemiecki, który przyjechał do miejsca zgromadzenia uchodźców. Najboleśniejszy obraz przedstawiały małe dzieci bez rodziców, wyniesione z „pola śmierci” przez przypadkowych uciekinierów. Spora grupa tych dzieciaków siedziała na trawniku i płacząc wołała mamę. Niektóre jeszcze nie potrafiły chodzić, inne już biegały. Kilka starszych osób opiekowało się nimi.

Polskie społeczeństwo Kostopola niosło pomoc uchodźcom. Dostarczono wodę, chleb, gorące posiłki, a także odzież i koce. Gdy zbliżał się wieczór, Niemcy podstawili pociąg towarowy i wszystkim ludziom zdolnym do pracy, a także ocalałym rodzinom kazali wejść do wagonów. Później podstawiono drugi pociąg – dla pozostałych uchodźców: chorych, rannych, starych i dzieci bez rodziców. Oba składy stały na stacji przez całą noc. W tym czasie do Kostopola docierali jeszcze błakający się po terenie uchodźcy, którzy w wagonach szukali swoich bliskich.

O świcie oba składy ruszyły. Ten z ludźmi zdolnymi do pracy wyruszył w kierunku Sarn i Kowla, w drodze do Niemiec. Ten drugi, z ludźmi słabymi i dziećmi bez rodziców, jechał do Równego. Na dworcu kolejowym w Równem uchodźców z Janowej Doliny oczekiwała grupa Polaków: lekarze, księża i siostry zakonne z rówieńskiego sierocińca.

Gdy otworzono wagon z dziećmi, usłyszano przejmujący płacz i wołania „Mamo!”, inne wyczerpane leżały lub spały. W wagonie było kilka opiekujących się nimi kobiet. Część dzieci trafiła do polskich rodzin, pozostałe zostały zabrane przez zakonnice do ochronki. Osoby chore i stare odwieziono do przytułku, prowadzonego przez instytucję kościelną.

\*\*\*

Dzieci, które znalazły się w ochronce, siostry wykąpały, nakarmiły i ułożyły do snu. Było ich siedmioro: trzy dziewczynki i czterech chłopczyków. Zajęła się nimi siostra Kazimiera. Jedna dziewczynka już chodziła, a pozostałe dzieci były mniejsze. Niektóre siadały samodzielnie i stawia-

ły na nóżki. Siostra Kazimiera z wielką troskliwością opiekowała się tymi maleństwami, które tak niedawno jeszcze miały rodziców i tak nagle zostały sierotkami. Starła się zastąpić im matkę. Nie znano imion i nazwisk dzieci. Najstarszą dziewczynkę, tę, która chodziła i mówiła już „Mama”, siostra poddała próbie. Wymieniając różne imiona zauważyła, że dziecko reaguje na imię „Krysia”. A więc pewnie takie ma imię. Przy kąpeli spostrzegła na szyi dziewczynki osobliwy medalik z wizerunkiem Matki Bożej Ostrobramskiej. „Zatem jest to dziecko z rodziny katolickiej i ochrzczone. Ten medalik na pewno zawiesiła jej matka”, myślała siostra Kazimiera.

Ochronka była przed wojną dużym, dobrze wyposażonym sierocińcem, utrzymywanym z dotacji urzędu wojewódzkiego. Niedaleko sierocińca, na peryferiach miasta, siostry miały gospodarstwo rolne. Było tam kilka dziesięcin żyznej ziemi ornej i znacznie więcej pastwisk i łąk. W obrębie gospodarstwa znajdowała się obora, w niej kilka krów, a obok w stajni koń. Był też dom, w którym mieszkała rodzina. Ojciec tej rodziny prowadził to gospodarstwo przy udziale siostr z sierocińca. Miały więc siostry swoje warzywa, ziemniaki i świeże mleko dla sierot. W czasie sowieckiej okupacji siostry wyrzucono z sierocińca i urządzono w nim tak zwany *Dieckij dom*. W roku 1941, gdy okupant sowiecki odszedł, a jego miejsce zajął okupant niemiecki, siostry wróciły do sierocińca. Za okupacji niemieckiej warunki były ciężkie, ale placówka ubogo i skromnie egzystowała nadal. Główną troską siostr była higiena i dobre odżywianie ich dzieci, a dzięki swej ofiarnej pracy cel ten osiągały.

\*\*\*

W mieście Równe ludność polska czuła się bezpieczniej niż w małych miasteczkach. Stacjonowało tu dużo wojska niemieckiego. Bandy, unikając z nim konfrontacji, trzymały się z daleka. Natomiast w terenie wokół Równego wrzało jak w kotle. Świadczyły o tym nocne łuny i kłębiące się dymy za dnia. Potwierdzali to też uchodźcy, którzy dzień i noc przybywali do miasta. Ci ludzie stracili najbliższych i dorobek całego życia. Wielu, nie mając środków do życia i dachu nad głową, decydowało się na wyjazd na przymusowe roboty do Niemiec.

Sytuacja wojenna Niemców bardzo się pogorszyła. Na froncie wschodnim, po klęsce stalingradzkiej, Niemcy przegrali bitwę pod Kurskiem. Ta przegrana bitwa sił pancernych była przełomem w sytuacji wojennej. Odtąd Niemcy całkowicie utracili zdolność ofensywną i przeszli do defensywy. Wojska sowieckie parły na zachód. Front wschodni zbliżał się do granic Polski. Sytuację Niemców komplikował ruch partyzancki, z dobrym skutkiem działający na tyłach ich wojsk frontowych. Partyzanci wysadzali mosty, minowali tory, atakowali mniejsze oddziały niemieckie na drogach i w terenie. Było ich coraz więcej. Mieli za zadanie było paraliżowanie zaplecza wojsk niemieckich. Nie mając natomiast rozkazu walki z nacjonalistami UPA (Ukraińskiej Powstańczej Armii), unikali konfrontacji z nimi. Bandy UPA też nie wchodziły im w drogę.

Taki bieg historycznych wypadków sprawił, że ludność polska znalazła się w sytuacji śmiertelnego zagrożenia, pozostawiona sama sobie, rozproszona i bezbronna. Usiłowała się jednak bronić. Polski lud kresowy, z natury łagodny i liryczny, był też twardy i mężny. Cechy te rozwinął w sobie w czasie dziejowych walk i zamętów na tych burzliwych terenach. Powstawały więc polskie oddziały samoobrony. Kto miał, wyciągał z ukrycia jakąś strzelbę myśliwską, karabin, granat czy rewolwer. Inni osadzali kosy na sztorc, chwyтали widły, cepy, siekiery. Powstało wiele takich placówek, ale obrońcy otoczeni przez wielokrotnie silniejsze bandy, mimo bohaterskiej obrony, ginęli z całymi swoimi rodzinami. Dłużej wytrzymały liczniejsze i lepiej zorganizowane polskie samoobrony, jak na przykład w powiecie kostopolskim Huta Stepańska odparła wiele ataków, zanim w końcu upadła, ulegając wielokrotnie silniejszemu napastnikowi – UPA. Bandyci wymordowali tam kilkaset osób. Na skutek ludobójczej akcji terrorystów z UPA na północnym Wołyniu do czerwca 1943 roku ludność polska w głównej swej masie przestała istnieć. Obroniła się tylko i do końca przetrwała samoobrona w Przebrażu, w powiecie łuckim. W lipcu tegoż roku bandy UPA przeszły do ataku na ludność polską w części zachodnio-południowej Wołynia i miały tam swoje krwawe żniwa. Bilans tej zbrodni dla samego Wołynia wynosi ponad 60 tys. ofiar.

Zbliżał się front wschodni. W listopadzie do Równego dochodziły już odgłosy walk. Niemcy przygotowywali się do obrony miasta. Pędzili ludność miasta do kopania rowów przeciwczołgowych. Niewiele to pomogło. W styczniu 1944 roku wojska sowieckie z marszu zdobyły miasto. Niemcy wycofali się w kierunku Łucka i Kowła. Wkrótce garnizon niemiecki w Kowlu został okrążony przez wojska sowieckie. Trwały tam zażarte walki. Lotnictwo niemieckie nocami intensywnie bombardowało Równe. Mimo że sierociniec był oddalony od centrum miasta, bomby padały w jego pobliżu. Sowieci zwiększyli ilość artylerii przeciwlotniczej. Strasznie, ale i pięknie wyglądało nocne niebo, przecinane smugami reflektorów piszących po niebie, krzyżujący się z sobą. I tam, gdzieś wysoko, chwyciła swoim światłem wraży samolot, który po chwili otoczony był błyskami rwących się pocisków artyleryjskich. Niemcy stracili kilka samolotów i zaniechali nalotów na Równe.

W mieście uspokoiło się, ale nastały wielkie trudności aprowizacyjne. Wieś nie dostarczała żywności do miasta. Na targu stragany były puste. Polskich gospodarstw już nie było, a Ukraińcy na razie bali się jechać z towarem do miasta. W mieście zapanował głód. Grupki ludzi ryzykując wychodziły poza miasto do najbliższych wsi ukraińskich i tam, na drodze wymiany, zdobywały coś do jedzenia. Sierociniec nie miał tych problemów. Zapasy z własnego gospodarstwa i mleko zapewniały wyżywienie dzieci. Dziewczynka o imieniu Krysia rosła i rozwijała się pięknie. Miała trzy i pół roku i potrafiła już mówić. Bardzo przywiązała się do siostry Kazimiery. Dziecko to było kochane przez wszystkie siostry, ale przez siostrę Kazimierę szczególnie. Nauczyła Krysię mówić do niej „babciu”, co jeszcze bardziej budowało serdeczną więź między nimi.

Front szybko posuwał się na zachód. Jesienią 1944 Lublin był już wolny od Niemców, a walki toczyły się nad Wisłą. Podano do ogólnej wiadomości, że na konferencji w Jałcie mocarstwa zachodnie, na wniosek Stalina, zgodziły się, aby granica wyzwolonej od Niemców Polski przebiegała wzdłuż rzeki Bug. Tak więc Wołyń znalazł się poza jej granicami. Władze sowieckie ogłosiły, że Polacy z Kresów Wschodnich mogą prze-

siedlić się do Polski w jej nowych, pojałtańskich granicach. Jeżeli ktoś z Polaków życzyłby sobie pozostać w ZSRR, musi zadeklarować i podpisać akt obywatelstwa sowieckiego. Polacy już doświadczyli, co to jest władza sowiecka...Nie było chętnych do takich deklaracji i każdy Polak decydował się na przesiedlenie do Polski w nowych granicach. Nie była to łatwa decyzja. Opuścić ziemię, która od wieków należała do Polski...

Skazanie Polaków na wygnanie z ojczystej ziemi uświęconej ich krwią było dziejową niesprawiedliwością i okrucieństwem, usankcjonowanym przez naszych zachodnich sojuszników. To była zdradziecka decyzja wymierzona w naród, który pierwszy przeciwstawił się hitlerowskiej agresji i opuszczony przez swoich sojuszników fizycznie uległ dwóm barbarzyńskim napastnikom. Nie uległ jednak duchowo i do końca wojny bohatersko walczył na wszystkich frontach świata, zgodnie z hasłem: „Za wolność naszą i waszą”. Nie bacząc na to, bezprawnie zabrano naszemu krajowi i przyłączono do ZSRR osiem wschodnich województw, a żyjącą tam ludność polską rugowano z tych terenów.

Powstał tak zwany Polski Urząd Repatriacyjny (PUR), który we współpracy z władzami sowieckimi miał zadanie organizowania przesiedleń ludności polskiej z Kresów Wschodnich w granice pojałtańskiej Polski. Ten masowy exodus ludności polskiej niesłusznie nazwano repatriacją. Faktycznie była to ekspatriacja, gdyż dotyczyła autochtonicznej ludności, która zmuszona była opuścić swój rodzinny kraj. W myśl programu tej „repatriacji” Polacy musieli opuścić swoje domy i ziemię. Mogli zabrać ze sobą majątek ruchomy, jak meble, odzież, zwierzęta domowe, żywność, ale też w ograniczonej ilości. Tę część dóbr ruchomych, która nie mieściła się w limitach wagowych i przestrzennych i której nie mogli zabrać ze sobą, mogli sprzedać lub komuś oddać.

Zaczęły się więc przesiedlenia. Rodziny polskie otrzymywały wagon towarowy, a w niektórych wypadkach dwa wagony, do których ładowano swoje rzeczy oraz dobytek i z całą rodziną jechano do Polski w nowych granicach. Początkowo, gdy kraj nasz jeszcze nie w pełni był uwolniony od Niemców i na zachodnich terenach trwały jeszcze walki, przesiedlanych lokowano w województwie lubelskim lub białostockim. Później,

gdy front dotarł do Odry i poza nią, przesiedleńców osadzano na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych.

Sierociniec z Równego szykował się do przesiedlenia. Siostronom przydzielono dwa wagony: jeden osobowy – dla dzieci i personelu, drugi towarowy – na dobytek i paszę dla zwierząt. W tym osobowym musiało się zmieścić dwadzieścioro dzieci i sześć sióstr, niezbędny sprzęt, pościel, odzież i żywność, w towarowym dwie krowy i pasza dla nich. Rodzina, która mieszkała na gospodarstwie sióstr, dostała oddzielny wagon, a siostry oddały im konia i jedną krowę.

Jesienią 1944 roku transport wyruszył w kierunku Lublina. PUR przydzielił siostronom budynki jakiegoś opuszczonego majątku w województwie lubelskim. Osadzono tam też towarzyszącą im rodzinę. Zgodnie z ustawą, przesiedleńcy otrzymali zapomogę – jakąś skromną kwotę pieniędzy na głowę przesiedleńcy, również na dzieci. Trzeba było urządzić się w opuszczonym budynku. Zapewnić dzieciom odpowiednie warunki: wyżywienie, higienę i ciepło. To było głównym zadaniem sióstr. Zbliżała się zima, a z nią problem ogrzania budynku, i wyżywienia krów, które były karmicielkami dzieci. Siostry zabrały się do restauracji zaniedbanych pomieszczeń. Szybko jednak przekonały się, że potrzebny jest poważniejszy remont, wymagający specjalistów i środków finansowych. Dwie siostry udały się do odpowiednich władz Lublina i przedstawiły swoje położenie. Spotkały się tam ze zrozumieniem i obietnicą pomocy. Na wizję lokalną przybył z Lublina inspektor z urzędnikiem PUR-u. Wkrótce sierociniec został objęty kuratelą wojewody. Do ośrodka przybyła ekipa remontowa, która wykonała niezbędne naprawy w całym budynku, łącznie z dachem. Siostry otrzymały farbę i same odmalowały pomieszczenia. Wkrótce przywieziono drewno opałowe, a ośrodek został objęty stałą pomocą finansową. Były więc pieniądze na odzież dla dzieci, na żywność i paszę dla krów.

\*\*\*

Mijała dość ostra zima roku 1944/1945. W marcu leżała jeszcze dość gruba warstwa śniegu, ale już zanikającego. Starsze dzieciaki z sierocińca

pod kierunkiem i opieką siostry lepiły bałwany. Najlepiej wychodziło to Krysi, która jako czteroletnie dziecko samodzielnie ulepiła bałwanka tak dokładnie, że miał rysy twarzy i elementy ubioru. Siostra Kazimiera była zachwycona talentem dziewczynki i zapowiadała, że jej ukochana Krysia będzie artystką.

A potem nastąpiła wiosna. Wokół sierocińca zazieleniły łąki, pokazały się bociany, jaskółki, a wieczorami koncertowały słowiki. Krowy wyszły z dusznej obory i od rana delektowały się młodą, smaczną trawą. Siostry szykowały się do prac polowych. Gospodarz zorał już duży areal gruntu.

Wtem ogłoszono koniec wojny. I chociaż już od roku nie słyszało się odgłosów walk, to jednak wiadano, że wojna jeszcze trwa i gdzieś tam daleko giną i cierpią ludzie. Toteż ogłoszenie pokoju przyniosło radość i ulgę. Polacy jednak ciągle jeszcze nie wiedzieli, jak to będzie się żyło w tej nowej Polsce i jakie ostatecznie będą jej granice.

W tym czasie siostry zostały powiadomione, że decyzją władz sierociniec zostaje zaliczony do zakładów opiekuńczych i będzie przeniesiony na tereny ziem odzyskanych do miasta Gliwice. Organizacja i przeniesienie ośrodka odbędzie się na koszt państwa – tak brzmiała treść decyzji wręczonej siostrom na piśmie. Termin wykonania: lipiec 1945 r. Ta decyzja wywołała wielkie poruszenie wśród sióstr. Ledwie zdążyły się urządzić, a już muszą się przenosić... Do sierocińca przybył urzędnik odpowiedzialny za jego przeniesienie i poinformował, że na nowym miejscu jest gotowy obiekt, kompletnie wyposażony, więc siostry mają zabrać tylko te rzeczy, które będą potrzebowały w podróży. Oczywiście, nie było mowy i możliwości zabrania z sobą krów, oddano je więc gospodarzowi.

Warunki do podróżowania były dobre. Sierociniec otrzymał dwa wagony. W jednym z nich była jadłodajnia. Pociąg jechał z Lublina, przez Warszawę-Pragę, do Poznania i przez Wrocław do Gliwic. Po drodze mijano miasta zniszczone przez wojnę. Warszawę w gruzach widziano z Pragi – przez Wisłę. Wrocław również był całkowicie zburzony. Kiedy transport ochronki przejeżdżał przez to miasto, widać było dymy jeszcze niewygaszonych pożarów.

Obiekt przeznaczony na sierociniec był jak na owe czasy luksusowy. Piękne dwie sypialnie dla dzieci, oddzielna dla personelu, wyposażone w odpowiednie łóżka i pościel, bawialnia dla dzieci i jadalnia, a obok kuchnia zaopatrzona w naczynia i zapasy żywności. Najbardziej jednak fascynowały sanitariaty, które były przystosowane dla dzieci. Przed domem był ogrodzony plac, gdzie dzieci w okresie letnim mogły biegać i bawić się. Obiekt ten pozostawili Niemcy, którzy w obawie przed zbliżającą się armią sowiecką uciekali na zachód. Tak było na całym terenie uwolnionym od Niemców. Wiele miast, przeważnie mniejszych, zostało opuszczonych przez mieszkańców, którzy zabierali z sobą tylko niezbędniejsze rzeczy i całymi rodzinami, najczęściej pieszo, ciągnąc naładowane wózki, uciekali w głąb Vaterlandu. Znamienne jest, że opuszczając dom, niczego w nim nie niszczyli, tak jakby wyszli i wkrótce mieli wrócić. Można przypuszczać, że taka była mentalność Niemców – odznaczająca się szacunkiem do swojej własności: co sam stworzyłeś, nie niszcz. Inaczej odnosili się do dóbr swoich sąsiadów i gdy do nich wtargnęli, zabijali ludzi i niszczyli ich mienie. W opuszczonych przez Niemców domach pozostały meble, radioodbiorniki, pościel, a w gospodarstwach wiejskich sprzęt rolniczy, bydło, trzoda chlewna i drób. Ten żywy dobytek w większości został zagarnięty przez wojsko sowieckie. Budynki i meble przejęły rodziny polskie, wypędzone z polskich Kresów. Dużą szkodę wyrządzili tak zwani *szabrownicy*, którzy przybywali z Polski centralnej i plądrowali opuszczone budynki, wywożąc meble, kredensy i sprzęt domowy. Później władze polskie ukróciły tę samowolę.

Był to czas, kiedy społeczeństwo polskie nabierało głębokiego oddechu, goiło rany po tragedii wojennej. Dominującą rolę polityczną miały wtedy dwie partie: Polskie Stronnictwo Ludowe i Polska Partia Socjalistyczna. Obie zachowały polski patriotyczny charakter. Miały one wpływ na władze administracyjne w wielu województwach. Polska Partia Robotnicza (komunistyczna) dopiero się organizowała. Jednak władza centralna: PKWN i KRN była w rękach Stalina. I chociaż wtedy jeszcze Bolesław Bierut chodził na procesję Bożego Ciała, a w wojsku polskim na porannym apelu śpiewano *Kiedy ranne wstają zorze...*, służyło to tylko

uśpieniu czujności narodu polskiego. W tym czasie specjalne jednostki wojskowe: Korpus Bezpieczeństwa Wojskowego i Urząd Bezpieczeństwa, we współpracy z NKWD, urządziły w terenie obławę na żołnierzy i partyzantów polskich, którzy nie akceptowali reżymu komunistycznego w Polsce. Propaganda mówiła, że jest to walka z resztkami nazistów niemieckich. W więzieniach mordowano patriotów polskich. O tym zajęty odbudową kraju naród nie wiedział. W ten podstępny sposób, stopniowo „Ojciec Narodów” – Stalin chwycił w swoją żelazną rękę naród polski. Ta pozorna demokracja trwała od zakończenia wojny do końca roku 1947. Później nastąpiła ponura rzeczywistość komunistyczna – aresztowania patriotów polskich, atak na Kościół katolicki, na biskupów i księży, rugowanie zakonnej służby pielęgniarskiej ze szpitali, likwidacja szkół katolickich i zawłaszczanie mienia kościelnego.

Sierociniec w Gliwicach na razie działał bez przeszkód. Niektóre dzieci zostały z czasem adoptowane przez rodziny. Na ich miejsce przyszły inne, często niepełnosprawne. Chętnych na adopcję Krysi było wielu, ale ona nie chciała, mówiąc, że najlepiej jej jest z babcią Kazimierą. Ta z kolei całym sercem i duszą pragnęła mieć Krysię przy sobie.



Nadszedł rok 1947. Krysia skończyła już siedem lat i powinna rozpocząć naukę. Dziecko nie miało nazwiska. W tej sytuacji siostra Kazimiera z pomocą prawnika sądownie nadała nazwisko dziecku. Ponieważ Krysia uważała ją za swoją babcię, a i ona traktowała dziewczynkę jak swoją wnuczkę, we wniosku do sądu wpisała swoje rodowe nazwisko. Sąd w swoim orzeczeniu to przyjął i potwierdził. Odtąd Krysia w wykazie pierwszoklasistów figurowała jako Krystyna Wrońska. To wpłynęło na jeszcze silniejszy emocjonalny związek pomiędzy opiekunką i podopieczną.

Tak się dobrze złożyło, że szkoła znajdowała się w pobliżu sierocińca. Siostra Kazimiera codziennie odprowadzała tam Krysię, a po lekcjach zabierała ją do sierocińca. Dziecko bardzo dobrze się uczyło. Siostra Kazimiera urządziła jej kącik w swojej celi zakonnej, gdzie Krysia w ci-

szy i spokoju mogła odrabiać zadane lekcje; miała tam też półkę na swoje zeszyty i książki.

W roku następnym, gdy Krysia była już w drugiej klasie, władze nagle zadecydowały, że sierociniec będzie instytucją świecką i wyznaczyły siostrą krótki termin na opuszczenie obiektu. Był to wielki wstrząs dla zakonnic, dzieci natomiast jeszcze o tym nie wiedziały. Zostawić ukochane sierotki i iść w nieznane... Celem i zadaniem tego zakonu było niesienie pomocy chorym, słabym, bezdomnym i osieroconym dzieciom. Teraz tej posługi im się odmawia... W tej sytuacji siostry udały się do kurii metropolitalnej. Biskup po rozważeniu sprawy obiecał siostrą znalezienie jakiegoś lokalu i utrzymanie sierocińca ze środków charytatywnych. Tu jednak powstał nowy problem. Władze nie zgadzały się na to, aby siostry, odchodząc,abrały z sobą dzieci. Wreszcie, na skutek usilnych prośb, zgodziły się oddać dzieci kalekie i te najmniejsze – niemowlęta. W odniesieniu do Krysi i innych starszych dzieci sytuacja była dramatyczna. Kurator nie chciał się zgodzić, aby odeszły one razem z siostrą Kazimierą. Po długich staraniach ze strony sióstr i kurii poztawiono Krysię. Pomogły w tym dokumenty stwierdzające, że Krysia jest adoptowaną wnuczką Kazimierą. W końcu również innym starszym dzieciom, o których wiedzano, że też były bardzo przywiązane do sióstr, pozwolono pozostać w zakonnym sierocińcu.

Zakonnice znów stanęły przed wielkim trudem adaptacji nowego pomieszczenia na sierociniec. Pracowały ciężko, ale główną rolę przy remoncie pomieszczeń odegrał wolontariat: murarze, malarze, elektrycy. Materiał dostarczyła kuria. Działo się to w czasie wakacji. Zanim zaczął się rok szkolny, dzieci zostały przeniesione do nowego miejsca. Krysia musiała zmienić szkołę, gdyż do dotychczasowej miałyby za daleko. Tak więc trzecią klasę rozpoczęła w nowej szkole, w której panowały inne zasady. Nie było modlitwy przed rozpoczęciem nauki ani po jej zakończeniu. W szkole nie było katechezy i rodzice posyłali dzieci na naukę religii do kościoła, gdzie była tak zwana salka katechetyczna. Mimo że nauka religii nie była obowiązkowa, a jej ocena nie była wpisywana na świadectwo, zdecydowana większość dzieci uczestniczyła w lekcjach religii w salce katechetycznej.

Krysia była najstarszym dzieckiem w sierocińcu. Uczyła się bardzo dobrze i nie sprawiała żadnych trudności wychowawczych. Była uzdolniona plastycznie. Jej rysunki i malowane obrazki były wysoko oceniane w szkole i podziwiane przez siostrę Kazimierę i jej współsiostry, zdołały tablicę prac dziecięcych w sierocińcu jako najlepsze. Dziewczynka przejawiała chęć pomocy siostronom w pracy. Lubiła lepić pierożki w kuchni, ale nade wszystko opiekować się i bawić z dziećmi z sierocińca. Nadszedł rok, kiedy Krysia przystąpiła do Pierwszej Komunii Świętej. Dziecko bardzo przeżyło to pierwsze świadome przyjęcie Sakramentu. Za poradą siostry Kazimieri ofiarowało je za swoich rodziców. Medalik z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej, który, jak mówiła siostra Kazimiera, prawdopodobnie zawiesiła jej na szyi mama, Krysia zawsze – i w czasie Pierwszej Komunii również – miała przy serduszku.

Dziewczynka lubiła się modlić. Imponowała jej też rola i misja sióstr zakonnych. Pewnego razu, gdy była w piątej klasie, zwróciła się z pytaniem do siostry Kazimieri:

– Babciu, czy kiedy dorosnę, będę mogła zostać zakonnicą? – i dodała – bo bardzo bym chciała.

Zaskoczona pytaniem siostra Kazimiera chwilę myślała, po czym gładząc ręką włoski Krysi powiedziała:

– Kochana Krysiu, to bardzo piękne marzenie, ale ty jeszcze jesteś dzieckiem. Powinnaś bardzo gorąco modlić się, aby Bóg pomógł ci rozpoznać twoje powołanie. Na razie przed tobą nauka i trwanie w dobrym.

\*\*\*

Przyszły czas nasilających się represji na Kościół: aresztowanie prymasa, sianie podziałów wśród hierarchii na wszystkich szczeblach, grabież mienia kościelnego i ograniczanie roli Kościoła w wychowaniu oraz formowaniu postaw młodzieży i dzieci. Szkoły katolickie i sierocińce, mimo że materialnie niewspomagane przez państwo, były kontrolowane nie tylko od strony dydaktyczno-wychowawczej, ale też pod kątem stanu higieny i wyżywienia. Utrzymywany przez charytatywne

środki diecezjalne sierociniec w Gliwicach, nękany przez wojewódzkich kuratorów, przetrwał najgorsze czasy represji – aż do śmierci Stalina w roku 1953 – i doczekał odwilży politycznej w październiku 1956 roku. Krysia była już w trzeciej klasie liceum ogólnokształcącego i nadal mieszkała przy swojej babci Kazimierze. Wszystkie siostry zakonne z sierocińca lubiły ją i uważały za swoją wychowankę. Były dumne z jej osiągnięć plastycznych i doskonałych wyników nauki. Aby nie być obciążeniem dla zgromadzenia zakonnego, Krysia starała się swoją pracą dla sierocińca rekompensować koszty wyżywienia i dachu nad głową. Nawet lubiła tę pracę i nie wyobrażała sobie bezczynności w czasie wolnym od nauki. Zbliżał się czwarty, przedmaturalny rok liceum. W większości młodzież miała już ustalony pomaturalny kierunek studiów. Krysia nadal w cichości ducha pragnęła poświęcić się stanowi zakonnemu i w związku z tym postanowiła podjąć studia teologiczne. Powiernica jej marzeń, babcia Kazimiera gorąco modliła się za swoją podopieczną, jej zaś mówiła:

– Dobrze, że pragniesz w tym kierunku studiować. Nasze zgromadzenie ubiega się o specjalne stypendium dla ciebie jako naszej wychowanki, studentki teologii. To jednak nie obliguje cię do stanu zakonnego. Kwestia powołania to działanie Ducha Świętego i twoja osobista decyzja.

Matura Krysi wypadła w roku 1958. Na świadectwie uzyskała doskonałe wyniki z wszystkich przedmiotów. Wzięła udział w dziękczynnej mszy świętej, a potem był tradycyjny bal maturalny. Krysia miała obiekcje, czy w jej wypadku należy wziąć udział w tym balu, ale siostry były zdania, że wymaga tego solidarność uczniowska, a godziwa zabawa jest młodym ludziom potrzebna. Siostry prześcigały się wzajemnie w projektach, jaką uszyć suknię balową i jakie pantofelki kupić ich ukochanej wychowance.

Teologii katolickiej nie było wówczas na uczelniach Górnego Śląska. Krysia musiała zdecydować się na Wrocław lub Lublin. Wybrała Katolicki Uniwersytet Lubelski. Egzamin wstępny zdała z wynikiem kwalifikującym do przyjęcia na studia i została przyjęta jako stypendystka na pierwszy rok akademicki 1958/1959. A później wakacje – zdrowe, ale pracow-

te. Dzieci z sierocińca na cały miesiąc wyjechały do specjalnego ośrodka diecezjalnego dla sierot nad Morzem Bałtyckim. Siostry i Krysia miały dużo pracy, ale dzieci rozkosznie się bawiły w nadmorskim piasku i podczas kąpiei w morskiej wodzie.

Po powrocie z wakacji Krysia pakowała swoje rzeczy i szykowała się do wyjazdu. Żal i smutek pogrążał jej serce. Lublin daleko, nie będzie miała finansowych warunków, aby często odwiedzać swój rodzinny dom, którym według jej odczucia był sierociniec. Rozłąkę z Krysią bardzo przeżywała jej ukochana babcia, siostra Kazimiera, a także inne kochające ją siostry. W dniu wyjazdu kilka sióstr, na czele z siostrą Kazimierą, odprowadziło Krysię na dworzec kolejowy. Odbyło się wzruszające pożegnanie i życzenia Bożej opieki, zakończone silnie zaakcentowanym: „Wracaj do nas, czekamy na ciebie!”.

\*\*\*

W jednym z akademików, które znajdowały się w kampusie KUL, Krysia otrzymała pokój. Dzieliła go z inną studentką pierwszego roku. Ten pokój był ich sypialnią, ale spełniał też warunki potrzebne do nauki: znajdowały się tu dwa stoły, półki na książki, odpowiednie oświetlenie oraz ogrzewanie. Warunki skromne, ale wystarczające. Obie panie były zadowolone z kwatery, a gdy się bliżej poznały, serdecznie się z sobą zaprzyjaźniły.

No i zaczęła się praca. Krysia uważnie słuchała pierwszych sesji informacyjnych o zasadach i programie studiów, a gdy zaczęły się wykłady z filozofii, każde słowo wykładowcy chłonęła jak gąbka. Po południu wiele godzin spędzała w bibliotece albo na ćwiczeniach seminaryjnych. Uczelnia, dostojna *Alma Mater*, jej powaga i naukowa atmosfera imponowała Krysi. Z satysfakcją zauważyła, że wśród nauczycieli akademickich są siostry zakonne z tytułami doktora, a nawet profesora. W swoich marzeniach, oczyma wyobraźni widziała w przyszłości siebie wśród nich. Takie myśli mobilizowały ją do intensywnej pracy, a ta przynosiła pozytywne wyniki. Pierwszy semestr przeszła Krysia jak burza, ani jednego potknięcia. Chociaż bardzo pragnęła, nie mogła pozwolić sobie na

spędzenie ferii zimowych ze swoją babcią i siostrami w sierocińcu. Udało jej się na ten okres zaangażować do pracy dla KUL. Praca ta nie była związana z jej kierunkiem studiów, ale była płatna. W ten sposób chciała uciąć trochę grosza, aby nie być ciężarem dla siostr w czasie letnich wakacji.

\*\*\*

Mijały lata studiów Krysi. Pracowitość, dociekliwość i pasja naukowa wyróżniały ją i stawiały w czołówce braci studenckiej. Rozpoczęła właśnie ostatni rok studiów. Dyplom, który otrzyma po zakończeniu fakultetu teologii, myślała Krysia, będzie jej wianem, jaki wniesie do zgromadzenia zakonnego, będzie świadectwem kwalifikacyjnym, ale też dowodem dojrzałości duchowej... Dziewczyna bowiem niezmiennie trwała w postanowieniu wstąpienia do zakonu. Codziennie modliła się o łaskę i trwałość powołania.

Ale oto gdy przyszedł moment wręczenia jej dyplomu ze stopniem magistra teologii, niespodziewanie otrzymała propozycję pracy na KUL jako asystentki z perspektywą studiów doktoranckich. Odebrała to jako wielką promocję, ale i wyzwanie, które pragnęła podjąć. Czuła jednak potrzebę rozmowy w tej sprawie i zasięgnięcia opinii swojej ukochanej babci Kazimierzy. A ta powiedziała jej:

– To jest twoja droga życiowa, moje dziecko. Jesteś dorosła i sama musisz decydować w tej sprawie. Ja nie widzę przeszkód, żebyś kontynuowała naukę. Z mojej strony masz błogosławieństwo i modlitwę.

– Babciu, ale ja po studiach miałam zapukać do furty nowicjatu!...

– Pozostaw to Duchowi Świętemu, a ty pracuj i módl się – zakończyła siostra Kazimiera.

Po roku asystentury Krysia podjęła studia doktoranckie na wydziale nauk filozoficznych, bo ten kierunek najbardziej jej odpowiadał. Była już gotowa do pisania pracy doktorskiej, ale postanowiła rozpocząć ją po feriach letnich. Potrzebowała wypoczynku i odprężenia, a najlepiej się czuła w swoim domu, przy babci Kazimierze i dzieciach sierocińca. Miała przed sobą trzy piękne miesiące letnich ferii.

Nie był to czas beczynny, Krysia pomagała siostram w kuchni, prowadziła zabawy z dziećmi, robiła zakupy. Codziennie po południu chodziła do kościoła, gdzie działał ruch oazowy (do którego Krysia też należała w czasie studiów w Lublinie). Spotkała tam kilka swoich koleżanek ze szkoły średniej. Lubiła słuchać śpiewu znakomitego kościelnego chóru. Urzekła ją zwłaszcza fraza wykonywana przez duet sopran-baryton. Z tym kościołem Krysia była związana od dzieciństwa. Tam przyjmowała Pierwszą Komunię, tam chodziła na katechezę, gdy była w szkole podstawowej i średniej. Natomiast babcia Kazimiera i jej współsiostry chodziły do małego kościółka, usytuowanego w pobliżu ochronki.

Zwykle po wieczornym nabożeństwie w kościele grupa oazowa zbierała się w sali przy budynku plebanii. Te spotkania odbywały się codziennie za wyjątkiem piątku, ale największa frekwencja była w sobotę i niedzielę i w tych dniach grupie przewodniczył młody kapłan, który był moderatorem tego ruchu dla całej archidiecezji. W pozostałe dni tygodnia zastępował go animator ruchu, pan Jacek. Był to młody mężczyzna o wyjątkowej prezencji: szczupły, wysoki, o atletycznej sylwetce ciała, ze szczególnie interesującym wyrazem twarzy. Pan Jacek miał długie, wijące się, sięgające ramion, ciemnego koloru włosy, wysoko sklepione czoło, wyraźnie zarysowane przy jasnej karnacji ciała ciemne brwi, no i oczy... oczy wyjątkowe: duże, o błękitnym odcieniu, które gdy wznosił je do góry podczas wystąpień, nadawały twarzy wyraz anielskiej niewinności i dobroci, choć długi, lekko orli nos i szyja z wyraźnie zarysowanym „jabłkiem Adama” nadawały jej cech typowo męskich. Odpowiednia do wyrazu twarzy była jego mowa: stonowana, spokojna, a głos niski, łagodny, chciałoby się powiedzieć – aksamitny. Podobnie ruchy rąk i całego ciała: spokojne, harmonijne, skoordynowane. Pan Jacek był wielkim czcicielem Matki Bożej i gorącym krzewicielem ruchu oazowego. Jego postawa i zaangażowanie miały wpływ na integrację młodzieży w tym ruchu.

Krysia, gdy pierwszy raz przyszła na takie spotkanie, jako nowa uczestniczka usiadła w ostatniej ławce. Jej obecność nikogo nie dziwi-

ła, gdyż ruch oazowy był otwarty dla wszystkich. Osobowość animatora poruszyła ją. Początkowo myślała, że to ksiądz, ale brak koloratki wskazywał na osobę świecką. Z uwagą i przyjemnością słuchała dyskusji, jaką prowadził z uczestnikami spotkania. Sama nie zabierała głosu, ale z dużym zainteresowaniem wsłuchiwała się w bliską jej merytorycznie tematykę i głos animatora.

Po modlitwie wróciła do domu, mając w pamięci niezwykłą atmosferę spotkania, a w oczach charyzmatyczną, ale i osobliwą twarz animatora. Cały ten wieczór spędziła w zamyśleniu. Zauważyła to siostra Kazimiera, więc zwróciła się do Krysi z pytaniem:

– Co ci jest, dziecko moje, czy się źle czujesz, czy masz jakieś zmartwienie?

– Ani jedno, ani drugie, droga babciu. Po prostu przeżywam oazowe spotkanie.

Tej nocy Krysia nie mogła usnąć. W pewnym momencie wstała, uklękła przy ołtarzyku, który znajdował się w pokoju, i pogрузzyła się w modlitwie. Nie uszło to uwagi babci Kazimierzy, ale nie zadawała żadnych pytań. Zachowywała się tak, jakby spała, i tylko w myśli modliła się. Doświadczona mniszka domyślała się, że w duszy Krysi trwa pewien proces, znany jej z młodości. To może być proces dojrzewania, gotowości w wyborze drogi życiowej. W jego wyniku może wykrystalizować się powołanie do życia zakonnego, tak jak się to zdarzyło w jej młodości, czego nie żałuje, bo był to szczęśliwy dla niej wybór. W odniesieniu do Krysi życzyła jej i modliła się o to, aby dobry Bóg pomógł jej wybrać taką drogę życia, na której znajdzie szczęście i Jego błogosławieństwo.

Krysia codziennie chodziła na wieczorną mszę świętą, a ponadto czuła wielką chęć uczestniczenia w spotkaniach oazowych. Aktywnie uczestniczyła w dyskusjach, zadawała pytania, podrzucała propozycje, pomagała organizować modlitwy i kontemplacje duchowe. Pan Jacek coraz częściej spoglądał w jej stronę, oczekując nowych pomysłów lub opinii w jakiejś kwestii.

Z kościoła do sierocińca można było dojechać środkami komunikacji miejskiej, ale była to droga okrężna i z przesiadką. Łatwiej i przyjemniej

było iść na skróty pieszo, deptakiem poprzez park. Zawsze przechodziło tędy sporo ludzi. Dla wygody przechodniów i spacerowiczów postawiono tam ławeczki dla spoczynku. Deptak dochodził do asfaltowej jezdni, po jej przeciwnej stronie znajdował się sierociniec. Dla ułatwienia i bezpieczeństwa przechodniów jezdnia miała oznaczone pasami przejścia dla pieszych. Była to codzienna droga Krysi także po zakupy, gdyż w pobliżu kościoła był duży warzywniak, skąd często przynosiła świeże owoce i warzywa.

Pewnego dnia Krysia obciążona dwoma koszami warzyw wracała deptakiem z oazy. Kiedy na chwilę usiadła dla odpoczynku na ławeczce, zjawił się nagle przed nią pan Jacek, który kłaniając się nisko rzekł:

– Szanowna pani zechce mi wybaczyć, że mam śmiałość zaproponować pomoc w niesieniu tych koszy, choć znamy się tylko ze spotkań oazowych. Czy pani mnie poznaje?

Bardzo poruszona tym nagłym spotkaniem i propozycją Krysia lekko drżącym głosem odpowiedziała:

– Tak, poznaję, jest pan naszym animatorem. Za pomoc bardzo dziękuję. Poradzę sobie, a gdy się zmęczę, to są ławeczki dla odpoczynku. Poza tym to spory kawałek drogi, bo mieszkam za jezdnią, nie mogę pozwolić na pańską zbyt dużą fatygę.

– Ależ proszę pani, ja też idę w tym kierunku i wcale się nie śpieszę, żadna to dla mnie fatyga – mówił, patrząc na Krysię swoimi błękitnymi oczami.

Ona nie wytrzymała tej konfrontacji wzrokowej. Opuściła powieki i cicho rzekła:

– No dobrze, tylko troszkę odpocznę. Proszę niech pan usiądzie.

Ławka była długa, wystarczyła na dwa kosze, między którymi siedziała Krysia i zostało jeszcze miejsce dla pana Jacka. On jednak, nim usiadł, zwrócił się do niej słowami:

– Właściwie znamy się tylko z kościoła. Jeśli pani pozwoli przedstawię się. Jestem Jacek Kłownowski – i uklonił się nisko.

– Krystyna Wrońska – odpowiedziała, podając mu rękę, którą on z czcią ucałował.

Gdy usiadł, zwrócił się do niej z pytaniem:

– Nigdy wcześniej nie widywałem pani w naszym kościele i na spotkaniach oazowych. Czy należała pani do innej parafii w naszym mieście?

– Nie, to była zawsze moja parafia. Tu przystępowałam do Pierwszej Komunii, ale ostatnich siedem lat mieszkam w innym mieście.

– Rozumiem – odrzekł pan Jacek. – A jak pani teraz widzi nasz kościół, czy zmienił się?

– O... tak! Jest piękny, odnowiony... No i ten chór... znakomity! Urzeka mnie zwłaszcza ten wspaniały dwugłos barytonu i sopranu.

Twarz i oczy pana Jacka ożywiły się.

– Czy pani jest muzykiem albo znawcą w tej dziedzinie?

– Ani jedno, ani drugie. Jestem tylko wrażliwa na piękno muzyki i śpiewu. A pan od kiedy jest działaczem w naszym ruchu?

Pan Jacek uniósł swoje niezwykle oczy, myślał chwilę i rzekł:

– Od kilku lat, proszę pani. Był czas, kiedy daleki byłem od praktyk katolickich i trzeba było silnego psychicznego wstrząsu, abym wszedł na tę drogę. W wieku młodzięcym straciłem ukochaną, starszą ode mnie siostrę. Zmarła na nieuleczalną chorobę. Jej śmierć wywołała we mnie nieutulony żal i bunt przeciw Bogu, który mimo naszych prośb zabrał ją do siebie. I dopiero następna tragedia – śmierć mojej mamy, która zmarła nagle, załamała mnie całkowicie. Już nie byłem zdolny wchodzić w polemikę z Panem Bogiem. Zamiast buntu pojawił się lęk o tatę, który bardzo ciężko przeżył stratę córki i żony. Ja jeden mu pozostałem. Nie mogłem go zawieść. Modliłem się razem z nim, starałem się dobrze czynić, aby nie sprawiać mu zmartwień, a za sprawą Matki Bożej, której gorąco polecałem nasz los, spotkałem kapłana, który pomógł mi zrozumieć i uwierzyć w tajemniczą wartość cierpienia, a tym samym powrócić na łono kościoła. Nabrałem chęci do życia i zacząłem pracować nad sobą. Poczułem potrzebę włączenia się w ewangelizację, a Ruch „Światło i Życie” najbardziej mi odpowiadał. Odtąd pracuję zawodowo, i działam w ruchu oazowym. W domu robię wszystko: przygotowuję posiłki, sprzątam, piorę i opiekuję się tatą.

Krysia wysłuchiwała z uwagą zwierzeń tego niezwykle człowieka. O sobie nic więcej nie powiedziała, bo też z jego strony nie padło żadne pytanie.

Długi letni dzień zbliżał się ku wieczorowi. Oboje, idąc deptakiem, rozmawiali o programie oazowym. Pan Jacek już wcześniej się zorientował, że jego rozmówczyni posiada szeroką wiedzę, i to go onieśmiewało, ale jeszcze bardziej wzbudzało zainteresowanie jej osobą.

Wreszcie na pasach dla pieszych przekroczyli jezdnię. Krysia zatrzymała się i dziękując panu Jackowi podała rękę, którą on z wielką czcią ucałował. Odchodząc zapytał:

- Jak daleko jeszcze ma pani do domu?
- To ten dom widoczny wśród zieleni – odpowiedziała.
- To przecież jest klasztor – zdziwił się Jacek.
- Tak, ale też mój dom.

O nic więcej już nie pytał. Ukłonił się nisko i odszedł zadumany. „A może ona jest bezhabitową zakonnicą? Jak osoba świecka może mieszkać w klasztorze?”, myślał.

Tymczasem Krysia po powrocie do domu i przekazaniu zakupów siostrze w kuchni niezwłocznie zabrała się do sprzątanego pokoju. Poruszające wydarzenia dzisiejszego popołudnia chciała zneutralizować pracą. Wycierała kurze, myła okna i podłogę. Nie poszła nawet do jadalni na wieczorny posiłek. Widząc to, babcia Kazimiera zapytała:

- Co się z tobą dzieje, Krysiu? Dlaczego nie byłaś na kolacji?
- Oj, bo nie mam dziś apetytu, babciu – odpowiedziała i nadal zawzięcie szorowała podłogę.

Gdy przyszedł czas snu, Krysia długo na klęczniku odmawiała wieczorną modlitwę, a gdy położyła się, nie mogła usnąć i długo wierciła się na łóżku. Czujna siostra Kazimiera ukradkiem obserwowała zachowanie swojej wychowanki. Wreszcie usiadła na łóżku i zaczęła odmawiać różaniec. Widząc ją siedzącą, Krysia wstała i usiadła przy niej.

- Co się z tobą dzieje, moje dziecko?
- Babciu, muszę ci coś wyznać. – mówiła, tuląc się do niej. – Nie wiem, babciu, co się ze mną dzieje. Boję się o swoje powołanie, bo spotkałam człowieka, młodego mężczyznę, który zaburzył spokój mojej duszy. Nie, nie, babciu, nie uczynił tego świadomie, on nawet o tym nie wie, ale ja czuję, że to się stało.

I w tym momencie Krysia wybuchła płaczem. Babcia Kazimiera objęła Krysę i mocno przytuliła ją do siebie.

– Moje dziecko, ty nie martw się o powołanie, zostaw to Panu Bogu. A poza tym powołania są różne, niekoniecznie zakonne. Dobrze wiesz o tym, że powołanie do małżeństwa jest też błogosławione przez Pana Boga. No, ale powiedz mi, jaki to człowiek, ten mężczyzna.

– Och, babciu, ja go jeszcze za mało znam, ale czuję, że to człowiek niezwykle. On jest naszym animatorem w ruchu oazowym.

Uspokojona Kazimiera ucałowała Krysę i rzekła:

– Połóż się do snu, dziecko moje i staraj się usnąć. Nic złego się nie stało, a to, o czym mi powiedziałaś, w życiu ludzkim jest zjawiskiem normalnym. Bądź sobą, Kysiu i pamiętaj, że masz prawo wyboru.

Krysia czuła potrzebę, żeby wyznaczyć swoje rozterki. Gdy to zrobiła, poczuła ulgę. Uspokojona przez babcię, położyła się i usnęła.

Następnego dnia w drodze do kościoła spotkała swoją koleżankę z okresu nauki w liceum. Ta, gdy ją zobaczyła, zawołała:

– Kysiu, wczoraj na deptaku widziałam cię, jak siedziałaś na ławce między koszami warzyw i rozmawiałaś z Jackiem. Zauważyłam, że on ci coś opowiadał, a ty słuchałaś. Byliście tak zajęci sobą, że nie zauważyliście mnie, gdy przechodziłam obok was. A przecież Jacek mnie zna, bo śpiewamy w chórze, jak mógł mnie nie zauważyć?

Krysia spłonęła jak róża.

– To było całkiem przypadkowe spotkanie. Znamy się z zebranych oazowych, on tylko chciał mi pomóc nieść te kosze – zaczęła się tłumaczyć Krysia i dodała – gratuluję ci, że śpiewasz w tym znakomitym chórze, podziwiam was.

– No wiesz, gdyby nie Jacek i Ewa, którzy tworzą wspaniały dwugłos, poziom naszego chóru byłby niższy.

– To pan Jacek jest tym barytonem? – zdziwiła się Krysia.

– No tak, a ty nie wiedziałaś o tym?

– Nie, nie wiedziałam. A ta sopranistka? – dopytywała się Krysia.

– To Ewa, żona naszego organisty. A swoją drogą na organach lepiej od niego gra Jacek, ale on musi śpiewać.

I pobiegła na chór. Krysia zaś wchodziła do kościoła z nowym ładunkiem wrażeń. „To on jest tym barytonem i nic mi o tym nie powiedział...”, myślała.

Po mszy nie poszła na spotkanie oazowe, lecz postanowiła wrócić do domu. Idąc deptakiem i myśląc o Jacku zadawała sobie pytanie: „Dlaczego ten człowiek wniósł tyle niepokoju w moją duszę, dlaczego w moich myślach nie mogę się od niego oderwać? Ładnie śpiewa, ale przecież w moim życiu słuchałam i widziałam wielu śpiewaków i żaden z nich nie wzbudził we mnie tyle emocji co on”. Myśli te doprowadziły Krysię do niepokojącego ją wniosku: „To, co odczuwam w odniesieniu do mężczyzny, który przypadkowo znalazł się na drodze mojego życia, zafascynował mnie i wdiera się do serca wbrew mojej woli, nie jest jego winą. On nawet o tym nie wie. Powinnam się opamiętać i położyć temu kres. Ten człowiek traktuje mnie z taką atencją, bo to leży w jego naturze. Jest uprzejmy dla wszystkich, a dla mnie szczególnie, bo pewnie chce mnie pozyskać do współpracy”. Idąc za tą myślą Krysia podjęła postanowienie: „Nie będę chodzić na spotkania oazowe. Muszę się na to zdobyć, aby po mszy od razu wracać do domu. Jeżeli ktoś zapyta, dlaczego nie uczestniczę w ruchu oazowym, odpowiem, że przygotowuję się do pisanja rozpoczętej już pracy doktorskiej. Kłamstwa w tym nie będzie, gdyż to już czas ku temu”. I zaprzestała chodzić na spotkania, chociaż nie było to dla niej łatwe.

W tym kościele każdego piątku do późnych godzin nocnych odbywała się adoracja Najświętszego Sakramentu i dlatego w tym dniu nie było zebrania oazowego. Krysia postanowiła, że tym razem jej adoracja w wiadomej intencji będzie dłuższa niż zwykle.

Długie godziny, aż do późnego wieczora, klęczała pogrążona w modłach. W pewnej chwili spostrzegła, że jest już wieczór i nie ma ludzi w kościele. Wstała i skierowała się do wyjścia. Wtem w ławce za sobą zobaczyła samotnie klęczącego pana Jacka. On też wstał z kolan, ukłonił się Krysi i razem wyszli z kościoła. Pan Jacek, witając się z Krysią, uważnie patrzył w jej oczy. Duża lampa nad drzwiami kościoła oświetlała jej twarz.

– Pani Krystyno, dlaczego nie przychodzi pani na nasze spotkania? Bardzo obawiałem się o pani zdrowie, ale na twarzy nie widzę oznak choroby. Więc dlaczego? – patrzył na nią swoim obezwładniającym ją wzrokiem, po czym powtórzył z naciskiem – Bardzo mi, nam – poprawił – pani brakuje.

Twarz Krysi rumieniła się od wrażenia. Nie czuła w sobie siły na konfrontację z tak niespodziewaną sytuacją, w której się znalazła. Wreszcie wydobyła z siebie odpowiedź:

– Panie Jacku, ja nie byłam w najlepszej kondycji w tym czasie. Psychicznej kondycji – dodała.

– Jakież kłopoty, pani Krystyno?

– W pewnym sensie – odpowiedziała.

Pan Jacek o nic już nie pytał, tylko delikatnie wziął ją pod rękę i rzekł:

– Pani pozwoli, że odprowadzę ją do domu, jest noc.

Krysia bezwolnie i bez słów, jak dziecko, posłusznie uległa jego woli. Początkowo w milczeniu szli w kierunku oświetlonego deptaka, po którym przechodzili i spacerowali ludzie. W pewnym momencie Jacek przemówił:

– Muszę pani coś wyznać. Od pewnego czasu zostałem porażony urokiem i osobowością pewnej osoby i trudno mi jest żyć. Straciłem spokój i równowagę duchową. Jedyną treścią mych myśli jest ta osoba.

Znów zapadła cisza. Pan Jacek z lękiem oczekiwał, co powie Krysia. Ona zaś nie odniosła się do jego zwierzeń, ale zaczęła mówić o sobie.

– Już panu powiedziałam, że jestem w dołku psychicznym i teraz dodam, że z tych samych powodów, które dotknęły pana.

Przez pewien czas szli w ciszy.

– Pan pierwszy rozpoczął i sprowokował ten temat – podjęła rozmowę Krysia – wobec tego, czy mogę wiedzieć, kto jest tą osobą?

– Pani – usłyszała odpowiedź.

Krysia osłabła i poprosiła, aby na chwilę usiedli. W ciszy siedzieli obok siebie na ławeczce. Jacek był spięty jak winowajca oczekujący na wyrok. Po chwili ona rzekła:

– Panie Jacku, ciągle mało wiem o panu. Na przykład, rozmawialiśmy o chórze, a pan nie powiedział, że jest tym barytonem, o którym panu wspomniałam.

– Ach, baryton, to taki drobiazg – odrzekł. – Jednak opowiedziałem pani o wielu rzeczach istotnych w moim życiu. Natomiast pani nic nie powiedziała mi o sobie, ale ja tego nie wymagam, ja akceptuję panią ze wszystkimi jej przymiotami, bez względu na pani życiorys. Nie znaczy to jednak, aby nie interesowało mnie wszystko, co dotyczy pani.

Siedzieli na dobrze oświetlonej ławce, a obok nich z rzadka przechodzili przechodnie.

– Jest późna pora i na pewno moja babcia niepokoi się o mnie, ale czuję, że to jest czas i okoliczności, abym powiedziała panu o sobie wszystko. Jestem sierotą, w 1943 roku w czasie krwawego pogromu ludności polskiej na Wołyniu prawdopodobnie zginęli moi rodzice. Mnie uratowała jakaś anonimowa dla mnie osoba i przekazała siostrze zakonnej, która prowadziła ochronkę dla sierot w mieście Równe na Wołyniu. Miałam wówczas dwa, może dwa i pół roku i nie mówiłam jeszcze. Zakonnice zauważyły, że reaguję na imię Kryisia. Uznały więc, że tak właśnie mam na imię. Spozrzęły też medalik zawieszony na mojej szyi. Ten oto – tu Kryisia wydobyla spod bluzki medalik z Matką Boską Ostrobramską. – Ten medalik świadczył, że pochodzę z rodziny polskiej i jestem ochrzczona. To były te same siostry, z którymi mieszkam do dziś. Po przesiedleniu z Kresów w granice PRL osiedliły się w naszym mieście i nadal prowadziły ochronkę dla sierot. Przed moim pójściem do szkoły opiekunka, siostra Kazimiera, adoptowała mnie i drogą sądową nadała mi swoje rodowe nazwisko, Wrońska. Wzrastałam wśród sióstr zakonnych. Zawsze czułam się wśród nich dobrze, otoczona miłością, kocham je do dziś. Szczególnie bliska mi jest siostra Kazimiera, z którą bardzo się kochamy. Będąc wśród nich, przeżyłam życie monastyczne i moim marzeniem stało się wstąpienie do zakonu. To zdecydowało o wyborze kierunku studiów. Ukończyłam teologię na KUL i miałam już zamiar ubiegać się o przyjęcie do nowicjatu, ale zaproponowano mi asystenturę na uczelni z możliwością studiów doktorskich. Po konsultacji z siostrą Kazimierą, którą nazywam babcią, postanowiłam przyjąć propozycję i po uzyskaniu stopnia doktora filozofii, bo taki obrałam kierunek dalszych studiów, wstąpić do nowicjatu. Jeżeli przełożeni zakonni zgodzą się na dalszą moją pracę na uniwersytecie, podejmę

ją, jeżeli nie, to przyjmę każde wyznaczone mi zadanie. Wakacje chciałam wykorzystać na wypoczynek, dlatego tu przyjechałam. Najlepiej czułam się w swoim domu u sióstr. Miałam przed sobą perspektywę trzymiesięcznego wytchnienia, a potem powrót na uczelnię, studia doktoranckie, obrona pracy doktorskiej i spełnienie moich marzeń – nowicjat. Pierwsze dni spędzałam radośnie, w pełnym spokoju aż do czasu, gdy pierwszy raz wzięłam udział w spotkaniu oazowym, które pan prowadził. Wyznam panu: w życiu spotkałam wielu mężczyzn, wszyscy jako mężczyźni byli mi obojętni, chociaż byli tacy, dla których czułam szacunek. To pierwsze spotkanie z panem odebrałam jako inne niż wszystkie wcześniejsze znajomości. Nawiedziło mnie nieznane wcześniej uczucie: straciłam spokój i nie mogłam usnąć. Opowiedziałam o tym babci Kazimierze, ale ona mnie uspokajała. Obie uznałyśmy, że to tylko chwilowe olśnienie. Jednak następne spotkania z panem gwałtownie przeniosły mnie w jakiś inny świat. Panowałam nad sobą, ale czułam, że moje powołanie chwieje się w posadach. Broniałam się. Jak pan wie, przestałam uczestniczyć w spotkaniach oazowych, nie tylko dlatego, aby nie pogłębiać swojego problemu, ale przede wszystkim, aby zejść panu z oczu. Sądziłam, że pańska atencja wobec mnie ma charakter tylko grzecznościowy i z czasem moja obecność stanie się dla pana kłopotliwa. Miałam duże wsparcie od mojej babci, której zwierzałam się ze wszystkiego. Podobnie uspokajał mnie mój spowiednik. Postanowiłam zając się rozpoczętą pracą naukową i skrócić urlop. Bałam się pójść do mego kościoła, więc chodziłam z siostrami do pobliskiej kaplicy. Dziś na adorację poszłam jeszcze do mojej kochanej świątyni, aby pożegnać się z nią i powierzyć Panu Bogu moje dalsze życie, które w tym właśnie miejscu uległo wielkiej zmianie. Modliłam się za siebie i za pana, który uczynił ten wielki war w mojej duszy. Oczywiście, niczym nie obciążałam pana, nie czuję do niego żadnego urazu, a w mojej świadomości zapisał się pan na całe moje życie jako ktoś bardzo znaczący. Kiedy dziś po tej długiej adoracji, w pustym kościele, ujrzałam Pana, uświadomiłam sobie, że oto jesteśmy tylko we dwoje wobec wystawionego Najświętszego Sakramentu. To miało swoją bardzo znaczącą symbolikę. Tak to odczułam. Nie, nie byłam zdolna odmówić panu towarzyszenia mi w drodze powrotnej...

Pan Jacek słuchał wypowiedzi Krysi z uwagą i wielkim wzruszeniem. Z jego wyrazistych oczu wypłynęły dwie duże krople łez, które potoczyły się po policzkach. Gdy Krysia skończyła swoje zwierzenia, nie bacząc na otoczenie, obsunął się z ławki na kolana, całował jej ręce, prosząc:

– Błagam, niech pani nie skraca urlopu, jeszcze tak dużo mamy sobie do powiedzenia. Niech pani przychodzi na nasze spotkania. Pragnę, bardzo pragnę panią widzieć.

Krysia, poruszona do najwyższych granic, prosiła, aby usiadł, i sama z wysiłkiem hamowała łzy szczęścia.

\*\*\*

Siostra Kazimiera z niepokojem oczekiwała powrotu Krysi. Wyszła nawet przed dom i patrzyła w kierunku jezdni, gdzie mimo nocy widziała cienie przechodzących ludzi. Wreszcie zobaczyła dwie osoby idące w jej kierunku. Wycofała się do środka, a po chwili weszła Krysia. Wpadły sobie w objęcia. Krysia przeproszała, że tak późno wróciła, po czym opowiedziała babci o całym dzisiejszym wydarzeniu. Siostra Kazimiera z miłością patrzyła na twarz Krysi. Widziała wyraźne rumieńce na twarzy i ogniki emocji w oczach swojej podopiecznej. Pragnęła jej szczęścia, więc przeżywała wszystko razem z nią.

Jacek też głęboko przeżył ostatnie spotkanie z Krystyną. Już wcześniej zrozumiał, że jest ona jego pierwszą miłością. Ostatnie spotkanie i zwierzenia, które bardzo przeżył, utwierdziły go w przekonaniu, że te relacje są wzajemne. Czuł jednak, że nie dopełnił czegoś, czego bardzo pragnął: nie odkrył wyraźnie przed nią wszystkiego, co ma w sercu, nie wyznał, jak pragnie połączyć swoją przyszłość z jej osobą. Po prostu, nie oświadczył się jej, nie poprosił o jej rękę. Wielki respekt, jaki żywi do tej dziewczyny, sprawił, że tym razem zabrakło mu odwagi. Z lękiem myślał o tym, że zbliża się czas wyjazdu Krystyny, a oni nie powiedzieli sobie najważniejszego słowa. Rozumiał, że w tej kwestii inicjatywa należy do niego. Postanowił przeto nie zwlekać, ale dokonać tego przy najbliższej okazji.

Już następnego dnia po spotkaniu oazowym poprosił Krysię, by wstąpiła do kościoła na krótką modlitwę. Gdy wyszli, poprosił, aby zechciała

usiąść z nim na jednej z pobliskich ławek. Nie rozpoczął od tego, co było głównym jego celem, ale nawiązał do dnia wczorajszego.

– Głęboko przeżyłem naszą wczorajszą rozmowę. Dała mi ona wielką nadzieję, ale zanim o niej powiem, pragnę uzupełnić częściowo tylko opowiedziany pani mój życiorys. Otóż mój ojciec pracując w hucie, na skutek szkodliwych warunków pracy, poniósł poważny uszczerbek na zdrowiu. W podobnej sytuacji znalazła się cała grupa hutników, która teraz drogą sądową ubiega się o odszkodowanie. Mój tata ma zamiłowania muzyczne i amatorsko gra na akordeonie. Ja sam nauczyłem się grać na tym instrumencie, będąc jeszcze w szkole podstawowej. Miałem też zamiłowanie do śpiewu. Widząc to, mój tata skierował mnie do szkoły organistów, którą ukończyłem z dobrym wynikiem. W szkole tej miałem dobrego nauczyciela wokalistyki, który nauczył mnie techniki śpiewania i zachęcał do dalszych studiów i ćwiczeń wokalnych. W czasie nauki w szkole organistów wszyscy przechodziliśmy odpowiednie badania medyczne. W moim wypadku lekarze stwierdzili, że moje struny głosowe są za mało odporne na tak duży wysiłek głosowy, jaki jest potrzebny w czasie śpiewu. Mogę śpiewać amatorsko, ale nie zawodowo. Dlatego zrezygnowałem z zawodu organisty i poszedłem na studia w AGH, które ukończyłem i teraz jestem metalurgiem. Wykonuję zawód mego taty, tylko on pracował bezpośrednio przy piecach, a ja w laboratorium. Moje główne obowiązki to opieka nad ojcem i krzątania domowa. Zainteresowania to ruch oazowy i udział w chórze. Żadnych stosunków towarzyskich nie utrzymuję. Jeśli chodzi o kobiety, to pani jest pierwszą, która opanowała całym moim jestestwem i nie wyobrażam sobie życia bez niej. Toteż tu, w tej chwili, przed naszym kościołem, pragnę uroczyście oświadczyć, że kocham panią całym moim sercem i duszą oraz zwracam się z prośbą o jej rękę.

Zapadła cisza. Krysia oparta była plecami o poręcz ławki. Gdy padły te słowa, odchyliła głowę do tyłu i przymknęła powieki. Jacek patrzył na nią i z niepokojem wyczekiwał. Wydawało mu się, że trwa to zbyt długo, że może otrzyma nieoczekiwaną odpowiedź. A z nią działo się coś, co określa tytuł znanej powieści Marii Rodziewiczówny: *Między ustami*

*a brzegiem pucharu.* To przestrzeń czasu, w którym może się wiele zdarzyć, pomiędzy chęcią a spełnieniem, pomiędzy decyzją a jej urzeczywistnieniem. Ten stan ducha ośwładnął ją. Musi dać odpowiedź na oczekiwaną przez nią, ale mimo to nagłą propozycję. Każda decyzja będzie przełomem w jej życiu, jednak serce jej dyktuje, że zanim zbliży usta do krawędzi pucharu, bez wątpienia padnie słowo „tak”.

Krysia uniosła głowę i patrząc mu w oczy ze spokojem, ale i determinacją, dobitnie powiedziała:

– Ja też cię kocham, Jacku, i pragnę zostać twoją żoną.

Od wielkiego szczęścia świat zawirował mu w głowie. Nie spodziewał się tak jasnej, zdecydowanej odpowiedzi, a przy tym tak nagłego przełamania męczącej konwencji grzecznościowej: „pan, pani”.

– Kochana Krysiu, jesteśmy już narzeczeństwem – zawołał radośnie.

– Poczekaj, Jacku, moja babcia musi cię poznać i ją poprosisz o moją rękę, a ja z kolei chciałabym poznać twego tatę.

– To ci rezolutna dziewczyna! Bogu dziękuję, że postawił cię na drodze mojego życia. Do twojej babci pójde już dziś, a jutro zabiorę cię do mego taty.

– Powoli, Jacku, ja muszę najpierw babci wszystko opowiedzieć i przygotować ją na twoją wizytę.

– Twoja mądrość wskazuje, że nie tylko jesteś moją miłością, ale też królową.

– Mój królewiczu, czasu mamy mało, bo dzień zbliża się ku końcowi, a my powinniśmy w sposób godny podsumować to, co przed chwilą między nami zaszło.

– Podsumować... Jak podsumować? – pytał.

– Tak jak należy – wzięła go za rękę, a prowadząc mówiła: – Śpieszmy się, póki kościół nie jest zamknięty.

Kłęcząc ramię przy ramieniu przed tabernakulum, w cichych, gorących modłach dziękowali za to, co między nimi zaszło, czego tak bardzo pragnęli i polecili Najwyższemu dalszy swój los.

Taka jest siła miłości. Potrafi sprawić, by dwoje ludzi odnalazło się w zbiorowości ludzkiej i zbliżyło do siebie jak dwa różnoimienne magne-

tyczne bieguny, z taką siłą, że złamie wszystkie konwenanse i bariery, łącząc ich w jedność. Niedawno się nie znali. Gdy pierwszy raz spojrzeli na siebie, zostali porażeni płomienną miłością, tajemną, przeżywaną w samotności, bez nadziei na wzajemność. Dystans między nimi i wzajemny respekt był tak duży, że utrudniał zbliżenie i niewiele brakowało, żeby każde z nich ze złamanym sercem poszło oddzielną drogą życia. Byłoby to szczególnie trudne dla Krysi, która doznała metamorfozy swych pragnień w wyborze powołania. Swoim „tak” uratowała los ich obojga. Ona nie tylko kochała, ale jako osoba posiadająca solidne podstawy w znajomości psychiki ludzkiej rozpoznała swojego partnera jako osobowość kryształową, jednak bezradną w obliczu uczucia pierwszej w jego życiu miłości. Dlatego to jej „tak” było zdecydowane, łamiące bariery i budujące animusz Jacka.

Gdy wyszli z kościoła, zapadał już zmierzch. Krysia spoglądała na niebo przykryte chmurami, z których padały już pierwsze krople deszczu.

– Jacku, zanosz się na deszcz. Idź do domu, a ja pobiegnę deptakiem. Jest oświetlony i chodzą tam jeszcze ludzie, nie będę więc sama.

– O nie, nie pójdziesz beze mnie. Odprowadzę cię, a jeżeli będzie padać, to do domu wrócę tramwajem lub taksówką.

Chwycił ją za rękę i pobiegli w kierunku deptaka, po którym wielu ludzi śpieszyło w jedną i drugą stronę. Szybkim krokiem, trzymając się za ręce, zbliżali się do jezdni. Gdy byli już w jej pobliżu, deszcz urósł do rozmiarów nawałnicy. Otaczała ich szara ciemność i szum ulewy, która zalewała im oczy, ale dom był tuż tuż...

– Jesteś cały przemoczony, nie puszczę cię! Zabieram cię do naszego domu, to już blisko.

W tej huraganowej ulewie wbiegli na jezdnię, gdzie oślepił ich nagły błysk reflektorów nadjeżdżającego samochodu. Jacek, chroniąc Krysię, zdążył jeszcze wykonać pół obrotu i bezpośrednie uderzenie przyjął na siebie. Ona zaś, pchnięta jego ciałem, padła na wznak na mokrą jezdnię i długim ślizgiem, nogami do przodu wtargnęła na drugi pas jezdni. W tym momencie jadący z przeciwka samochód zmiażdżył jej nogi na wysokości podudzi. Nie czuła kolizji z tym drugim pojazdem, gdyż w chwili upadku na asfalt straciła przytomność.

Częściową świadomość odzyskała w karetce pogotowia ratunkowego. Nie wiedziała, gdzie jest i co się stało. Dopiero w szpitalu zaczęła odtworzać w swoich myślach jak w kalejdoskopie kolejne fragmenty tego koszmaru: noc, deszcz, przy niej Jacek, ten nagły błysk reflektorów i koniec „filmu”... Teraz widziała wokół siebie wielu ludzi w białych kitlach. Gdzieś ją wieźli, prześwietlali i znów wieźli. Przy jej łóżku pochylił się nad nią człowiek ze słuchawkami na szyi, pytając: „Jak się pani czuje?”. Odpowiedziała, że nie czuje nóg, a właściwie stóp.

- Będzie pani miała operację, proszę tu podpisać.
- Proszę pana, a co z Jackiem?
- Nie wiem, o kogo pani chodzi. Proszę tu podpisać. Informuję panią, że uraz nóg jest poważny i może trzeba będzie amputować prawą kończynę. Proszę tu podpisać swoją zgodę na operację.

Podpisała.

- On, Jacek, był ze mną, co się z nim stało?
- Proszę pani, ja jestem lekarzem, mam panią operować. Nie wiem, o kogo pani chodzi. Wyjaśnimy to po operacji. Teraz nie mamy czasu, bo zaraz będzie tu konsultant w związku z pani operacją.

I wyszedł.

Prześwietlenie wykazało bardzo poważne urazy, kwalifikujące prawe podudzie do amputacji. Chirurg miał wątpliwości, czy jest szansa uratowania lewej nogi. W związku z tym poprosił o konsultację bardzo cenionego chirurga z sąsiedniego szpitala. Spotkali się w gabinecie lekarskim dla przestudiowania zdjęć rentgenowskich. Dr Rogowski (tak nazywał się konsultant) dokładnie zapoznał się z nimi. Według niego lewa noga jest do uratowania, natomiast prawa chyba kwalifikuje się do amputacji, chociaż... i tu doktor popatrzył jeszcze raz na zdjęcie i myślał chwilę.

- Chociaż – powtórzył doktor – przydałoby się jeszcze jedno zdjęcie.

Wyjaśnił, w jakim ujęciu należy je zrobić, co też natychmiast wykonano. Doktor przyjrzał mu się, porównał z tym pierwszym i powiedział, że chce zobaczyć pacjentkę.

Gdy znalazł się przy jej łóżku, spojrzał na kartę choroby, potem pochylił się nad Krysią i spytał, jak się czuje.

– Dobrze, tylko...

– Co: tylko? – spytał doktor.

– Nikt mi nie potrafi powiedzieć, co z Jackiem.

Doktor pytając popatrzył na pielęgniarkę.

– Stale pyta o kogoś, kto widocznie razem z nią uległ wypadkowi – odpowiedziała pielęgniarka.

Doktor Rogowski wrócił do gabinetu, gdzie zastał lekarza prowadzącego.

– Panie doktorze – zwrócił się do niego – jeżeli pan wyrazi zgodę, podejmę próbę uratowania obu nóg.

– Ależ panie doktorze, nie mam nic przeciw temu i życzę powodzenia.

– A zatem proszę niezwłocznie przewieźć pacjentkę na mój oddział.

I tak Krysia znalazła się w innym szpitalu na wydziale chirurgii urazowej, gdzie pośpiesznie czyniono przygotowania do operacji. Zespół operacyjny składał się z dwóch chirurgów – doktora Rogowskiego i jego asystenta, znakomitego neurochirurga sprowadzonego z innego szpitala, oraz z anestezjologa i służby pomocniczej.

Operacja trwała bardzo długo. Gdy po narkozie Krysia odzyskała przytomność, zobaczyła stroskaną twarz babci Kazimieri. Delikatnie gładziła jej włosy i cicho informowała:

– Drogie dziecko, jesteś po operacji, w Bogu mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Operację wykonał wybitny chirurg.

Krysia jeszcze nie była w pełni wybudzona, ale na widok babci uśmiechnęła się. Dopiero po kilku godzinach siostra Kazimiera usłyszała jej cichy szept:

– Babciu, czy wiesz, co z Jackiem?

– Żyje i też już jest po operacji.

Krysia przymknęła oczy, a po chwili spod jej powiek wypłynęły dwie łzy. Babcia je wytarła, po czym usłyszała następne pytanie:

– Kto opiekuje się jego chorym tatą?

– Nie martw się, dziecko. Byliśmy u niego, on jest pod stałą opieką organizacji diecezjalnej.

– Kochana jesteś, moja babciu.

Pielęgniarka zwróciła Krysi jej osobiste rzeczy, które zdeponowano przed operacją; był to dowód osobisty, jakieś drobne pieniądze, no i medalik na łańcuszku. Ten medalik siostra Kazimiera zawiesiła jej na szyi. Siostry z ochronki i przychodziły na zmianę, by czuwać przy Krysi. A ona patrzyła na swoje nogi – dwa grube gipsowe kikuty leżące nieruchomo na łóżku. Widać było tylko palce wyzierające z gipsu.

Codziennie w czasie rutynowych wizyt przychodził do Krysi doktor Rogowski wraz z grupą lekarzy i pielęgniarek. Patrzył na kartę choroby, a potem pytał: „Jak pani się czuje?”. Następnie wysłuchiwał informacji od lekarza prowadzącego. Pewnego dnia w czasie wizyty doktor Rogowski ukłuł igiełką duży palec u prawej nogi Krysi, na co ona gwałtownie zareagowała, wołając: „Boli!”.

– Boli?! To świetnie – rzekł wyraźnie zadowolony doktor. – To świadczy, że udało nam się uratować obie nogi.

Jakaż była radość babci Kazimieri, gdy się o tym dowiedziała!

Pewnego dnia babcia powiedziała Krysi, że odwiedziła Jacka, ale zamiast opowiadać, jak on się czuje, podała jej list od niego. Krysia skwapliwie chwyciła złożoną kartkę, przytuliła ją do serca, ucałowała, a dopiero potem zaczęła czytać. Jacek nieporadnie (prawą rękę aż do nadgarstka miał zagipsowaną) pisał:

*Kochanie,*

*Bóg nas doświadczył, ale też ocalił. Poświęćmy mu to nasze cierpienie z prośbą o błogosławieństwo na całe nasze życie. Od czasu, gdy odzyskałem świadomość, bez przerwy myślę o Tobie, modłę się i mam nadzieję, że wkrótce wrócisz do zdrowia. Potwierdzają to informacje od Twojej Babci. Ja czuję się dobrze i też mam nadzieję na odzyskanie zdrowia. Tylko że w moim wypadku ten powrót do pełnej fizycznej sprawności może potrwać trochę dłużej.*

*Całuję Twoje ręce i polecam Cię opiece Matki Bożej.*

*Twój Jacek*

Z oczyma pełnymi łez Krysia poprosiła babcię, aby opowiedziała jej, jak wygląda Jacek i jakich doznał obrażeń. Ta zrelacjonowała jej swoją rozmowę z lekarzem prowadzącym leczenie Jacka, który dokładnie opisał stan chorego: pacjent doznał urazów, poważnie zagrażających jego życiu. Po wypadku ulokowano go w specjalistycznym szpitalu, gdzie przeszedł szereg zabiegów operacyjnych. Przeprowadzono trepanację czaszki celem usunięcia krwaka, miał też pękniętą miednicę i liczne złamania rąk i nóg. Obecnie, jak twierdził lekarz, prognozy są dobre. Jego młody, silny organizm nie poddawał się i teraz po zabiegach powoli nabierał sił.

– Babciu, ty nie wiesz. W dniu, kiedy zdarzył się ten wypadek, Jacek mi się oświadczył, a ja przyjąłem oświadczyń. Umówiliśmy się, że następnego dnia przyjdzie do ciebie prosić o moją rękę. On mnie wtedy odprowadzał, gdy był ten straszny deszcz. Gdyby nie ja, nie uległby wypadkowi. To wszystko przeze mnie – zakończyła płacząc.

– Nie płacz, dziecko moje. Ty nie jesteś winna temu, co się stało. W gazetach pisano, że w tym miejscu powinny być światła ostrzegawcze. Gdy pada intensywny deszcz lub śnieg, kierowcy nie widzą pasów na przejściach dla pieszych.

Przyszedł czas na zdjęcie gipsu z nóg Krysi. Gdy to zrobiono, odczuła dużą ulgę. Doktor obejrzał nogi uwolnione od gipsu i zalecił odpowiednie ćwiczenia rehabilitacyjne. Stopy nóg były jeszcze ścierpnięte, ale ukrwione i reagujące na bodźce. To oznaczało, że wszystko wróci do normy. Kilka dni po zdjęciu gipsu w czasie wizyty doktor Rogowski oznajmił jej, że zabieg się udał.

– Nogi odzyskają pełną sprawność. Byłoby wskazane wykonać niewielką operację plastyczną prawej nogi, ale to dopiero po rehabilitacji i odzyskaniu pełnej sprawności. Za kilka dni zostanie pani przeniesiona na oddział rehabilitacji. Właściwie moja rola już jest skończona.

Krysia podziękowała mu i wyraziła swoją wdzięczność. Doktor odrzekł, że ma dużą satysfakcję, że udało się z powodzeniem zakończyć ten trudny medycznie przypadek.

– No to na koniec jeszcze zbadam panią i zobaczę, jak się ma pani kręgosłup, który też doznał, lekkiej na szczęście, kontuzji.

Doktor dokładnie obejrzał plecy chorej, pukał, uciskał, pytał, czy nie boli, potem założył słuchawki i badał płuca oraz serce. Gdy słuchał pracy serca, zauważył medalik na szyi Krysi. Dziewczynę zdziwiło, że na moment wziął go do ręki i odwrócił. Trwało to tylko moment, po czym spojrzał jeszcze na kartę zawieszoną przy łóżku i odszedł.

W godzinach popołudniowych, jak zwykle ruch w szpitalu się zmniejszył, lekarze poszli do domu i została tylko służba dyżurująca. Naraz w tej przedwieczornej ciszy w pokoju Krysi zjawił się doktor Rogowski.

– Bardzo panią przepraszam – zaczął. – Przychodzę w sprawie prywatnej, czy pani pozwoli?

– Ależ oczywiście, panie doktorze, bardzo proszę – odpowiedziała ogromnie zdziwiona i zaciekawiona tą niespodziewaną wizytą Krysia.

– Pozwoli pani, że przy niej usiądę, gdyż mam kilka pytań całkowicie niezwiązanych z moją rolą lekarza.

Podsunał stojące obok krzesło i usiadł.

– Chodzi mi o ten medalik na pani szyi. Skąd pani go ma?

– Panie doktorze, mam go od lat niemowlęcych. Moja opiekunka, siostra Kazimiera, jest zdania, że ten medalik założyła mi moja mama.

– A co z mamą?

– Moja mama i chyba też tata zginęli na Wołyniu. Mnie ktoś wyniósł z pogromu i znalazłam się u sióstr zakonnych w Równem. Miałam wtedy około dwóch i pół roku, nie potrafiłam jeszcze mówić. Siostry zauważyły, że reaguję na imię Krysia, a ten medalik utwierdził je w przekonaniu, że jestem ochrzczonym polskim dzieckiem. Potem zostałam adoptowana przez jedną z sióstr i noszę jej nazwisko rodowe – Wrońska. Przy tych siostrach wyrosłam i u nich mam swój dom.

– Hmm, to dziwne, bo ja też posiadam taki medalik – doktor rozpiął kołnierzyk koszuli i zdjął z szyi medalik. – Porównajmy je.

Krysia zdjęła swój i dokładnie im się przyjrzeni. Na rewersie obydwu były inicjały, też identyczne. Krysia była bardzo zdziwiona, a doktor wyraźnie wzruszony.

– Mam jeszcze jedno pytanie. Czy pani wie, gdzie był ten pogrom, z którego panią wyniesiono?

– Siostry twierdzą, że w Janowej Dolinie.

Doktor o nic już nie pytał. Siedział i patrzył na Krysię wzruszony...

Po chwili rzekł:

– Proszę pani, to, co za chwilę powiem, jest tylko moim przypuszczeniem, pewności nie mam. To może być dziwny zbieg okoliczności, ale trudno byłoby wytłumaczyć te zbieżności. Mamy podobne oryginalne medaliki, mnie też ktoś wyprowadził w czasie napadu na Janową Dolinę, kiedy zginęła moja mama. Pamiętam, że miałem małą siostrzyczkę, o imieniu Krysia. Różnica wieku między nami też się zgadza. Jestem od pani starszy około czterech lat. Mamy również tę samą, rzadko występującą grupę krwi. Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy rodzeństwem.

Krysia była w szoku. Ona, do tej pory zupełna sierota, ma brata!? Wydawało jej się, że śni.

Wyraźnie wzruszony doktor pożegnał się i wyszedł, zapowiadając, że będą w stałym kontakcie.

Rewelacyjna rozmowa między Krysią i doktorem Rogowskim ogromnie poruszyła babcię Kazimierę i wszystkie siostry w ochronce. „Krysia ma brata!”, mówiły między sobą.

Tymczasem Krysię przeniesiono już na oddział rehabilitacji, gdzie codziennie była poddawana odpowiednim ćwiczeniom i zabiegom przywracającym sprawność nóg. Skutek był wyraźny: ustały bóle podudzi i mrowienie stóp, wróciła normalna funkcja wszystkich mięśni i stawów. Odwiedzał ją tam doktor Rogowski. Śledził wyniki ćwiczeń i cieszył się, że są dobre. Pewnego dnia w rozmowie z Krysią znów poruszył tematykę rodzinną.

– Nie powiedziałem pani, że mam żonę Annę i synka Jasia, ale, co może być dla pani najważniejsze, mam też ojca, którego udało mi się odnaleźć. Prawdopodobnie jest on też pani ojcem.

Krysia słuchała i patrzyła na doktora szeroko otwartymi oczyma. „Mój ojciec?!”, myślała z przejęciem...

– Zapamiętałem, że tatę gdzieś zabrali, teraz wiem, że go aresztowali i wywieźli do Rosji. Pamiętam, że z mamą rano i wieczorem modliliśmy się o jego powrót. Gdzieś w zakamarkach mojej pamięci zachowała się informacja, że nazywał się Waldemar Wysocki, a ja, jego syn, również

nosiłem to nazwisko, a wołano na mnie Witoldzik, czyli Witold. Do dziś używam tego imienia, a nazwisko „Rogowski” nadano mi po adopcji. Po tragedii w Janowej Dolinie, gdzie zginęła moja... nasza matka Walentyna, zostałem przygarnięty przez rodzinę Rogowskich. To wszystko pamiętam. Zostałem z nimi wywieziony do Niemiec, gdzie małżeństwo Rogowscy musieli pracować w polu, a ja pilnowałem ich małego synka. Bardzo mnie polubili i gdy wróciliśmy po wojnie do kraju, adoptowali mnie jako swego syna. A więc, jeżeli pani jest moją siostrą, to jej rodowe nazwisko brzmi Wysocka – doktor zamilkł na chwilę, po czym kontynuował:

– Pani Krystyno, moja żona chciałaby poznać panią. Trzeba też, aby poznał panią mój... czyli nasz ojciec. I w związku z tym mam prośbę: on nie wie o naszym odkryciu, że najprawdopodobniej jesteśmy rodzeństwem. Byłby to zbyt duży wstrząs dla niego po tych strasznych przejściach wojennych. Proszę, jeżeli pani się zgodzi, aby bywała u nas i razem, stopniowo go do tej wiadomości przygotowujemy. Czy mógłbym zatem z moją żoną któregoś dnia odwiedzić panią i zabrać na wizytę do mojego domu? Ojcu powiemy, że jest pani naszą przyjaciółką. I jeszcze jedno: te medaliki są rękodziełem naszej mamy. Tata też ma taki. Według niego nasza mama była artystką.

– Och, panie doktorze...

Tu przerwał jej prosząc, aby mówiła do niego „Witoldzie”.

– Panie Witoldzie, jestem bardzo wzruszona tym, co od pana słyszę. To nic innego, tylko wyraźny cud. Bardzo chcę odwiedzić wasz dom i zobaczyć ojca.

\*\*\*

Babcia przywiozła Krysi jej garderobę: ładną suknię i pantofle. Gdy przyjechał Witold, była już gotowa. Przybył z żoną, aby przedstawić ją Krysi i wspólnie zaprosić do ich domu.

Waldemar Wysocki uniknął śmierci w łuckim więzieniu. Po wyroku został wywieziony do sowieckich łagrów, gdzie przeszedł katorgę i głód. Gdy Witold dorósł i usamodzielniał się, odnalazł ojca przez Czerwony

Krzyż. Waldemar wrócił do kraju jako stary, siwy, wyczerpany człowiek. Bardzo przeżył wiadomość o śmierci ukochanej żony Walentyny, córki Krysi i teściów. Dodatkowym dla niego wstrząsem była informacja, że jego rodzina i kuzyni mieszkający w powiecie rówieńskim zostali wymordowani przez bandę ukraińską. Wtedy też zginęła Irenka.

W chwili, gdy Krysia odwiedziła ich dom, Waldemar siedział w głębokim fotelu i czytał jakąś gazetę. Kiedy Witold przedstawiał mu Krysię jako ich przyjaciółkę, Waldemar odłożył gazetę i zdjął okulary, by lepiej widzieć gościa. Gdy spojrzał na stojącą przed nim Krysię, zaniemówił, a jego oczy zaszkliły się łzami. Złożył ręce jak do modlitwy i zawołał:

– Boże mój, to Walentyna, moja kochana Walentyna, czy to rzeczywiście czy zjawa?... Te same włosy, chabrowe oczy i uśmiech ten sam, i cała postać!

Krysia stała w milczeniu, przejęta do najwyższych granic, a wzruszony Witold szepnął do niej:

– To najważniejszy i decydujący test! Krysiu, jesteś moją siostrą!

Dramaturgia tego spotkania była tak przejmująca, że wszyscy płakali. Krysia zaś padła na kolana przed ojcem i całowała jego ręce. On nie wiedząc, że ma przed sobą córkę, cofał ręce i mówił:

– Bardzo panią przepraszam za moje uniesienie, ale pani tak bardzo podobna jest do mojej świętej pamięci żony Walentyny...

Krysia nadal klęczała i opierając czoło o jego kolana łkała. W końcu Witold ujął ją pod ręce i podniósł z kolan. Jednocześnie zdecydował się powiedzieć ojcu prawdę. „I tak przecież kiedyś trzeba to zrobić, najlepiej teraz, kiedy już wylano tyle łez...”, myślał.

– Kochany tatusiu, to nic dziwnego, że Krysia jest podobna do naszej mamy...

Tu ojciec przerwał mu pytaniem:

– Ta pani na imię ma Krysia, tak jak moja córka?

– Bo ona jest twoją córką, tatusiu.

– Moją córką, moją córką?... Co ty mówisz! Boże mój, czy ja nie śnię?

– Nie, nie śnisz, tatusiu, chociaż to wygląda na cudowny sen.

Rzeczywiście, Krysia jest twoją córką, a moją siostrą.

- Jeżeli to prawda, to jak ją znalazłeś, synku?
- Pomogła nam się znaleźć Matka Boska Ostrobramska.

I w tym momencie Witold poprosił Krysię o pokazanie medalika. Gdy Waldemar go zobaczył, złożył ręce i z wielkim przejęciem przemówił:

- Boże mój, co ja widzę, przecież nie jestem obłąkany, rzeczywiście mam przed sobą moją córeczkę. Ty jesteś tym moim kochanym maleńkim dzieckiem, zabrali mnie od was, kiedy miałaś pół roku i dopiero teraz znajdujemy się, dzięki Ostrobramskiej i waszej mamie, która wykonała te medalioniki.

W tym momencie Waldemar drżącymi z przejęcia rękoma wydobył spod kołnierzyka koszuli swój medalionik i położył go na dłoni, podobnie jak Krysia. Widząc to, Witold zrobił to samo i zbliżył się do nich. Jakże wzruszająca i wymowna była symbolika tych trzech dłoni z medalionikami. Oto polska kresowa rodzina, rozbita i okaleczona, po latach tułaczki i cierpienia cudownie odnajduje się dzięki tym misternym ikonkom, wyrzeźbionym przez matkę-artystkę. Zaopatrując w ten medalionik każdego członka rodziny, czyniła to ze względów kultowych, ale może też wizjonerskich, przewidując, że będą dowodem tożsamości rodzinnej.

W tym doniosłym dla rodziny momencie Waldemar wstał z fotela i przygarnął do serca dwoje swoich dzieci, które też go objęły. Ojcowskie ramiona tuliły dzieci, podczas gdy jego wzrok skierowany był ku górze. Dziękował Opatrzności, a może też – gdzieś tam w przestworzach – szukał świetlanego ducha Walentyny...

Był to dla tej rodziny dzień wstrząsających wzruszeń. Szczególnie dla Waldemara, który po przeżyciu koszmaru sowieckich łagrów miał osłabioną odporność psychiczną, dawka dzisiejszych emocji była zbyt duża. Nie był przygotowany na tak wielkie, choć radosne wzruszenia. Potrzebował czasu, aby oswoić się z faktem odzyskania córki. Powoli uspokajał się i powracał do równowagi psychicznej. Ciągłe przyglądał się Krysi. Podziwiał jej urodę i powtarzał, że jest fotografią swojej mamy, Walentyny. Krysia usiadła na dywanie przy jego fotelu i spoglądała na twarz swego taty. Chcąc odwrócić jego uwagę od swojej osoby, poprosiła:

– Tatusiu, opowiedz mi o mojej mamie.

– Była taka jak ty. Taka sama sylwetka, barwa głosu. Te same błyski w oczach... Twoja mama była osobą mądrą, niezwykle uzdolnioną, pracowitą, troskliwą matką i moją ukochaną żoną. Była też artystką. Pięknie malowała krajobrazy ziemi wołyńskiej, a później odkryła w sobie talent rzeźbiarski i znakomicie rzeźbiła w drewnie i w innych tworzywach. Przykładem tego są zachowane przez nas medalioniki, kunsztownie wyrzeźbione w rogowej kości. Ten ostatni, czwarty medalionik, przeznaczony dla ciebie, mama wykonała jeszcze przed twoim przyjściem na świat. W dniu twego chrztu założyliśmy go na twoją szyjkę.

Waldemara bardzo interesowały koleje losu Krysi. Musiała mu szczególnie opowiedzieć o wszystkich tych latach spędzonych już bez rodziców. Były momenty, kiedy pod wpływem jej opowiadania wycierała łzy, ale były też takie, kiedy z dumą i podziwem patrzył na swoją córkę, zwłaszcza gdy mówiła o swoich ambitnych planach naukowych.

Aż na koniec Krysia powiedziała ojcu, że ma narzeczonego, który pewnego dnia go odwiedzi z prośbą o jej rękę. Słyszając to, Waldemar bardzo się ożywił i pytał, kiedy to nastąpi, bo bardzo by chciał poznać swojego przyszłego zięcia. Krysia opowiedziała całą historię spotkania i poznania Jacka, ich plany na przyszłość, przerwane tragicznym wypadkiem, kiedy oboje omal nie stracili życia.

– Ale ten wypadek, tatusiu, był też dla mnie błogosławieństwem. To cena, jaką zapłaciłam za odnalezienie ciebie i Witolda.

Dialogu ojca z córką z uwagą słuchali Witold i jego żona. Dawno nakryty stół czekał z posiłkiem. Gdy do niego zasiedli, Krysia odczuła doniosłość tej chwili: pierwszy raz zasiada do stołu w gronie swojej rodziny, brakowało jej tylko przy tym stole kochanej babci Kazimiery. Przyjrzała się teraz Jasiowi, trzyletniemu synkowi Witolda, który grzecznie siedział między rodzicami na swoim podwyższonym krzeselku i wyglądał jak piękny barokowy aniołek. Imię Jan, jakie otrzymał na chrzcie, było mu nadane dla uczczenia pamięci dziadka Jana, którego Witold pamiętał. W czasie rozmowy przy stole Witold zwrócił się do Krysi:

– Kiedy chcesz odwiedzić swego Jacka?

– Chciałabym jak najszybciej.

– Wobec tego pojedziemy tam razem, jutro zawiozę cię do niego i jeżeli pozwolisz, sam chciałbym go poznać.

– Kochany jesteś, braciszku – z radością odrzekła Krysia.

\*\*\*

Jacek po wielu zabiegach, wymizerowany i blady, czuł się jednak coraz lepiej. Już zdjęto mu gips, ale miał jeszcze przed sobą długi okres różnych fizycznych ćwiczeń na oddziale rehabilitacji. Bardzo martwił się o chorego tatę i tęsknił za Krysią. Ciągłe marzył o spotkaniu z nią. Gdy zobaczył ją w drzwiach swego pokoju, serce gwałtownie mu zabiło. Wyszedł na jej spotkanie i chwycił ją w ramiona. Ona oparła czoło o jego ramię i cicho płakała, wzruszona pierwszym po wypadku spotkaniem. Było to powitanie bez słów, a wyrażające wszystko, co ich łączyło, powitanie jak po powrocie z dalekiej, niebezpiecznej podróży... Witold stał w milczeniu i patrzył na nich wzruszony. Wreszcie Krysia się zreflektowała:

– Ale ja jeszcze nie przedstawiłam ci mojego brata Witolda, dzięki któremu stoję teraz przed tobą na własnych nogach. Jak już wiesz, on uratował mi nogi, wtedy nie wiedząc, że ocala od kalectwa swoją siostrę... Oto on.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, a Witold objął Jacka, życząc mu szybkiego powrotu do pełnego zdrowia. Jacek wskazał na krzesła prosząc, aby usiedli. Skorzystała z tego Krysia, a Witold powiedział:

– Wy sobie porozmawiajcie, bo i macie o czym, a ja tymczasem pójde do tutejszych lekarzy, wśród których mam kilku kolegów.

Krysia wyjęła z torby jakieś kompoty, galaretki i owoce przygotowane dla Jacka przez babcię Kazimierę.

– Ach, twoja babcia... Nie zdążyłem jej wtedy osobiście poznać i stało się to dopiero tu, w szpitalu, gdy mnie odwiedziła. Podziękuj i pozdrów ją ode mnie.

– A ona przesyła ci życzenia powrotu do zdrowia. Podobnie, mój tata prosił, abym cię pozdrowił od niego.

– Przekaż mu moje podziękowanie.

Krysia z troską patrzyła na zmizerowaną twarz Jacka, pytała jak się czuje, z uwagą przejrzała kartę choroby, zawieszoną przy jego łóżku. Później opowiadali sobie nawzajem, co się z nimi działo po tamtym tragicznym momencie. Co czuli po odzyskaniu świadomości i jaka była historia ich pobytu w szpitalu. Jacek z wielkim zainteresowaniem słuchał opowiadania o spotkaniu Krysi z ojcem. Potem snuli swoje wspólne plany po wyjściu ze szpitala. Tę intymną pogawędkę przerwał Witold. Wszedł do pokoju z ordynatorem oddziału, który był jego kolegą i chciał poznać i przywitać siostrę Witolda.

\*\*\*

Krysia po wypisaniu ze szpitala wróciła do swego domu, do babci Kazimierzy. Nie mogła postąpić inaczej, chociaż brat proponował, aby zamieszkała w jego domu. Z babcią i siostrami z sierocińca, a także z dziećmi, którymi pomagała się opiekować, była związana uczuciowo. Tu spędziła dzieciństwo, czas wzrastania i dotychczasowe dojrzałe życie. Nie miała wątpliwości, że w tej kwestii ojciec i brat ją zrozumieją. Poza tym, w czasie odwiedzin Jacka w szpitalu powzięli wspólnie decyzję, że najszybciej jak to będzie możliwe wezmą ślub, a potem zamieszkają w domu Jacka.

Waldemar tęsknił za córką, a że mieszkali niezbyt daleko, więc ona często go odwiedzała. W czasie rozmów wyraził pragnienie spotkania z siostrą Kazimierą. Krysia przekazała babci prośbę ojca i pewnego dnia obie przybyły do niego. Gdy przedstawiła ich sobie i nawiązała się między nimi rozmowa, wyszła, udając się do sąsiedniego pokoju, aby porozmawiać z Anną i pobawić się z Jasiem.

To było pierwsze spotkanie Waldemara z zakonnicą, która jego córce zastąpiła rodziców. Z wielkim szacunkiem powitał niezwykle gościa i w pierwszych słowach wyraził wielką wdzięczność za opiekę nad Krysią. Siostra Kazimiera odpowiedziała, że jej zgromadzenie zakonne prowadzi sierocińce i ich powołaniem jest niesienie pomocy i opieki nad osieroconymi dziećmi.

– Mamy takie zadanie – mówiła – ale niezależnie od obowiązku, kochamy te dzieci. Krysia była dzieckiem, którego nie można było nie

kochać. Od początku nie stwarzała żadnych trudności wychowawczych, a później bardzo dobrze się uczyła. W chwilach wolnych od nauki dobrowolnie i z dużym powodzeniem zabawiała nasze dzieci albo pomagała w kuchni czy sprzątaniu. Nasz sierociniec jest ośrodkiem przejściowym dla tych dzieci. Wiele z nich zostaje adoptowanych przez rodziny zastępcze, inne na skutek niesprawności fizycznej przenoszone są do placówek specjalistycznych, pozostałe, gdy dorosną do wieku szkolnego, są przejmowane przez ośrodki dla dzieci starszych. Krysia stanowiła wyjątek w naszym ośrodku, była perełką, której nie chcieliśmy oddać w inne ręce. Dziecko bardzo przywiązało się do mnie, ja ją też bardzo pokochałam i postanowiłam uratować od przeniesienia. Nie miała nazwiska, przeto gdy zbliżał się czas posłania jej do szkoły, ja, za zgodą moich przełożonych, dokonałam sądowej adoptacji, dając jej moje rodowe nazwisko. Dzięki temu Krysia została przy nas, dorosła, ukończyła szkoły, potem studia i dziś jesteśmy dumne z jej osiągnięć intelektualnych.

Waldemar słuchał tego z wielkim wzruszeniem. Po chwili spytał:

– A jak to się stało, że nadal nosi imię, które nadaliśmy jej na chrzcie?

Kazimiera opowiedziała o swoim eksperymencie, kiedy to wymawiając wiele popularnych imion przy dziecku, zauważyła, że reaguje ono na imię „Krysia”.

– Bogu jestem wdzięczny, że moje dziecko ocalało i trafiło do tej katolickiej ochronki, gdzie spotkało się z miłością i troskliwą opieką. Siostrze zaś szczególnie jestem wdzięczny za zastąpienie jej matki i stworzenie rodzinnego klimatu, w którym rozwijała się bez sierociego kompleksu, przy swojej kochanej babci, jak siostrę nazywa. To dzięki siostrze Krysia miała szansę osiągnąć dobre wyniki w nauce. Wiem, że staraniem siostry Krysia uzyskała stypendium ufundowane przez kurie diecezjalną, dzięki czemu mogła podjąć studia na KUL. Ja i moja śp. żona Walentyna byliśmy czcicielami Matki Bożej. Jej obraz w naszym domu był otoczony szczególnym kultem. Głęboko wierzę, że za Jej sprawą nasze dziecko w tragicznym momencie życia trafiło do waszego sierocińca, pod opiekę siostry, a później w cudowny sposób odnalazł

Krysię Witold. Wszystko zawdzięczamy Pani Ostrobramskiej, tak miśternie wyrzeźbionej na naszych medalionikach przez moją niezapomnianą żonę.

– Mam nadzieję, że Matka Boża wprowadzi Krysię na nową drogę życia. Jej narzeczony to znany działacz katolicki, człowiek, do którego można mieć zaufanie – dodała siostra Kazimiera.

– Krysia obiecała, że już niedługo go poznam – odrzekł Waldemar.

Siostrze Kazimierze i małżeństwu Rogowskim Waldemar zawdzięczał to, że zaopiekowali się i wychowali jego córkę i syna. Ale wciąż myślał o tych nieznanych sobie ludziach, którzy owej strasznej nocy w Janowej Dolinie wynieśli jego dzieci z pola śmierci. Tylko Bóg wiedział, kim byli. On nie mógł im podziękować, ale włączał do codziennej modlitwy prośbę o błogosławieństwo dla nich.

Siedząc w swoim fotelu Waldemar rozważał wojenne koleje losu polskich rodzin wołyńskich a wśród nich swojej, która stanowiła jeden z wielu wątków tego dramatu. Nie opuszczały go rzewne myśli i wspomnienia szczęśliwych lat życia z Walentyną i dziećmi... I te mrożące wspomnienia oderwania go od rodziny, ogromnej troski o nią i tych nękających przesłuchaniach... Pamiętał zimne oczy śledczego, brutalne traktowanie i oskarżenia bez szansy obrony, a potem ogłoszony przez sędziego krótki wyrok...

I znalazł się w łagrze, bardzo daleko od swojej rodziny i kraju. Głód, chłód, ciężka praca, rozdzierająca serce tęsknota i troska – jak ona sobie radzi bez niego... A dalej długie lata kompletnego osamotnienia i bezradności. Nie otrzymał odpowiedzi na listy wysyłane do rodziny w kraju. Pozostała mu jedynie modlitwa i nadzieja... I naraz z dalekiego kraju nadeszła niespodziewana wiadomość. Ktoś z jego rodziny go poszukuje i czyni starania sprowadzenia go do Polski. Poinformowano go, że poszukuje go niejaki Witold Rogowski. To nazwisko nic mu nie mówiło, ale kimkolwiek był ten człowiek, niech będą błogosławione jego starania. Wrócił do kraju. Cekał na niego młody człowiek, który oznajmił mu, że jest jego synem. Ponad dwadzieścia lat rozłąki... Nie poznał go, jednak mu uwierzył. Ale gdzie jest reszta jego rodziny: żona, córka, teściowie?...

I nowy straszliwy cios: nie żyją!... Wrócił do swego rodzinnego domu i zastał go w gruzach... Bogu dziękował, że został mu syn. Niekończące się dni rozpacz po stracie ukochanej żony, córeczki i teściów wywołały depresję duchową, ale wyciągnęli go z niej opiekuńczy i kochający syn i synowa, a osłodą goryczy stał się ukochany wnuczek, który pokochał swego dziadka. Waldemar powoli dochodził do stanu względnej równowagi ducha, pogodzony z losem, jaki zgotowało mu życie... I naraz nowa eksplozja wzruszeń, tym razem niewiarygodnie szczęśliwych, wydawało mu się, że zbyt pięknych, aby mogły być prawdziwe. Jak feniks z popiołów, pojawia się jego ukochana córeczka, Krysia. Jest przy nim, widzi ją, poznaje po urodzie, jest wierną kopią Walentyny, posiada też rodzinny medalionik...

Ma teraz syna i jego rodzinę, ma cudownie odnalezioną córkę, która jest drugą po synu, bezcenną cegiełką zburzonego domu. Krysia, w odczuciu Waldemara, swoim podobieństwem i urodą w dużym stopniu kompensuje bolesny brak Walentyny...

\*\*\*

Jacek, bardzo wyczekiwany przez swego ojca, wrócił ze szpitala do domu. Jego główną troską był aktualny stan zdrowia ojca. Dziękował osobom opiekującymi się nim pod jego nieobecność, zasięgnął informacji i porady u lekarza w swoim ośrodku zdrowia i przejął wszystkie obowiązki opieki. Samopoczucie ojca poprawiło się, a to głównie dzięki odzyskaniu ukochanego syna. Ucieszony, z ożywieniem opowiadał synowi o wszystkim, co działo się w czasie jego nieobecności, ile doznał pomocy od poszczególnych ludzi. Z dużym zadowoleniem i poczuciem zwycięstwa pokazał synowi decyzję sądu, przyznającą odszkodowanie za utratę zdrowia grupie hutników, wśród których jest również i on. Pieniądze te wystarczą na pokrycie kosztów remontu domu i pozwolą spełnić jego marzenie: kupno samochodu dla syna. Dotychczas Jacek posiadał motocykl SHL, który już się zużył i stoi w piwnicy. Wszystko to cieszyło Jacka, ale najbardziej radował się z pogody ducha i optymizmu taty.

Jacek czuł się zobowiązany, aby przedstawić ojcu plany matrymonialne ustalone z Krysią. Przeto wkrótce po powrocie powiedział mu, że jeszcze przed swoim wypadkiem spotkał dziewczynę, którą pokochał i jest to miłość wzajemna. Oboje pragną połączyć się z sobą na całe życie. W najbliższych dniach przedstawi mu swoją narzeczoną. Schorowany starzec czuł, że jego życie dobiega kresu. Chciał tylko doczekać dni, kiedy jego jedyny syn założy rodzinę. Toteż z zadowoleniem przyjął oświadczenie syna.

W porozumieniu z Krysią ustalili też dzień spotkania Jacka z babcią Kazimierą, aby ten poprosił ją o pozwolenie i błogosławieństwo ich związku. To miała być tylko formalność, gdyż siostra Kazimiera o wszystkim już wie i akceptuje. Życzeniem siostry Kazimiery było jednak, aby wydarzenie to miało uroczystą oprawę i by uczestniczyły w tym wszystkie współsiostry z ośrodka.

Siostra Kazimiera przywitała się z Jackiem, który przyszedł w towarzystwie Krysi, po czym oznajmiła, że pragnie przedstawić go wszystkim siostronom ośrodka, gdyż z nimi wszystkimi łączą Krysię serdeczne więzy przyjaźni. Otworzyła drzwi do jadalni, gdzie stał długi stół nakryty białym obrusem, z dużym bukietem kwiatów pośrodku, były ciastka, a w szklankach dymiła gorąca herbata. Za stołem stały w rzędzie wszystkie siostry z ośrodka. Gdy weszli, siostra Kazimiera zwróciła się do Krysi:

– Proszę, Krysiu, przedstaw swego Jacka.

Krysia była tym zaskoczona, myślała bowiem, że to babcia dokona prezentacji. Spłonęła na twarzy jak róża. Trwało to jednak tylko moment. Szybko wrócił jej animusz, uniosła głowę i patrząc na siostry, przemówiła:

– Drogie moje siostry, spędziłam przy was wiele lat, dużo od was znałam dobra, pokochałam was jak członków mojej rodziny. Jak wiecie, zawsze marzyłam, żeby pójść waszymi śladami i wstąpić do zakonu... Jednak plany Najwyższego były inne. Zakochałam się, poczułam powołanie i pragnienie bycia żoną i matką. Pozwólcie teraz, że przedstawię wam mego narzeczonego, Jacka Kłownowskiego, który życzył sobie tego spotkania i teraz pragnie osobiście się do was zwrócić.

Gdy Krysia prezentowała Jacka jako narzeczonego, on wykonał ukłon w kierunku sióstr. Zabierając głos, zwrócił się do siostry Kazimieri:

– Przez cały okres pobytu Krysi w tym ośrodku siostra zastępowała jej matkę. Chcąc ją zachować przy sobie, dokonała adopcji, dając jej swoje rodowe nazwisko. Dobry Bóg sprawił, że Krysia znalazła się na drodze mojego życia. Pokochałem ją, jest pierwszą moją miłością i pragnę, aby została moją żoną. Przeto zwracam się do siostry z prośbą o zgodę i o błogosławieństwo naszego związku, o to błogosławieństwo i modlitwę proszę wszystkie siostry – w tym momencie ponownie się uklonił.

– Błogosławimy! – rzekła siostra Kazimiera, a za nią powtórzyły wszystkie siostry.

Po odmówieniu krótkiej modlitwy, co było regułą zakonnic, zasiedli do stołu.

\*\*\*

Do spotkania z Waldemarem Jacek przykładał szczególną wagę. To ojciec Krysi, człowiek z dużym багаżem przeżyć. Krysia jest jego cudownie odnalezioną córką, a przy tym swoją osobowością i wyglądem bardzo przypomina mu żonę, Walentynę. Może w pierwszym odruchu odmówi oddania córki człowiekowi, którego nie zna. Jacek liczył się z tym i był przygotowany z pokorą przyjąć odmowę, ale wcale nie miał zamiaru rezygnować. Da mu czas na poznanie siebie i tyle razy będzie prosił, aż uzyska zgodę. „Ostatecznie Krysia rozstrzygnie sprawę, jej nie odmówi”, myślał.

Kiedy wreszcie doszło do spotkania, Krysia witając się z ojcem powiedziała:

– Tatusiu, oto jest Jacek, o którym ci mówiłam.

Waldemar, siedząc w fotelu, zdjął okulary i spojrzał na niego. Jacek uklonił się, ale z przejęcia nie był w stanie przemówić. Waldemar widząc, że chłopak jest speszony, wyciągnął do niego rękę i powiedział:

– Witam!

Jacek wziął w swoje obie dłonie tę rękę, z czcią ucałował i powiedział:

– Przybywam tu, aby okazać panu mój najwyższy szacunek i zwrócić się z prośbą o rękę jego córki Krysi, którą kocham i pragnę, aby została moją żoną.

Czekał w napięciu na odpowiedź Waldemara, ten zaś poprosił ich oboje, aby usiedli przy nim, po czym rzekł:

– Wiem ja już o tym od Krysi, a ponieważ pragnę jej szczęścia, więc całym sercem jestem z wami – wstał z fotela, otworzył ramiona i rzekł: – Pójdźcie, niech was uściskam.

I tulił ich do swego serca, a oni ze łzami w oczach całowali jego ręce. Potem gwarzyli z sobą. Waldemar pytał Jacka, jak czuje się po wypadku i jak się ma jego tata, którego chciałby poznać. Interesował się też tym, kiedy planują ślub i gdzie później zamieszkają.

W międzyczasie Anna z Krystyną przygotowały posiłek. Wkrótce wrócił z pracy Witold i razem spędzili miły rodzinny wieczór.

W tym skomplikowanym łańcuchu powiązań rodzinnych i wzajemnych kontaktów brakowało jeszcze jednego ogniwa – poznania się z sobą obu ojców, Waldemara i Józefa (bo takie imię miał ojciec Jacka). Ustalono, że niebawem do tego dojdzie. Sprawy organizacyjne związane ze ślubem i weselem wymagały takiej debaty rodzinnej. Urządzono ją w niedzielny wieczór w domu Jacka, gdzie Witold przywiózł Waldemara, siostrę Kazimierę i Krysię. Obaj seniorzy uściśli sobie dłonie.

– Gratuluję wspaniałego syna! – powiedział Waldemar.

– Gratuluję wspaniałej córki! – jak echo odpowiedział Józef.

Po wymianie ciepłych słów powitania przez wszystkich Jacek poprosił o zajęcie miejsca przy stole, na którym stały napoje i ciastka. Sam usiadł przy Krysi i rozpoczęła się rozmowa. Oboje młodzi ustalili już między sobą dzień, miejsce i przebieg uroczystości ślubnej, teraz oczekiwali od seniorów ewentualnych uwag, uzgodnienia szczegółów i podziału ról. Główny ciężar organizacyjny wzięli na siebie Witold z żoną Anną. Współpracowali z nimi koledzy i przyjaciele Jacka z ruchu oazowego. Siostry zakonne prześcigały się nawzajem w uszyciu sukni ślubnej i welonu dla swojej ukochanej Krysi. Przygotowały kilka par dzieci do asysty państwu młodym w czasie ich ślubu.

Ślub odbył się w sobotnie popołudnie w kościele, przy którym zrodziła się miłość tych dwojga. Uroczysta msza święta koncelebrowana była przez proboszcza i księdza moderatora ruchu oazowego. W homilii ksiądz moderator dość szeroko scharakteryzował niezwykłą parę, której za chwilę miał udzielić ślubu. W pierwszych kościelnych ławach siedzieli: siostra Kazimiera, a po obu jej stronach Waldemar i Józef, Witold i jego żona Anna oraz opiekunowie Witolda – Rogowscy i siostry z sierocińca. Za nimi członkowie ruchu oazowego, a wszystkie dalsze ławki wypełnione były ludźmi, bowiem Jacek cieszył się w tym środowisku dużą popularnością.

Przed ołtarzem stała Krysia w pięknej białej sukni z długim welonem trzymany przez dwoje dzieci, za którymi ustawilo się kilka następnych par dzieci z sierocińca. Obok niej Jacek – w ciemnym garniturze. Oboje byli bardzo wzruszeni doniosłością chwili. Można sobie wyobrazić, co działo się w duszy Krysi: ona, zdeklarowana kandydatka na konsekrowany stan zakonny, za sprawą niezbadanych, nieprzewidzianych planów Opatrzności stoi teraz przed ołtarzem, aby zawrzeć zupełnie inny sakramentalny związek. Zamiast nowicjatu zakonnego zapagnęła stanu małżeńskiego. Co, a właściwie kto wpłynął na tę zmianę? Ten ktoś stał obok niej, jego pokochała pierwszą płomienną miłością i z ufnością oddała mu całe swoje czyste jak kryształ życie.

W czasie mszy chór wykonał partię *Alleluja* z chorału *Mesjasz* Haendla. Następnie Ewa, przy akompaniamencie organowym swojego męża, w występie solowym wykonała *Ave Maryja*. Po mszy świętej nastąpił uroczysty ślub, który dla Krysi i Jacka był wielkim przeżyciem. Każda para biorąca ślub sakramentalny, jeżeli traktuje go na serio i z pełną wiarą, przeżywa niepowtarzalne uniesienie duchowe, a cóż powiedzieć o tej parze: Krysia, teolog, w życiu religijnym skłonna do mistycyzmu, i Jacek, animator ruchu oazowego i utalentowany odtwórca muzyki sakralnej... Trzecią osobą, która niezwykle silnie przeżywała ten ślub, był Waldemar. Oczywiście wyobraźni widział on przy sobie niezapomnianą śp. Walentynę, jej chabrowe oczy, pełne łez

radości... Głęboko wierzył, że jej świetlany duch towarzyszy tej doniosłej rodzinnej chwili.

Po uroczystości ślubnej, przy donośnym akompaniamencie organów, chór wykonał hymn do Ducha Świętego – *Veni Creator Spiritus*. W czasie tego oratorium dostojna para skierowała się od ołtarza ku wyjściu. Przed kościołem składano jej życzenia i kwiaty. Następnie wszyscy udali się do udostępnionej przez proboszcza dużej sali konferencyjnej, wyposażonej w stoły i krzesła, a także w fisharmonię i podium dla chóru. Tam odbyła się uczta weselna, a po niej zabawa taneczna. Za stołem obok młodych i ich najbliższych zasiedli ksiądz proboszcz i ksiądz moderator. Chór wykonał kilka utworów przy akompaniamencie fisharmonii, za którą zasiadł organista. Starsi przy stole wesoło gwarzyli, a młodzież ochoczo ruszyła do tańca. Znalazł się wśród gości również akordeonista, który wygrywał wszystkie popularne, porywające do tańca utwory. W pewnym momencie na parkiet wyszła zza stołu młoda para. Taniec na własnym weselu był zarazem ich publicznym debiutem. Przed weselem w tajemnicy pobrali kilka lekcji towarzyskiego tańca pod okiem choreografa. W ich życiu i przy ich zainteresowaniach nie było czasu na tę godziwą rozrywkę.

Po weselu państwo młodzi zamieszkali w domu Jacka. Było to obszerny, położony wśród zieleni dom. Z odszkodowania, które otrzymał ojciec Jacka, mogli wykonać remont domu. Józef kupił też synowi w prezencie ślubnym nowy samochód – popularną „Syrenkę”.

Jacek jako inżynier metalurgii miał stałą, niezłe płatną pracę, wystarczającą na utrzymanie rodziny. Krysia zawiesiła swoje plany naukowe. Pragnęła swój czas poświęcić mężowi i jego choremu ojcu. Teraz, gdy posiadali samochód, mogli też częściej odwiedzać Waldemara oraz babcię Kazimierę i jej współsiostry.

Jacek okazał się mężem bardzo kochającym swoją żonę, a przy tym tkliwym i opiekuńczym. Marzenia przedmałżeńskie Krysi spełniły się, a nawet przeszły jej oczekiwania. Słowem, było to małżeństwo bez reszty zanurzone w szczęściu i miłości. Była to miłość stateczna, autentyczna i trwała – taka, jakiej bardzo pragnęli.

## Epilog

Małżonkowie Jacek i Krystyna poza swoimi podstawowymi obowiązkami (Jacek pracował w hucie, a Krystia pełniła obowiązki pani domu i opiekowała się ojcem Józefem) udzielali się społecznie w ruchu oazowym: Jacek w swojej roli – animatora, Krystia miewała odczyty z dziedziny jej teologicznej wiedzy. Poza tym Jacek uczestniczył w próbach i występach chóru.

Kilkanaście miesięcy po ślubie doczekali się pierwszego, upragnionego dziecka – córeczki. Dla upamiętnienia śp. babci na chrzcie dano jej imię Walentyna. Bardzo ucieszyło to Waldemara, który w skrytości ducha marzył, aby jego pierwsza wnuczka (bo wnuka już posiadał) miała imię jego niezapomnianej żony. Niedługo natomiast cieszył się wnuczką Józef, zmarł bowiem w kilka miesięcy po jej urodzeniu. Był to wielki cios dla Jacka, który bardzo kochał swojego tatę. Ten jego ból starała się ukoić Krystia, która też bardzo przywiązała się do jego ojca, zawsze troskliwie opiekowała się nim, a on ją pokochał jak córkę.

Jackowie z córeczką bardzo często odwiedzali ojca Waldemara, a przy tym rodzinę Witolda, w której też urodziło się dziecko, następny, po Jasiu, chłopczyk. Odwiedzali też często sierociniec. Gdy Jackowie pojechali tam z dzieckiem, zbiegły się wszystkie siostry i z ciekawością patrzyły na nie, robiąc uwagi, do kogo bardziej jest podobne – do Krysty czy Jacka.

\*\*\*

Czas szybko mijał, dzieci rosły, kończyły szkoły, zdawały kolejne matury i wreszcie studia. W międzyczasie Polacy przeżyli szereg wstrząsów. Jednym z najważniejszych był wybór Polaka na papieża i jego wizyta w kraju. Zachwiało to fundamentami komunistycznej władzy w Polsce, a naród odnalazł swoją tożsamość chrześcijańską i ducha narodowego. Drugim wydarzeniem był spontaniczny wybuch solidarności robotniczej, który zadziwił świat i zachwiał posadami imperium sowieckiego. Trzecim – zbrodniczy stan wojenny w Polsce, który ekonomicznie zniszczył kraj

i pociągnął za sobą wiele ofiar śmiertelnych wśród ludności cywilnej. I wreszcie „Okrągły Stół”, który stał się początkiem zmian systemowych, polegających na odejściu od gospodarki socjalistycznej i dyktanda partii rządzącej. Rozpoczął się okres liberalizmu gospodarczego i kulturowego, czyli tak zwanej demokracji i pluralizmu. Ten trend miał wpływ na inne kraje obozu sowieckiego. Dzięki temu powstała niepodległa (może pozornie) Ukraina. W każdym razie rozluźniły się hermetyczne dotychczas granice. Pojawiła się możliwość odwiedzenia dawnych polskich Kresów Wschodnich. Waldemar, chociaż był już w dość poważnym wieku, czuł się na tyle dobrze, że zapragnął odwiedzić Czeremne i Michałówkę, gdzie się urodził. Jego zdanie podzielał syn Witold, który co prawda niewiele – ale pamiętał rodzinną ziemię. Krysia też zapragnęła zobaczyć kraj, w którym przyszła na świat. W czasie rodzinnej rozmowy ustalono, że pojedą cztery osoby: Witold z ojcem i Krysia z Jackiem. Witold posiadał dobrej marki samochód dla pięciu osób, toteż dla wszystkich wystarczyło wygodnych miejsc.

Wyruszyli w sobotę wczesnym rankiem. Dopiero wieczorem dotarli do Kostopola. Widzieli tam wielką biedę: podłe drogi, biednych ludzi, nędzne hotele. Po nocy spędzonej w hotelu wyruszyli do Czeremnego. Znana Waldemarowi droga z Kostopola do Czeremnego niczym nie przypominała tamtej z dawnych lat. Przede wszystkim nie biegła dawną trasą i była utwardzona kostką bazaltową. Sowietci intensywnie eksploatowali złoża bazaltu w Janowej Dolinie, więc potrzebowali utwardzonej drogi dla samochodów ciężarowych. Dawniej przy tej drodze ciągnęły się łąny zbóż, teraz są tam tylko ugory i burzany.

No i wreszcie Czeremne. Przed wsią zatrzymali się i wyszli z samochodu. Wzruszony Waldemar swoją laseczką pokazywał im różne miejsca.

– Tam – mówił – był dom waszego dziadka Jana, a nieco dalej dom ich polskich sąsiadów. Widzicie, nie ma żadnego śladu po nich, nie ma nawet sadu.

Natomiast chłopskie chaty były dość liczne. Gdy spojrzał w prawo, w kierunku lasu, ze zdumieniem i wielkim wzruszeniem zobaczył leśniczówkę. Wyglądała jak kiedyś, tylko jej drewniane ściany pociemniały ze

starości. Wsiedli do samochodu i połą drogą zbliżyli się do tego budynku. Był zadbane, z solidnym ogrodzeniem, ładnie otoczony kwiatami i zielenią. Sprawiał jednak wrażenie, jakby nikt w nim nie mieszkał. W pewnym momencie otworzyły się drzwi i ukazał się w nich stary chłop. Waldemar go pozdrowił i spytał, czy mieszka w tym domu, a on odpowiedział:

– *Niet, niet, ja tut ne żywu, ja tylki storóż* (nie, ja tu nie mieszkam, tylko jestem stróżem).

Człowiek ten wyjaśnił, że w tym budynku znajduje się obecnie muzeum partyzanckie, którego on pilnuje. Od 1943 roku aż do czasu uwolnienia tych terenów od Niemców i jeszcze dłużej, do końca drugiej wojny światowej, mieli tu swój sztab sowieccy partyzanci. W roku 1943 w szkole w Czeremnem mieli swoją kwaterę terroryści z UPA. Aczkolwiek partyzanci sowieccy w czasie wojny nie walczyli z UPA, jednak zbyt bliskie takie sąsiedztwo było dla nich niepożądane. Pewnej nocy partyzanci okrążyli szkołę i – jak to często bywało w owym czasie – po krótkiej walce nacjonalistów wystrzelano, a szkołę spalono. Po wojnie w tym miejscu powstał nowy budynek szkolny. Waldemar zapytał tego chłopca, czy może coś powiedzieć o rodzinie Hordija Kosznerczuka. Uzyskał odpowiedź, że on dawno umarł, ale jego rodzina nadal mieszka w Czeremnem.

Waldemar postanowił tę rodzinę odwiedzić. Tymczasem z dużym wzruszeniem patrzył na dom, gdzie spędził najszcześniejsze lata swojego życia. Opowiadał Krysi o dniu, kiedy się w tym domu urodziła. Wszyscy pragnęli zobaczyć wnętrze budynku, ale chłop powiedział, że obecnie muzeum jest zamknięte dla zwiedzających. Postanowili odszukać rodzinę Hordija, ale nim wrócili do samochodu, Waldemar pokazał im połą drogę wiodącą od leśniczówki do wsi. Przy tej drodze kiedyś rosły kwiaty, które lubiła Walentyna. Wskazał miejsce, gdzie pierwszy raz ją spotkał. On szedł tą drogą, a ona zrywała polne kwiaty.

– Tu zapoznaliśmy się i tu wszystko się zaczęło – mówił.

Wszyscy widzieli wielkie wzruszenie ojca Waldemara, które im także się udzieliło.

We wsi znaleźli rodzinę syna Hordija. Syn trochę pamiętał polskie rodziny, które kiedyś mieszkały w Czeremnem. Waldemar pytał go, czy

może coś powiedzieć o ikonach Matki Bożej, które dał na przechowanie jego ojcu. Chłop powiedział, że po śmierci matki – żony Hordija, gdy jego ojciec zachorował i czuł, że zbliża się koniec jego życia, kazał zanieść dwie ikony do Paraski, która bardzo o nie prosiła. Na pytanie, czy Paraska jeszcze żyje, odpowiedź brzmiała, że tak. Niezwłocznie udali się do niej. Gdy weszli do jej chaty, powitała ich stara kobieta – Paraska, przyjaciółka Walentyny. Waldemar rozejrzał się po ścianach, ale obrazów nie widział. Spytana o nie Paraska pokiwała głową, mówiąc:

– *W mene jeść ceji ikony* (u mnie są te ikony).

I otworzyła drzwi do drugiej izby, gdzie na ścianie, przybrane haftowanymi ręcznikami, wisiały obok siebie dwa obrazy Matki Bożej Ostrobramskiej – jeden bardzo stary, malowany, drugi wyrzeźbiony w drewnie. Waldemar podszedł bliżej, padł na kolana i opierając czoło o ścianę załkał głośno. Krysia i Witold chwycili go pod ręce, podnieśli z kolan i posadzili na ławie. A on oparł głowę o stół i nadal płakał. Wzruszenie sięgające zenitu ogarnęło ich wszystkich, zorientowali się bowiem, że to są obrazy śp. Walentyny. Patrząc na nich, Paraska uniosła fartuch i wycierała swoje pełne łez oczy. Ta pocziwa kobieta o niczym nie wiedząc pytała, gdzie jest Walentyna. Gdy powiedziano jej, że zginęła razem z rodzicami w Janowej Dolinie, zwyczajem tutejszego ludu zaczęła lamentować, czyli – jak tu mówiono – *wyczytował*. Kiedy emocje trochę opadły, Waldemar zapytał, czy zechce im odstąpić te obrazy, które przez tyle lat pieczołowicie przechowywała. Odpowiedź była krótka:

– *Taż ce waszyj ikony* (to przecież wasze obrazy).

Waldemar podszedł i chciał całować ręce tej kobiety, ale ona cofnęła je. Nie było w zwyczaju tutejszego ludu, aby całować ręce kobiet. Mogło się zdarzyć, że kobiety całowały ręce starego mężczyzny, np. ojca. Paraskę sowskie obdarowano prezentami i groszem, bo panowała tam powszechna bieda. Obrazy owinięto w białe, samodziałowe, lniane płótno, które dała im Paraska, i ułożono w bagażniku.

Przed odejściem Waldemar spytał ją jeszcze, czy coś wie o losie Wołodii. Według Paraski, Wołodia dowodził oddziałem UPA w czasie ataku na Hutę Stepańską. Tam został ranny, a gdy wrócił do zdrowia,

Wołyń był już w rękach sowieckich. NKWD aresztowało go i rozstrzelało w rówieńskim więzieniu. Przez tego człowieka Waldemara oderwano od rodziny i wywieziono na Syberię. Mimo to nie odczuwał satysfakcji ze śmierci tego zbrodniarza.

Po emocjach w Czeremnem czekały ich następne. Ruszyli do Janowej Doliny. Samochodem była to niecała godzina jazdy. Interesowała ich tylko zbiorowa mogiła ofiar rzezi w 1943 roku. Znajdowało się tam wiele rozsianych po lesie mogił, ale miejscowi ludzie zaprowadzili ich do największej, gdzie spoczywały setki ofiar. Ujrzeni pole porośnięte krzakami i lasem, a w jego środku rozległy dół, też porośnięty chwastami. Żadnego krzyża, żadnego ogrodzenia, żadnych znaków pielęgnacji. Ten dół był zbiorową mogiłą wielu osób: mężczyzn, kobiet i dzieci... Być może leżą tu szczątki Walentyny, dziadka Jana i babci Karoliny. W kraju wielu wielkich pomników i krzyży nie zadbano o oznaczenie miejsca mogił sześciuset ofiar okrutnego terroru, skazując je na niepamięć.

Bardzo wzruszeni, na kolanach, odmówili modlitwę za zmarłych. Przez długi czas stali skupieni, potem zapalili przywiezione znicze, a Wiktor z Jackiem zrobili prowizoryczny krzyż i postawili go obok zniczy. Według tutejszego mieszkańca, który wskazał im tę mogiłę, byli pierwszymi ludźmi z Polski, którzy po wojnie odwiedzili to miejsce. Jacek i Witold postanowili przyjechać tu w przyszłym roku, przywieźć krzyż i uporządkować to miejsce.

Waldemar stał i patrzył wokoło.

– Tam było osiedle – powiedział, wskazując ręką kierunek. – A dalej widzicie Horyń. Świadkowie tej tragedii mówią, że bandy nadeszły od Derażna, przeszły przez most na Horyniu i zaatakowały osiedle. Część ludzi spłonęła w budynkach. Kto mógł, to uciekał w tę stronę, a bandyci ich ścigali i mordowali.

Witold ponuro patrzył w tym kierunku. Jak przez mgłę, pamiętał tę straszną noc. Mama kazała mu biec przed nią, a sama niosła Krysię. W pewnym momencie spojrzał do tyłu i nie zobaczył mamy. Przerażony wołał: „Mamo, mamo!”. Ktoś chwycił go za rękę i krzyknął: „Uciekaj ze

mną, bo tu zabijają dzieci”. Biegł z kimś obcym w nieznane, słysząc za sobą strzały, krzyki, jęki. „Tu, myślał Witold, rozegrała się tragedia naszej rodziny i zaczęło się moje i mojej siostry sieroce życie...”

Z Janowej Doliny ruszyli do miejscowości Michałówka w powiecie rówieńskim, gdzie kiedyś był rodzinny dom Waldemara. Zaszły tu ogromne zmiany i żadnych śladów po zagrodzie swoich rodziców nie znalazł. Gdzie jest mogiła wymordowanej rodziny, też nie wiedział. Zapytana o to przechodząca obok nich chłopka poradziła, aby się udali do pobliskiego domu. Tam mieszka stary Czech, który pamięta tamte czasy. Rzeczywiście, ten starzec pamiętał i znał Wysockich. Potwierdził, że cała rodzina zginęła wiosną 1943 roku. Gdy spytano, gdzie zostały pochowane zwłoki, Czech pokiwał głową i powiedział, że zwłok nie było, gdyż rodzinę spalono razem z domem. Ich spopielone ciała pokrył popiół z całego budynku. Chociaż od dawna wiedzieli, że rodzina została wymordowana, to jednak ta wiadomość była porażająca – śmierć w płomieniach...

Waldemar wyszedł z domu Czecha przygnieciony i załamany. Witold i Krysia objęli go bez słów, dając mu odczuć, że w tym cierpieniu nie jest sam. Nawet miejsce po byłym budynku trudno było odnaleźć. Wszystko zarosło krzakami, chwastami i drzewami. W tej sytuacji postawili zapalony znicz przy drodze, odmówili modlitwę za zmarłych, po czym odjechali.

W pobliżu przebiegała szosa Równe – Kowel. Gdy znaleźli się na niej, skierowali swój samochód w kierunku Kowla. Wracali do domu.

Waldemar żegnał swoją umęczoną ziemię rodzinną – Wołyń. W czasie tej krótkiej wizyty doznał wielkich wzruszeń, niezwykle bolesnych, bo pamiętał tę ziemię z lat dziecięcych, kiedy była piękna, nieokaleczona i przyjazna dla wszystkich jej dzieci. Ziemia niewyczerpanych talentów ludzkich, tych z wysokiej półki i tych swojskich – ludowych. Kraj przepięknej dzikiej natury, dzikiej, bo autentycznej, niczym nieskażonej, rzecz można, dziewiczej, przyjaznej dla życia, w odróżnieniu od dzikiej cywilizacji, która tu wtargnęła i to piękno bezpowrotnie zniszczyła. „Istotnie – myślał Waldemar – nie ma tu już tych pięknych krajobrazów, zubożały liczne tu

rzeki i dorzecza, kiedyś pełne ryb i dzikiego ptactwa”. To rezultat rabunkowej wycinki lasów, na skutek czego zmienił się mikroklimat, wyschły bagna i moczary, zubożały rzeki. Nie ma też ówczesnej mozaiki etnicznej, która była siłą i bogactwem tej ziemi. Wszędzie widać brak gospodarności i zaniedbania, które szczególnie rażą w tej części Wołynia, gdzie ziemia jest żyzna, a teraz leży nieobsiana, porośła burzanami. Doznał dużego wstrząsu psychicznego w miejscach, gdzie zginęła jego Walentyna i teściowie, jego rodzice i rodzeństwo, ale pragnął te miejsca zobaczyć i oddać hołd pomordowanym. Ogromnie wartościowe trofea tej wizyty to obrazy. Nigdy nie śmiał nawet marzyć, że je odzyska. Te klejnoty rodzinne jadą teraz z nimi, zawinięte w całuny białego lnianego płótna... Już oczyma wyobraźni widzi je, zawieszone na ścianie swojego pokoju...

Koniec





## **OŚRODEK „WOŁANIE Z WOŁYNIA”**

Od 1997 roku Ośrodek „Wołanie z Wołynia” zajmuje się publikowaniem książek wydawanych przez „Wołanie z Wołynia” - pismo religijno-społeczne ukazujące się na Ukrainie od 1994 roku. Wokół pisma skupionych jest kilka osób, które wzięły na siebie trud dokumentowania najnowszej historii i ukazywania aktualnych problemów Kościoła Katolickiego na Ukrainie, ze szczególnym uwzględnieniem Wołynia i diecezji łuckiej. Zainteresowania naszej redakcji obejmują także: sytuację wierzących w społeczeństwach krajów postsowieckich, kontakty katolicko-prawosławne, wysiłki ekumeniczne, stosunki polsko-ukraińskie, kultura i osiągnięcia myśli filozoficznej Ziemi Wołyńskiej, wybitni Wołynianie. Równocześnie z pismem ukazuje się seria wydawnicza: Biblioteka „Wołanie z Wołynia”. Od 1997 roku do tego czasu wydaliśmy ponad 110 tytułów.

**ZAPRASZAMY DO WSPÓŁPRACY!!!**

**Dotychczas nakładem  
Ośrodka „Wołanie z Wołynia” ukazały się lub ukażą:**

- T. 1. “Хресна Дорога”, Острог 1997.
- T. 2. Br. Adrian Wacław Brzózka, *Milczące cienie*, Ostróg 1997.
- T. 3. О. Яв Попель, “Розмови про молитву”, Білий-Дунаєць 1997.
- T. 4. О. Remigiusz Kranc OFMCap., *W drodze z Ostroga na Kołymę* – pod red. ks. Witolda Józefa Kowalowa i о. Józefa Mareckiego OFMCap., Biały Dunajec–Kraków 1998.
- T. 5. О. Єдвард Станек, “Педагогічні принципи Вчителя з Назарету”, Білий-Дунаєць, 1998.
- T. 6. Tadeusz Kukiz, *Wołyńskie Madonny i inne obrazy sakralne z diecezji łuckiej*, Biały Dunajec 1998.
- T. 7. Ks. Witold Józef Kowalów, *Zmartwychwstały Kościół cz. 1, Diecezja łucka 1989–1998: odrodzenie Kościoła Rzymsko-katolickiego w obecnym dekanacie rówieńskim*, Biały Dunajec 1998.
- T. 8. О. Альбін Яноха OFMCap., “Отець Серафим-Алоїз Кашуба (1910–1977)”, Білий-Дунаєць, 1999; О. Albin Janocha, OFMCap., *Ojciec Serafin Alojzy Kaszuba (1910–1977)*, Biały Dunajec 1999.
- T. 9. Ks. Witold Józef Kowalów, *Ks. Michał Stanisław Głowacki „Świętopełk” (1804–1846). Folklorysta i współorganizator powstania*, Biały Dunajec–Ostróg 1999.
- T. 10. Ks. Witold Józef Kowalów, *Sursum corda. W górę serca. Wybór artykułów prasowych z lat 1992–1997*, Biały Dunajec–Ostróg 1999.
- T. 11. Krzysztof Kołtun, *Szelest róży*, Biały Dunajec–Ostróg 1999.
- T. 12. С. Михайлина Алекса RM, “Слуга Божий Архієпископ Зитмунт-Щенський Фелін-ський (1822–1895). Син Волинської Землі”, Білий-Дунаєць, 1999.
- T. 13. О. Андрій Зволінський, “Ясько”, Білий-Дунаєць–Остріг, 1999.
- T. 14. О. Ієронім Варахім OFMCap., “Духовний силует Слуги Божого О. Серафима Кашуби OFMCap.”, Білий-Дунаєць–Остріг, 2000; О. Hieronim Warachim OFMCap., *Duchowa sylwetka Sługi Bożego O. Serafina Kaszuby OFMCap.*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.
- T. 15. Ostróg. *Ilustrowany przewodnik krajoznawczy*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 16. Ks. Władysław Knapieński, *Sprawa o Kościół w Ostrogu na Wołyniu*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 17. Leon Karłowicz, *Nie zostawiajcie mnie tu... Obrazy z życia deportowanych do Kazachstanu*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 18. О. Иоанн Павел Мухарский OFMCap., *“И ты утверждай своих братьев. К Великому Юбилею 2000 года”*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 19. Галина Гандзілевська, *“Чекатиму тебе...”*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 20. Krzysztof Rafał Prokop, *Sylwetki biskupów łuckich*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 21. *Listy z Kozielska burmistrza miasta Ostroga*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 22. Ks. Władysław Bukowiński, *Do moich przyjaciół*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 23. *Spotkałem człowieka. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 24. Krzysztof Kołtun, *Wołyńska litania*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 25. Ks. Witold Józef Kowalów, *Szkice z dziejów kościelnych Ostroga i okolicy*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 26. Romuald Wernik, *W Zdołbunowie zakwitły kaczeńce*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 27. Ks. Andrzej Kwiczala, *Dzieje parafii rzymskokatolickiej w Ostrogu na Wołyniu (1939–2000)*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 28. Богдан Колосок, *“Кафедральні споруди Луцька. Історико-архітектурне дослідження”*, Biały Dunajec–Ostróg 2002.

T. 29. Maria Przybylska, *Karawana ze Wschodu*, Biały Dunajec–Ostróg 2002.

T. 30. О. Ієронім Варахім OFMCap., *“Апостол Церкви Мовчання. О. Серафим Кашуба OFMCap.”*, Білий-Дунаєць–Остріг, 2002; О. Hieronim Warachim OFMCap., *Apostoł Kościoła Milczenia. O. Serafin Kaszuba OFMCap.*, Biały Dunajec–Ostróg 2002.

T. 31. Ks. Kamil Kantak, *Juliusza Słowackiego życie i idee religijne*, Biały Dunajec–Ostróg 2003.

T. 32. Krzysztof Rafał Prokop, *Biskupi kijowscy obrządku łacińskiego XIV–XVIII w. Szkice biograficzne*, Biały Dunajec–Ostróg 2003.

T. 33. O. Hieronim Warachim OFMCap., *Kapucyńska Odyseja przez Podole i Wołyń*, Biały Dunajec–Ostróg 2004.

T. 34. Marek A. Koprowski, *Wołyńia dzień dzisiejszy*, Biały Dunajec–Ostróg 2004.

T. 35. “Старий Кривин: дослідження та матеріали з історії Південно-Східної Волині”, вступ, нарис, упорядкування Тарас Вихованець, Ігор Тесленко, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 36. *Krzemieniec*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 37. Ułasz Samczuk, *Wołyń*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 38. “Стародруки Речі Посполитої XVI–XVIII ст. у зібраннях Музею книги та друкарства м. Острога і Волинського краєзнавчого музею. Каталог”, Луцьк 2005.

T. 39. Stanisław J. Kowalski, *Powiat buczacki i jego zabytki*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 40. *Materiały do dziejów diecezji łuckiej. Relacje o stanie parafii i dekanatów 1941–1944*, oprac. Maria Dębowska, Biały Dunajec–Lublin–Łuck–Ostróg 2005.

T. 41. O. Kasjan Korczyński, *Katedra kijowska*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 42. Інна Шостак, “Луцько-Житомирська римо-католицька дієцезія наприкінці XVIII – у першій половині XIX століття”, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 43. Adrian Waclaw Brzózka, *Zawieszeni w czasie*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 44. Ks. Witold Józef Kowalów, *Memoires Domini. Pamiętający o Panu. Wybór artykułów prasowych z lat 1998–2002*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 45. Swietłana Pyza, *Życie heroiczne i myśl ojca Serafina Kaszuby*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 46. Tomasz Kempa, *Akademia i drukarnia Ostrogska*, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

T. 47. Henryk Dąbkowski, *Polesie – moja mała Ojczyzna. Wybór artykułów prasowych z lat 1989–2000*, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

T. 48. Paweł Grabczak, *Seminaria duchowne łucko-żytomierskiej diecezji w latach 1798–1842*, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

T. 49. *Biesiada Krzemieniecka*, zeszyt 1, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

T. 50. *Spotkałem człowieka. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół*, cz. 2, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

- T. 51. Michał Rudzki, *Notatnik wołyński*, Biały Dunajec–Ostróg 2006.
- T. 52. Ks. Władysław Bukowiński, *Wspomnienia z Kazachstanu*; O. Serafin Alojzy Kaszuba OFMCap., *Zapiski z Kazachstanu*, Biały Dunajec–Ostróg 2006.
- T. 53. “*Стародруки Речі Посполитої XVII–XVIII ст. у Волинських книгозбірнях. Каталог*”, Луцьк 2006.
- T. 54. *Biesiada Krzemieniecka*, zeszyt 2, Biały Dunajec–Ostróg 2007.
- T. 55. Krzysztof Rafał Prokop, *Biskupi kamienieccy od średniowiecza do współczesności. Szkice biograficzne*, Biały Dunajec–Ostróg 2007.
- T. 56. Teresa Tyszkiewicz, *Archipelag śladów Boga*, Biały Dunajec–Ostróg 2007.
- T. 57. Józef Dunin Karwicki, *Wędrówka od źródeł do ujścia Horynia*, Biały Dunajec–Ostróg 2007.
- T. 58. Br. Adrian Wacław Brzózka OFM, *Sny utraconej ziemi*, Biały Dunajec–Ostróg 2007.
- T. 59. Jan Paweł II – Йоан Павло II, *Tryptyk rzymski – Римський триптих*, Biały Dunajec–Ostróg 2008.
- T. 60. Marek A. Koprowski, *Między Bugiem a Styrem*, Biały Dunajec–Ostróg 2008.
- T. 61. *Różaniec w życiu biskupa Adolfa Piotra Szelążka – Розарійю євммі Єпископа Адольфа-Петра Шельонжека*, oprac. s. Sabina Irena Gumkowska CST i s. Beniamina Karwowska CST. Biały Dunajec–Ostróg 2008.
- T. 62. Adam Hlebowicz, *Biło-żółta Ukrajina (Biało-żółta Ukraina)*, Biały Dunajec–Ostróg 2009.
- T. 63. Jan Fitzke – *Z Wołynia 1936–1939*. Biały Dunajec–Ostróg 2009.
- T. 64. *Biesiada Krzemieniecka*. Zeszyt 3, „Liceum Krzemienieckie 1920–1939”. Biały Dunajec–Ostróg 2009.
- T. 65. Ks. Stanisław Szczypa, *Z Żytomierza na Podhale*, Biały Dunajec–Ostróg 2009.
- T. 66. Данута Ленік – Danuta Lenik, *Зі сходу на Захід... – Ze Wschodu na Zachód...*, Biały Dunajec–Ostróg 2009.
- T. 67. Tatjana Jurczenko, *Duchowość misyjna kapłanów pracujących w ZSRR po II wojnie światowej*, Biały Dunajec–Ostróg 2009.
- T. 68. *Kalendarz «Wołania z Wołynia» 2010*, Biały Dunajec–Ostróg 2010.
- T. 69. Marek A. Koprowski, *Podolskie klejnoty*, Biały Dunajec–Ostróg 2010.

T. 70. Ks. Władysław Bukowiński, *Historia nauczycielką życia*, Biały Dunajec–Ostróg 2010.

T. 71. Ks. Zygmunt Chmielnicki, *Kartki wspomnień*, oprac. Maria Dębowska, Biały Dunajec–Ostróg 2010.

T. 72. Krzysztof Rafał Prokop, *Arcybiskupi haliccy i lwowscy obrządku łacińskiego. Szkice biograficzne*, Biały Dunajec–Ostróg 2010.

T. 73. О. Ян Попель, “Розмови про молитву”, Білий-Дунаєць–Острого, 2011.

T. 74. Jan Nowak, *Rekolekcje z ks. Władysławem Bukowskim*, Biały Dunajec–Ostróg 2011.

T. 75. Marek A. Koprowski, *Od Humania do Krzemieńca: Irena Sandecka*, Biały Dunajec–Ostróg 2012.

T. 76. Maria Kielar-Czapla, *Ojciec Ludwik Wrodarczyk OMI. Portret duchowy*, Biały Dunajec–Ostróg 2012.

T. 77. Feliks Jasiński, *Kronika. Losy Polaków parafii Kąty, powiatu krzemienieckiego, województwa wołyńskiego w latach 1939–1945*, Biały Dunajec–Ostróg 2012.

T. 78. *Materiały do wołyńskiego słownika biograficznego*, pod red. ks. Witolda Józefa Kowalowa, Biały Dunajec–Ostróg 2012.

T. 79. Krzysztof Kołtun, *Wołyńska litania*, Biały Dunajec–Ostróg 2012.

T. 80. Anna Jakubczyk, *Rodzina Józefówki w Żytomierzu*, Biały Dunajec–Ostróg 2013.

T. 81. Ryszard Mieczysław Klisowski, *Wybrane wiersze wołyńskie*, Biały Dunajec–Ostróg 2013.

T. 82. Stanisław Kardaszewicz, *Dzieje dawniejsze miasta Ostroga, Materiały do historii Wołynia*, reprint–przedruk wydania z roku 1913. Biały Dunajec–Ostróg 2013.

T. 83. Marek A. Koprowski, *Na gruzach Marchlewszczyzny. Skazani za polskość*, Biały Dunajec–Ostróg 2014.

T. 84. Дев'ятниця за посередництвом Слуги Божого о. Владислава Буковинського – Новенна за причиною Слуги Божого ks. Władysława Bukowińskiego, Biały Dunajec–Ostróg 2014.

T. 85. Рахела Шинделевич, *Красота, которая привела меня к Богу*, Biały Dunajec–Ostróg 2014.

Świadectwo drogi życia do wiary w Kościele Katolickim.

T. 86. Józef Dunin Karwicki, *Jak to in illo tempore bywało. Kartka z drugiej połowy 18 w., wyjęta z papierów rodzinnych domu Duninów-Karwickich*, Biały Dunajec–Ostróg 2014.

T. 87. Krzysztof R. Prokop, *Polscy biskupi dominikańscy*, Biały Dunajec–Ostróg 2014.

Słownik polskich biskupów wywodzących się z Zakonu Kaznodziejskiego.

T. 88. Antoni Malczewski, *Maria. Powieść ukraińska*, Biały Dunajec–Ostróg 2014.

T. 89. O. Ryszard Stolarczyk, *Początki karmelitańskiej misji w Kijowie*, Biały Dunajec–Ostróg 2015.

T. 90. Józef Ignacy Kraszewski, *Okruszyny. Zbiór powiastek, rozpraw i obrazków*. Tom I–III., Biały Dunajec–Ostróg 2015.

T. 91. Romuald Wernik, *Habit i nagan*, Biały Dunajec–Ostróg 2015.

T. 92. Ks. Feliks Sznarbachowski, *Początek i dzieje Rzymskokatolickiej Diecezji Łucko-Żyto-mierskiej, obecnej Łuckiej, w zarysie*, Biały Dunajec–Ostróg 2014.

T. 93. Józef Ignacy Kraszewski, *Rzym za Nerona. Obrazy historyczne*, Biały Dunajec–Ostróg 2015.

T. 94. Romuald Wernik, *Nie wrócą bociany na Graniczną. Opowieść kresowa*, Biały Dunajec–Ostróg 2015.

T. 95. Józef Ignacy Kraszewski, *Wieczory wołyńskie*, Biały Dunajec–Ostróg 2015.

T. 96. Stefan Kamiński, *Lata walk i zamętu na Ukrainie 1917–1921*, Biały Dunajec–Ostróg 2015.

T. 97. Stefan Szajdak, *Wiersze wybrane*, Biały Dunajec–Ostróg 2015.

T. 98. Adam Zelga, *Arcybiskup Zygmunt Szczęsny Feliński 1822–1895. Szedł do świętości, tracąc, ufny Bożej Opatrzności*, Biały Dunajec–Ostróg 2015.

T. 99. *Wykład obrzędów kościelnych na święta całego roku*, Biały Dunajec–Ostróg 2015.

T. 100. Ks. Vitold-Yosif Kovaliv, *Restaurare omnia in Christo*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 101. „*Wołanie z Wołynia*”, 1994-1995 – reprint, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 102. Józef Ignacy Kraszewski, *Ułana*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 103. Józef Ignacy Kraszewski, *Ostap Bondarczuk*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 104. Józef Ignacy Kraszewski, *Jaryna*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 105. Wincenty Romanowski, *Kainowe Dni*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 106. Józef Włast, *Opowiadania historyczne. Z dziejów okolicy Słuczy i jej dopływów*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 107. Feliks Trusiewicz, *Duszohubka*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 108. Ks. Bolesław Żyliński, *Wspomnienia z państwa antychrysta*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 109 Ks. Jarosław Rudy, *Krzyż pośród krzyży. Theologia Crucis pasterskiej posłudze wiary biskupa Jana Olszańskiego*, Biały Dunajec–Ostróg 2018.

T. 110 S. Julia Świdorska, Ks. Henryk Mosing (1910-1999). *Lekarz, pedagog, duszpasterz*, Biały Dunajec–Ostróg 2018.

**Wymienione książki można zamawiać  
pod następującymi adresami:**

**Ośrodek**

**„Wołanie z Wołynia”**

**skr. poczt. 9, 34-520 Poronin**

**<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>**

**e-mail: [vykovaliv@gmail.com](mailto:vykovaliv@gmail.com)**

**lub**

**“Волення з Волині”**

**вул. Князів Острозьких, 4-а**

**35800 м. Остріг, Рівненська обл.**

**Україна**

# **„Wołanie z Wołynia”**

**Pismo religijno-społeczne**

**Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej**

To tytuł dwumiesięcznika, który wydajemy w diecezji łuckiej. Pismo to jest redagowane przeze mnie w rzymskokatolickiej parafii pw. Wniebowzięcia NMP w Ostrogu na Wołyniu. Na łamach „Wołania z Wołynia” zamieszczamy m. in. rozmaite opisy, relacje i wspomnienia dotyczące przeszłości wołyńskiej ziemi, kościołów i duszpasterzy. Celem tych tekstów jest uchronienie przed zapomnieniem chociaż części wołyńskiego dziedzictwa. Zwracam się do wszystkich ludzi pochodzących z Wołynia, którzy osiedlili się w różnych częściach Polski i Za Granicą, aby nadsyłali swoje wspomnienia, refleksje, spostrzeżenia lub materiały do opublikowania ich w dwumiesięczniku „Wołanie z Wołynia”. Mile widziane będą także zdjęcia dawnych duszpasterzy kościołów.

***ks. Vitold-Yosif Kovaliv  
vel ks. Witold Józef Kowalów***

Zainteresowanych współpracą z redakcją naszego pisma proszę o kontakt listowny w Polsce:

**Ks. Vitold-Yosif Kovaliv  
vel ks. Witold Józef Kowalów  
skr. poczt. 9, 34-520 Poronin**

**<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>  
e-mail: [vykovaliv@gmail.com](mailto:vykovaliv@gmail.com)**

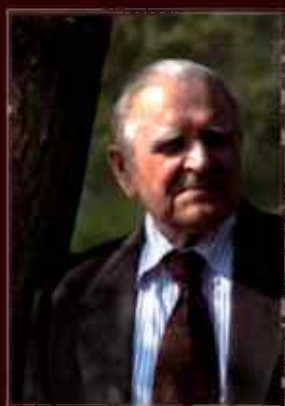
**lub telefoniczny w Ostrogu:  
tel./fax +380 (3654) 2-26-42**











FELIKS TRUSIEWICZ – Wrocławianin, urodzony w listopadzie roku 1921 na Wołyniu. Z zawodu i wykształcenia inżynier mechanik.

Jest autorem *Pokolenia* – trytomowego cyklu wspomnień o ziemi rodzinnej z okresu międzywojennego i drugiej wojny światowej. Ponadto wydał dwie powieści, *Duszohubka* i *Hawryłko*, które wzbogacają wiedzę czytelnika o Wołyniu – z jego różnorodnością etniczną, romantyzmem kulturowym, urzekającym folklorem i krajobrazem.

*Medalionik* jest fabularną opowieścią o dziejach polskiej rodziny, żyjącej na Wołyniu w latach międzywojennych i w czasie drugiej wojny światowej. Jej tragiczna historia jest przykładem losu wielu polskich rodzin tego regionu, represjonowanych przez kolejnych okupantów oraz w sposób wyjątkowo okrutny mordowanych przez nacjonalistów ukraińskich. W rezultacie tych represji tysiące Polaków znalazło się na Syberii lub doznało okrutnych krzywd z rąk okupanta niemieckiego, reszty dokonali terroryści z UPA, pacyfikując wszystkie osiedla polskie. W wyniku tych akcji członkowie rodzin, którzy ocalili, zostali rozproszeni po całym świecie. Po wojnie szukali się wzajemnie. Nie wszystkim udało się odnaleźć i połączyć ze sobą. Dotyczyło to zwłaszcza dzieci. O takim dramacie polskich dzieci opowiada historia opisana na kartach tej książki.

